

BARDZO Zuza
Śliwa
**NIECIERPLIWY
MORDERCA**



NAJCIEKAWSZE
KRYMINAŁY PRL

LIND & CO

ZUZANNA ŚLIWA

Bardzo niecierpliwy morderca

Kryminał w stylu lat 70-tych

LIND&CO

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Rozdział 1. Hiobowe wieści

Rozdział 2. Dom zbrodni

Rozdział 3. Jak zginęła Ninka?

Rozdział 4. Te zabójstwa się łączą!

Rozdział 5. Dwa pogrzeby

Rozdział 6. Zagadka biletów

Rozdział 7. I znów w Kazimierzu

Rozdział 8. Fałszywy telegram

Rozdział 9. Wypadek Danki

Rozdział 10. A jednak trucizna

Rozdział 11. Strzały w ciemności

Rozdział 12. Tajemnica „Kubusia Fatalisty”

Rozdział 13. Tym razem o mały włos...

Rozdział 14. Górna wyjawia prawdę

Rozdział 15. Morderca dokańcza dzieła

Rozdział 16. Pomyłka Skubalika

Rozdział 17. Sprytny plan

Rozdział 18. Niecierpliwy morderca

Epilog

Polecamy również

Karta redakcyjna

Gromada podróżnych wtargnęła na ruchome schody dworca. Zimny blask świetlówek kreślił na zmęczonych twarzach brzydkie, woskowe cienie. Wysoki jasnowłosy brodacz poczekał aż tłum nieco się przerzedzi, wszedł na stopnie i wjechał na górny podest. Szklane ściany ogromnej hali głównej lśniły w słońcu. Uśmiechnął się. Nareszcie w domu!

Lubił ten stan odprężającej ulgi; doświadczał jej przy każdym powrocie do rodzinnego miasta. Tu czuł się najlepiej. Jednak najbardziej swojską przestrzenią, prawdziwym gniazdem, jak je górnolotnie nazywał, było trzydziestometrowe mieszkanie zawieszone między ziemią a niebem na ostatnim piętrze pobliskiego wieżowca; w jego oknach przeglądał się Dworzec Centralny ze swym jakby uniesionym do lotu skrzydlatym dachem. Był najładniejszą i najmłodszą budowlą w mieście; liczył zaledwie trzy lata.

W kilka minut pokonał podziemne przejście, miniaturowy skwer i podwórka dudniące wrzaskiem dzieciarni. Wakacje; muszą się gdzieś wyszaleć. Stanął przez blokiem nr 7 i zerknął na balkon swego mieszkania, odruchowo sprawdzając, czy silny wicher, który trzy dni temu szalał po całym kraju, nie przewrócił ustawionej tam anteny telewizyjnej. Wszedł do przestronnego holu, gdzie w kiosku typu „groch, mydło, powidło” królowała żona dozorky, Kowalska – i ruszył w stronę windy. Jak zwykle śmierdziała zastarzałym odorem petów. Wcisnął przypalony papierosem guzik z cyfrą 10. Winda, podrygując spazmatycznie, powiozła go na ostatnie piętro.

Z ulgą przekręcił klucz w drzwiach, zwałił z ramion plecak, zdjął buty, przepoconą koszulę, sfatygowane podróżą spodnie, i wszedł do łazienki. Letnio-zimny prysznic zamiast orzeźwić, ściągnął falę senności. Nocna, wielogodzinna jazda zatłoczonym do granic pociągiem ze Szczecina, wyczerpała go do cna. Owinął się ręcznikiem, przysiadł na tapczanie. Wycieńczona upałem mucha grała w załomku okna bzykliwą, jednostajną melodyjkę.

– Cholera, muszę wpaść do redakcji, zobaczyć, co tam...

Ale nim myśl przybrała konkretny kształt, zapadł w głęboką nicość snu. Nie słyszał już natarczywego brzęczenia telefonu. Śmierć zniechęciła się brakiem odpowiedzi, dzięki czemu Zbyszek Skubalik, reporter „Wiadomości Dnia” mógł na razie spać spokojnie.

*

– Gdzie jest? Gdzie jest? Szukać go, szukać... – piskliwy dyszkant utonął w czarnej mięsistej zasłonie, dzielącej pokój od słonecznego poranka. Postać w fotelu skurczyła się jak balon, z którego nagle uszło powietrze. Tylko niespokojne błyski oczu wskazywały, że umysł pracuje na najwyższych obrotach.

ROZDZIAŁ 1

Hiobowe wieści

– Nareszcie jesteś! – Wicio był szczerze ucieszony. – Bo tu sądne dni, aż głowa pęka, mam dość, ledwo to wlokę, milicja cię szuka – rzucił na jednym oddechu.

– Milicja? Mnie? A czego oni... – przebiegł w myślach ostatnie dni, usiłując sobie przypomnieć, gdzie i co nabroił. Może coś z jego trabantem, parkującym w uliczce nieopodal.

– Jakby ci powiedzieć - chrząknął nerwowo Wicio. – Ale nie zrobię tego ja, zrobi kto inny. Lepiej usiądź, Zbysiu.

– Wal! Wyciśnij z siebie te hiobowe wieści.

– Trafiłeś w sedno. Hiobowe. Są hiobowe – Wicio zmarszczył brwi, zerknął na kolegę z dziwnym napięciem w oczach i nagle rzucił: – Ninka i Sławek nie żyją! Nie żyją – powtórzył cicho, ledwo poruszając ustami.

– To jakaś zabawa dla idiotów?! O czym ty pieprzysz?! Ninka i Sławek? Nasza Ninka? Mój Sławek?!

Wicio, wieloletni sekretarz „Wiadomości Dnia” czule określany starym głędą, wpatrywał się w niego bez słowa. Bo i co mógł dodać? Że takie jest życie, że każdy w końcu kiedyś...

– Nie łiesz? – Jeszcze nie tracił nadziei, jednak wiedział doskonale, że prostoduszny, choć czasem poważny do przesady, kolega nie ma zwyczaju bawić się we wredne dowcipy.

– Chciałbym łąć. Ale prawda jest, jaka jest. W niedzielę Ninka utonęła w Wiśle koło Kazimierza, a trzy dni temu, w poniedziałek, zginął Sławek.

– Zginął? Jak?! Wypadek?! Jakiś napad?! Gadaj konkretnie! Dlaczego nic o tym nie wiem?! Nie mogliście mnie zawiadomić? Przecież informowałem was, w jakim hotelu nocuję! Rozumiem, baliście się popsuć mi temat na reportaż, bo dla was temat najważniejszy! – Huknął pięścią w oparcie krzesła.

Sekretarz redakcji skurczył się nad biurkiem. Milczał. Z tej dziwnej ciszy, pełnej niedokończonych pytań i nieistniejących odpowiedzi wyrwał ich terkotliwy dźwięk. Wicio sięgnął po słuchawkę.

– Kto? A, kapitan Dydowski. Tak, wrócił. Siedzi obok. Już go dają. Do ciebie – podał słuchawkę Skubalikowi.

*

Patykowaty szatyn w szarej koszuli i spłóviałych dzinsach wyciągnął rękę.

– Dydowski. Proszę usiąść. Wody? Gorąco, jak w piecu – przesunął w stronę dziennikarza tacę z butelką i szklankami. Przez okno wlewało się jaskrawe, lipcowe

słońce. W jego blasku nawet ten urzędowo zimny pokój nabierał przytulnej miękkości. Ostre kanty biurek i metalowej szafy w kącie rozpływały się w złocistej smudze. Było duszno. Z ulicy dobiegał wizg opon, gdzieś za ścianą uporczywie dzwonił telefon.

– Chciałem porozmawiać o pańskim przyjacielu, Sławomirze Zwardoniu. Wszak byliście przyjaciółmi.

Skinął głową. Wydawało mu się, że tkwi w nierealnym śnie, że za moment nastąpi przebudzenie i wszystko wróci do normy. Zdarzenia gonily błyskawicznie. Nie miał chwili, żeby zagłębić się w stan swoich uczuć. Dydowski nalał wody, przesunął szklankę na skraj biurka.

– Trzy dni temu, w poniedziałek, znaleziono Sławomira Zwardonia obok jego domu. Nie żył.

– Co było przyczyną... zgonu?

– Otrucie.

– Trucizna?!

– Tak. Nie wiedział pan?

– A skąd?! Byłem w delegacji, aż pod niemiecką granicą. Redakcja mnie nie zawiadomiła. Nie miałem... nie mam bladego, żadnego pojęcia o śmierci Sławka. Spadło to na mnie jak... – szukał porównania. Głos mu się załamał: – przecież byliśmy najbliższymi przyjaciółmi. Od zawsze. A teraz... Co się stało? Wypił coś szkodliwego, zjadł?

– I tak, i nie. Tu dochodzimy do sedna. To, co spowodowało śmierć nie mogło znajdować się w zwyczajnym jedzeniu czy picciu, choć tę wersję także braliśmy pod uwagę. Jednak... – upił kilka łyków wody. – ... Wszystko jest dosyć dziwne. Za dużo tu wątpliwości. Ignaciakowie, sąsiedzi Zwardonia, natknęli się na jego ciało, wracając późnym wieczorem do domu. Nie żył od trzech, czterech godzin; zgon nastąpił między osiemnastą a dziewiętnastą. Ignaciakowie wyszli z domu nieco przed piątą. Nie umieli powiedzieć, czy Zwardonia ktoś tego dnia odwiedzał. Oczywiście, rozważamy również ewentualność samobójstwa, tyle że nie jest znany żaden jego powód. Nie znaleźliśmy listu pożegnalnego. Nic. Pustka. Do tego dochodzą pewne niezrozumiałe... – przerwał, spojrzął na Skubalika uważnie. – Dlatego jest nam potrzebna pańska pomoc.

Nie był do końca przekonany, czy dobrze robi, informując dziennikarza o szczegółach śledztwa. Wprawdzie miał on żelazne alibi; w dniu tragicznego zdarzenia, od rana do wieczora, przebywał w odległej od Szczecina gminie na obrzeżach województwa, co łatwo dało się sprawdzić, lecz mimo wszystko to osoba postronna. Jednak, jako ktoś najbliższej związany z ofiarą, mógł być nicią, prowadzącą do wyjścia z krętego labiryntu. Zwardoń był znanym dziennikarzem, toteż szef Dydowskiego, pułkownik Kruk, zgodził się na „małe, ale tylko małe” wtajemniczenie Skubalika. Ba, nawet sam to zaproponował. Widać i jego „góra” naciskała bezlitośnie.

– Samobójstwo?! Sławek? Absolutnie wykluczone! Może się niechcący zatrul, może zasłabł, może jakiś inny fatalny przypadek. Żyje... żył tak intensywnie. Na nic

się nie skarżył, nie brał żadnych leków. Wiedziałbym o tym, chociaż prawdę mówiąc, czasami potrafił być skryty. Ale kto by go... Nie! Nie miał wrogów. Żadnych. Ani grama wrogów. Nie samobójstwo! To wykluczone!

– Pozostaje więc udział osób trzecich. Zabójstwo.

– Dlaczego? Za co?! To niewiarygodne! Nie-wia-ry-go-dne! – Wyskandował, uderzając pięścią w blat biurka. – Czyście się nie pomylili? Czy nie mógł to być na przykład normalny atak serca lub coś podobnego? Sławek? Morderstwo? Nie... nie...

– Żaden atak serca – kapitan stuknął palcem w cienką tekturową teczkę na skraju biurka. – Tu mam raport z sekcji; mniejsza o jego szczegóły. Środek, który spowodował zgon nie występuje w przyrodzie w stanie wolnym, nie jest składnikiem preparatów używanych w domu lub w ogrodzie. Aby go zdobyć, trzeba się bardzo postarać. I ktoś się postarał. Rozumiem pana argumenty emocjonalne. Ale fakty to fakty. Kilka jest... – zawałał się na moment –... niewątpliwie zastanawiających. Na przykład to, że w całym mieszkaniu łśni, jakby wypucowano zawzięcie każdy przedmiot. Brak jakichkolwiek odcisków. Zwardonia też. Sterylnie. Nienormalnie. Jeśli przyjmiemy wersję samobójstwa, rodzi się pytanie: kto, nim dokona samounicestwienia, wpierw dokładnie wyciera ślady? Po co by to robił? Pan bywał u niego często? – Dydowski zmienił temat.

– O, tak. Ze Sławkiem znaleźliśmy się od podstawówki. Potem wspólne liceum, ten sam uniwersytet i wreszcie ta sama redakcja. Rok temu przeniósł się do „Echa”. W końcu to pismo bardziej ambitne. Bywałem u niego przynajmniej dwa razy w tygodniu. Lecz, na Boga, nie pamiętam, by mówił o jakimś zagrożeniu, jakiejś ciemnej sprawie, która mogła go dotyczyć. Nic takiego nie było. On rzeczywiście nie miał wrogów. Żadnych!

– A jednak... – kapitan pokręcił głową.

– Cóż, może i ktoś zazdrościł mu po cichu ładnego domu, powodzenia zawodowego, umiejętności myślenia i pisania. Sławek jest... był wyjątkowo uzdolniony. Ale czy to powód do zabijania? Nie wiem, czy pan czytywał teksty Sławka. Świetne. To był Ktoś przez duże „k” – również w życiu prywatnym. Dobry, przystępny, przyjazny. Nawet gdy mu coś nie szło, nie obciążał otoczenia swoimi problemami.

– Czy poza panem miał jakichś bliższych przyjaciół? Może dziewczynę?

– Przyjaciół miał i to wypróbowanych. Najbliższym byłem ja, Tadek Boczkowski i Ninka Kalicka, która właśnie... – urwał.

– Kalicka... – powtórzył Dydowski.

– Ninka również nie żyje! Utonęła w Wiśle koło Kazimierza! Była tam w domu wczasowym dziennikarzy. Wzięła kilka dni urlopu, żeby dojść do siebie po zapaleniu płuc.

– Słyszałem o tym wypadku.

– Wypadek? Zapewniam pana, kapitanie, że ona nie mogła tak sobie utonąć. To niemożliwe. Znakomicie pływała. Swego czasu była akademicką mistrzynią Polski w pływaniu, przez wiele lat działała jako ratownik. I co robiła w rzece? W dodatku po

tak ciężkiej chorobie. Miała żelazną zasadę – nigdy nie weszła do tego rodzaju wody, jaka teraz płynie Wisłą. Wolą ją jeziora Suwalszczyzny, te jeszcze czyste, lub basen. Nawet Mazury już nie za bardzo ją zachwyciły. Tłumaczyła, że pływa tam wszelka zgnilizna, jaką tylko mogą wytworzyć ludzie. Nie bała się wody, a i woda ją lubiła. Śmialiśmy się, że jest genetycznym skrzyżowaniem ryby i człowieka. Dlaczego weszła do Wisły, w dodatku osłabiona chorobą? Nie była lekkomyślna, co to, to nie. Dlaczego utonęła? W kółko o tym myślę i nic rozsądnego nie przychodzi mi do głowy.

– Moment – kapitan podniósł słuchawkę: –Dajcie mi tu Jędrzejkę. Biegiem!

Chyba zrozumiano to dosłownie, bo po krótkiej chwili w drzwiach stanął młody, puciołowaty blondyn.

– Melduję się, panie kapitanie.

– Dobra, dobra, Pawełku. Sprawdź mi, ale to na wczoraj, jak wygląda sprawa utonięcia w Wiśle koło Kazimierza redaktor Niny Kalickiej. Dzwoń na tamtejszą komendę, niech prześlą mi wszelkie dane, i biegiem melduj. Odmaszerować!

– Tak jest! – Blondynek wyprężył się na baczność, posłał im łobuzerski uśmiech i już go nie było.

– To myśli pan...? – Zawahał się Zbyszek.

– Na razie nic nie myślę. Jednak ta zbieżność obu śmierci... Dzień po dniu. Przypadek albo... cóż, lepiej sprawdzić. Chwileczkę... – Dydowski zanotował coś w szarym, płaskim notesie.

– Wróćmy do Zwardonia – podjął po chwili. – Chciałbym wiedzieć wszystko, co panu wiadome o jego sympatiach. Mam na myśli kobiety.

– I tu pana zdziwię. Nic. Nie wiem nic. Sławek był wylewny, choć nie można powiedzieć, że gadatliwy. Jednak miał swój temat tabu, takie małe dziwactwo. Wszyscy o tym wiedzieli, ale nie wszyscy znali powód. Bo prawda była smutna, dramatyczna. W czasie studiów poznał dziewczynę. Ewę. Kochał ją obłądnie, chcieli się pobrać zaraz po dyplomie. Opowiadała o tym na prawo i lewo, roznosiła go radość. Trudno się dziwić. Ewka była piękna, dobra i mądra. Niestety, zdarzyła się straszna tragedia. Jakiś rozpedzony łajdak wjechał na zielonym świetle w przechodzących ludzi. Ewa nie zdążyła odskoczyć. Dwie godziny potem zmarła. Sprawca zbiegł, nigdy go nie znaleziono. Wtedy jakiś dureń powiedział Sławkowi, że tak się przed wszystkimi chełpił swoim szczęściem, aż zapeszył. Chłopak od tej pory zamilkł na temat dziewcząt. Nawet ja, najbliższy przyjaciel, nie miałem pojęcia, jak wygląda jego życie osobiste. Mam wrażenie, że w ostatnich miesiącach kogoś poznał; był taki ożywiony, radosny jak szczygiełek. Zupełnie inny. Ale nie tylko to... – potarł dłonią czoło i patrząc w rozświetlone okno, podjął: – Zbyszek przez długi czas szukał łobuza, który zabił Ewę. To była jego *idee fixe*. Do czegoś tam doszedł, jednak niewiele o tym wiem. To też był temat tabu.

– Kiedy miał miejsce ten wypadek? – Dydowski znów sięgnął po notes.

– Szóstego maja, dziewięć lat temu. Na Kruczej, obok Grand Hotelu.

– Hm... Sprawdzimy. Wracając jednak do poprzedniego wątku. Naprawdę nie wie

pan nic o aktualnej dziewczynie przyjaciela? Może coś się panu nasunie. Proszę pomyśleć.

– Jeśli nawet miał nową dziewczynę, raczej nie wywodziła się z naszego najbliższego kręgu. Bo inaczej może coś bym wyczuł, zaobserwował.

– No dobrze. A co z rodziną? Nie było jakichś zadrażnień?

– Z rodziny żyje tylko daleka ciotka; mieszka w Kanadzie. Matka Sławka zmarła, kiedy miał osiem lat, ojciec przed czterema laty. O ile wiem, nie posiadał żadnego majątku, prócz połowy domu przy Niegłośnej. Nikt się też ze Sławkiem nie procesował.

– Może odbił komuś narzeczoną? Może kogoś źle opisał? – Drążył Dydowski.

– Wierzy pan w zasady? No, więc Sławek miał taką jedną żelazną zasadę – nigdy nie brał się za cudze kobiety. Poznał sam, co to znaczy stracić dziewczynę i zanim poszedł chociażby na kawę lub do kina, starał się upewnić, czy jego towarzyszka nie jest czyjąś narzeczoną, żoną, sympatią. Może się to panu wydać śmieszne, staromodne, ale on taki już był. Dla jednych dziwak, dla innych, tych najbliższych, zwyczajny, choć może rzeczywiście nieco – powiedzmy – przesądny. Poderwanie czyjejś kobiety nie wchodziło raczej w grę.

– Przyjmijmy hipotetycznie, że jest tak, jak pan twierdzi. A pisanie? Co z tym?

– Czy ja wiem? W tym fachu, panie kapitanie, nigdy nie jest pewne do końca, czy się komuś narażamy czy nie. Sławek bywał ostry, lecz mimo że siedział przez lata w swojej tematyce i doskonale znał rozmaite meandry związanych z nią spraw i sprawek, potrafił zachować sporo zdrowego rozsądku. Nie miał, jak to się trafia wielu naszym kolegom po fachu, natury skandalisty. Może i natknął się ostatnio na coś ciemnego. Jeśli tak, nic o tym nie słyszałem. Zresztą wszystko mogło się zdarzyć poza moją świadomością. Nie było mnie w mieście grubo ponad tydzień, a i wcześniej, przed wyjazdem, nie widziałem się z nim parę dni. Przez prawie dwa tygodnie można zdrowo narozrabiać.

– Jaka to była tematyka?

– Rolnictwo, nowe źródła energii, czasem tak zwane sądówki i dodatkowo, właściwie bardziej jako hobby, niż stały temat: elektronika, co łączyło się z jego wieloletnim marzeniem. W przyszłości chciał nawet sprzedać swój dom i kupić gospodarstwo. Zamierzał urządzić je super nowoczesnie właśnie przy użyciu ukochanej elektroniki. Lecz plany zarzucił, choć chwilami znów mu to wariactwo wracało.

– Wariactwo?

– Sławek był typowym człowiekiem miasta, tu urodzonym i doskonale się tu czującym. Ta wieś w ogóle do niego nie pasowała. Jego prawdziwym życiem było pisanie – i powoli zdawał sobie z tego sprawę.

– Cóż, to jak na razie tyle. Dziękuję, bardzo mi pan pomógł; przynajmniej rozjaśnił niejasne. Będziemy w kontakcie. Aha, i jeszcze jedno. Chciałbym, aby pan przejrzał mieszkanie Zwardonia, zobaczył czy czegoś nie brak. Powiedzmy dziś o osiemnastej trzydzięci. Odpowiada? Będę na pana czekał na Niegłośnej.

*

Kwadrans po piątej wpadł do redakcji, o tej porze pustej i cichej. Korytarzem wlokła się Baniakowa, targając tacę z brudnymi szklankami.

– O, pan redaktor. Co tak późno? Tylko sekretarz siedzi i pani Marysia dziobie w maszynę. Numer poszedł już do drukarni, więc wszyscy też sobie poszli. A pan nic, tylko praca i praca.

– Tak zażarcie to znowu nie pracuję. Bez przesady – oganiał się niecierpliwie. – A herbatki nie dałoby się jeszcze wypić?

– Oj, panie Zbysiu. Toż stoi pańska herbata na biurku. Pani Danusia zrobiła, brała ode mnie wrzątek, kiedy pan siedział u sekretarza, bo myślała, że pan zaraz przyjdzie do pokoju. Ale pana gdzieś poniosło. Nie zabierałam, bo przecież wiem, że pan lubi zimną a nawet taką wczorajszą. Swoją drogą przyzwyczajenia to pan ma. Czas już, by się ożenić. Lata pan bez przydziału i lata. Kto to widział, chłop jak drąg, urodziwy, panny oczkami strzelają, a ten ino siedzi w papierzyskach. Tylko ta broda do pana nie pasuje. Porządny chłop powinien chodzić ogolony na gładko.

– Pani Baniakowa, co też pani? Przepraszam, spieszę się – rzucił, pospiesznie otwierając drzwi do sekretariatu.

– Cześć ,Wiciu. Jeszcze siedzisz?

Sekretarz ciężko westchnął: – A, to ty... Kurza stopa. Poldek znów się spóźnił z felietonem i na kolumnie biała plama. Przez takich, to końca roboty nie widać. Kiedy ci ludzie nauczą się punktualności? Kurza stopa, drukarnia nie może bez końca czekać. A jak wizyta na milicji? Coś nowego?

– Poznałem parę szczegółów. Chociaż tak naprawdę to oni chcieli tych szczegółów ode mnie, bo sami niewiele wiedzą. Pytali głównie o to, czy Sławek nie miał wrogów – mruknął niechętnie; nie miał ochoty drażnić tematu śmierci przyjaciela. Wydawała mu się ciągle jakąś upiorną pomyłką.

– Sławek? Wrogów? Sto razy nie! - Wicio grzmotnął pięścią w biurko; w górę strzeliła fontanna kartek. – To najporządniejszy człowiek pod słońcem. Zresztą nas też w kółko o to pytali. Każdy gadał to samo: Sławek nie miał wrogów. Słuchaj Zbysiu, może on... no wiesz, może sam to zrobił? Czasem coś go tak gryzło, mordowało, siedziała w nim jakaś zadra.

– Na łeb upadłeś?! Sławek i samobójstwo?! Nigdy by tego nie zrobił! Nigdy! A gryzły go i mordowały nienapisane teksty.

– W takim razie kto go... hm, sprzątnął? Jak myślisz?

– Oj, Wiciu, Wiciu – a skąd ja mam wiedzieć?

– Zabija się dla poważnych powodów – ciągnął niezrażony sekretarz. – Może to był taki powód, o którym ani ty, ani ja, ani nikt poza mordercą nie ma zielonego pojęcia.

– Może – bąknął Zbyszek. – To ja spadam. Cześć – skinął głową i powłókł się ciężkim krokiem na koniec korytarza. Zawiesziste, przesiąknięte papierosowym smrodem powietrze wskazywało, że Danką Cis, z którą dzielił redakcyjny pokój, pracowała dziś pełną parą.

– Ta cholera zawsze nas mrozi. Żeby choć wywietrzyła – rozgarniając nogą zalegające podłogę gazety, starał się dobrnąć do okna. Stosy kolorowych tygodników poukładane były jak na krawędzi biurka, zachwiały się i runęły w dół, wzniecając chmurę kurzu. Z przewróconej szklanki chlusnął brunatny płyn, rozlał się ciemną smugą po gazetach i wypełnionej petami popielniczce.

– Cholera! Niechluj! Wściekła się z tymi gazetami! Już ja jej nakładę! Niech to szlag!

Herbata wsiąkała błyskawicznie w papier, od zmoczonych petów zaleciało paskudnym odorem. Otworzył wreszcie okno, i klnąc pod nosem, zaczął porządkować chaos na biurku.

*

Ciszę pokoju zagłuszał niewyraźny szmer. Tylko wprawne ucho mogło w tym bezdźwięcznym niemal szepcie wychwycić poszczególne słowa.

– Czekać... nie denerwować się... Dobrze się przygotować. Uda się. Mnie wszystko się udaje. Zobaczycie. Już niedługo. Wszyscy! Wszyscy!

Słowa uderzyły ostrym dźwiękiem w szklaną tafłę drzwi, zza których doleciał głuchy odgłos naciskanej w głębi mieszkania klamki. Skulona w fotelu postać znieruchomiła.

– Cicho... muszę być cicho. Słuchają, zawsze słuchają. Chcą wiedzieć. Zawsze chcą wiedzieć. Cicho... muszę być cicho. Ale zabrzmię. Zabrzmię... Tylko on... on musi zniknąć...

ROZDZIAŁ 2

Dom zbrodni

Przed otwartą furtką domu przy Niegłośnej 5 stał niebieski radiowóz. Zza opuszczonej szyby wyglądał puciołowaty Jędrzejko. Obok przechadzał się niecierpliwie Dydowski.

– No, jest pan nareszcie! – Ruszył w stronę Skubalika.

– Przepraszam za spóźnienie. Miałem drobną kraksę z herbatą. Całe biurko zalane. Musiałem to jakoś ogarnąć – tłumaczył chaotycznie.

– Rozumiem – kiwnął głową kapitan. – To co? Wchodzimy.

Bliźniak Ignaciaków i Zwardonia zbudowano na początku lat pięćdziesiątych; większość cegieł wywodziła swój rodowód z resztek starego browaru. Sławek pokpiwał, że wieczorem, gdy idzie spać, budzi się duch browaru. Słychać odgłosy mycia i napełniania butelek a ze ścian wydobywa się kwaśny odór stęchłego piwa.

– Teraz przynajmniej wiemy, gdzie tak wyszkoliłeś swój reporterski niuch – kpili odwiedzający go koledzy, obwąchując z namaszczeniem ściany.

Mimo niezbyt szlachtetnego pochodzenia dom otoczony grządkami georginii, maciejki, lwich paszczy, nagietków, na które padał cień bujnych bzów, sprawiał wrażenie prawdziwej oazy wewnątrz wielkiego miasta. Pod rozrosłą jabłonią stał drewniany stół i trzy ogrodowe krzesła. Przed kilku laty dom podłączono do sieci ciepłowniczej. Mimo to w pokojach pozostały – tak na wszelki wypadek – staromodne pękate kafłowe piece.

Sławka znaleziono na połowie posesji należącej do Ignaciaków. Musiał tam dojść, okrążając jedną z bocznych ścian, a więc najwyraźniej usiłował szukać pomocy u sąsiadów. Dom miał dwa niezależne wejścia: do Zwardonia od wschodu, do Ignaciaków od zachodu. W ogrodzeniu były dwie furtki; goście wchodzący do Sławka nie byli widziani z części sąsiadów. Chyba, że spotkania miały miejsce w ogródku, który stanowił niepisaną wspólnotę obu rodzin.

Zwardoń zajmował dwa pokoje z kuchnią, łazienką i sporą sienią; przylegał do niej składzik-spiżarnia na przetwory, rowery, narzędzia ogrodnicze i masę innych przedmiotów gromadzących się przez lata w każdym gospodarstwie.

Identyczny rozkład mieszkania mieli sąsiedzi, chociaż ich połowa była nieco mniejsza. Ignaciakowa utrzymywała, że majster stawiający budynek, jedną jego część – niczym krawiec kombinator – po prostu przyciął, zaoszczędzone cegły i drewno przeznaczając na Bóg wie co. Tu włączał się jej mąż, Stasinek, tłumacząc, że na co majster przeznaczył oszczędności, wiedzieli wszyscy wokoło – poza Helcią. Wystarczyło spojrzeć na jego ogromny, fioletowy nos.

Na dobrą sprawę starsi państwo zastąpili Zwardoniowi rodzinę. Dla nich był

niezmiennie małym Sławuniem; dla niego pozostali krzątającą się, zapobiegliwą ciocią i wujkiem złotą rączką, umiejącym zrobić praktycznie wszystko. To Ignaciak nadzorował skrupulatnie ostatni generalny remont domu. Potem do akcji wkroczyła pani Helena. Ślad jej ręki widać było w całym mieszkaniu Sławka. Zdał się całkowicie na jej gust, i nigdy tego nie żałował. Ciepłe kolory ścian, na oknach miodowe story, wersalka z barwną narzutą komponowały się doskonale z regałami dźwigającymi setki książek, z opasłym, staromodnym biurkiem, dużym stołem przykrytym szydełkową serwetą i trzema wygodnymi fotelami.

Zbyszek miał tu własne miejsce – szeroki fotel wsparty o framugę okna, za którym płonął wszystkimi kolorami lata ogród pani Helenki. Ilekroć przekraczał próg tego mieszkania, zawsze odruchowo kierował się w swój ulubiony kąt. Zrobił tak i teraz. Zanurzył się w miękkim fotelu, rozprostował nogi, głęboko odetchnął.

Nagle zdał sobie sprawę, że Sławek nigdy już nie zasiądzie obok, i że pustka po przyjacielu zawsze będzie palić jak rana. W nieprzeniknionym mroku krył się ktoś, kto go zabił, unicestwił, znajdując ku temu jakiś szatański, nieludzki powód. I tego kogoś właśnie on musi wytropić, odnaleźć, by wymierzyć sprawiedliwość.

Rozejrzał się. Sprzęty posypane proszkiem, zapewne dla zebrania odcisków, przesiąkły dziwnym, obcym zapachem.

– Ależ nie – zachnął się, przypominając sobie, że przecież Sławka znaleziono nie tutaj, a na zewnątrz, na podwórku. Dziwnego zapachu nie ma; to po prostu gra bujnej wyobraźni.

Idąc na Niegłośną, sądził że przeżyje silny wstrząs, że może nawet zacznie płakać, że zrobi nie wiadomo co. Teraz jednak siedział oziębiały, łapiąc w uszy głosy życia dochodzące z mieszkania Ignaciaków. Wzrok błądzący bez celu, zatrzymał się na blacie stołu.

– Serweta Ninki – szepnął. Dydowski w milczeniu obserwował młodego mężczyznę, gładzącego dłonią stół. Wreszcie nie wytrzymał:

– Czy to się panu z czymś kojarzy?

– Nie. Nic ważnego. Zrobiła ją Ninka na ostatnie imieniny Sławka. Ostatnie – powtórzył cicho. – Ale dość wspominków. Musimy znaleźć tego bandziora. Co mam robić, kapitanie? Morderca nie może uniknąć kary.

– Jeżeli to rzeczywiście zabójstwo, kary nie uniknie. Teraz prosiłbym, żeby rozejrzał się pan w dobytku przyjaciela. Przejrzał pokoje, kuchnię i łazienkę, szafy, szuflady, półki. Może czegoś brakuje. Pani Ignaciakowa twierdzi, że chyba wszystko gra, ale podsunęła mi myśl, aby ściągnąć tu pana, bo ma pan lepsze rozeznanie w tym stosie książek i papierzysek. Zostawię pana samego, żeby mógł pan spokojnie tu pogrzebać. Wrócę za... powiedzmy pół godziny, czterdzieści minut – skierował się do wyjścia.

Zbyszek rozejrzał się nieprzytomnie, usiłując odtworzyć w pamięci obraz mieszkania z ostatniej swojej tu wizyty. Musi sobie przypomnieć każdy drobiazg. Najpierw sprzęty domowe. Na pierwszy rzut oka nie brakowało niczego. Pokoje, kuchnia i łazienka wydawały się nienaruszone. Zerknął do szaf. Ubrania na wieszakach, swetry, koszulki, skarpety na swoich miejscach. Gospodarz tego domu

był pedantem. Szuflady. Tu również idealny porządek. Jeszcze regały z książkami, lecz to odłóż na później.

Sławek dużo pisał. Pierwsze szkice artykułów robił ręcznie, na luźnych kartkach. Poprawione już teksty wystukiwał na starej Erice z ciągle zacinającym się „y” i lekko wykrzywionym klawiszem czcionki z cyfrą „7”. Na metalowej obudowie maszyny wydrapane było – nie wiadomo kiedy i przez kogo – słowo „głupek”, stały przedmiot żartów Sławka. Czasami, nie mając ochoty iść na jakąś towarzyską imprezę, tłumaczył niewtajemniczonym, że nie może, bo umówił się pilnie z jednym głupkiem. Gdzie podział się „głupek”, stojący niezmiennie na niskim stoliku pod oknem?

Przypomniał sobie nagle pewną nieco dziwną rozmowę. Działo się to podczas którejś z ostatnich wizyt u przyjaciela. Rozsiadając się w ulubionym fotelu, przypadkowo rzucił okiem na maszynę. Sterczała w niej biała kartka. U góry imię i nazwisko: Sławomir Zwardoń. Niżej, pośrodku strony napisane wersalikami słowa: PRZED ZASŁONĄ PRAWDY.

– Pisziesz książkę? – zapytał.

– Daj spokój! – Zwardoń wyrwał kartkę z maszyny, zmiął i wrzucił do kosza. – Widząc zaskoczoną minę przyjaciela, dodał już łagodniej: – na razie wolę nic nie gadać, żeby nie zapeszyć. Przyjdzie pora, dowiesz się pierwszy.

Rzucił wtedy, nie bacząc na zastrzeżenia Sławka: – czyli jednak książka. Gratuluję!

– Nie wierć mi dziury, bo i tak nie puszcę pary – Zwardoń położył palec na ustach. – Chcesz piwa? Dobrze schłodzone.

– Chorego pytają – zaśmiał się i już nie wracali do tematu.

Wspominając tę scenę, utwierdził się w przekonaniu, że Sławek zmagał się w ostatnich tygodniach z jakąś tajemnicą. Miał wrażenie, że jeszcze chwilka i wyzna coś, co nawet jego – wiernego druha – mocno zaskoczy. Nie zdążył...

Gdzie podziała się maszyna? Może stoi w sypialni, kuchni lub łazience, może popsuta się i jest w naprawie? Jeszcze raz przeszedł przez każde z pomieszczeń, ponownie zerknął do szaf. Bez rezultatu. Erika zniknęła. Rozejrzał się po pokoju. W koszu obok biurka leżało parę zmiętych kartek. Wysypał wszystko na podłogę i zaczął je prostować. Na jednej z oddartych połówek widniało kilka słów. Poznał proste, wysokie pismo Sławka.

Oblew. zakończ. – i niżej, w punktach:

1 – dwa opak. piwa

2 – pół żubrówki

3 – ser żółty

4 – rolmopsy

5 – krakowska sucha

6 – pomidory, ogórki

7 – krakersy

8 – chleb, masło.

Pod listą zakupów zobaczył spis imion: *ja, Zbych, Ninka, Tadek, Ignaciaki,*

Goplana [???].

Oblew.? Oblewanie? *Zakończ.* Zakończenie, oblewanie końca czego? Jakiejś pracy, a może samotności? Albo jednak książki. W grę może też wchodzić coś kompletnie innego, na przykład uroczyste powiadomienie przyjaciół, że wreszcie trafił na trop zabójcy Ewy. Nie! Nie nadawałby temu wódczано-zakąskowej oprawy! Co się zdarzyło w życiu Sławka przez te blisko dwa tygodnie, kiedy nie miał z nim kontaktu? Jeśli chciał urządzić oblewanie, może Ignaciakowie – bo ich nazwisko też jest na liście – będą coś wiedzieć. Przygotował listę zakupów. I listę gości.

Goplana. Przy niej, bo to chyba ona, jak wskazuje forma żeńska, postawił potrójny znak zapytania. Wahał się, mocno się wahał, czy i ją zaprosić? Nie był pewien, czy przedstawić ją przyjaciółom? Goplana. Kto to? Nigdy nie słyszał od przyjaciela tego imienia a może przezwania. Znając dyskrecję Zwardonia w sprawach znajomości z kobietami – a bez wątpienia chodziło tu o kobietę – nie był zdziwiony, że nie puścił on pary z ust. Cóż, już dawno zaakceptował to dziwactwo Sławka. Jednak w tym przypadku na pewno nie szło o oblewanie końca samotności. Wszak na czymś takim musiałyby być obowiązkowo wybranka serca, natomiast przy imieniu Goplana stoi, nielogiczny w tym przypadku, aż potrójny znak zapytania. Co więc chciał uczcić Zwardoń?

Starannie wygładził strzępek papieru, odłożył go na blat biurka i spojrział na kolejną, wygrzebaną z kosza kartkę. W górnej części widniało znane mu zdanie: PRZED ZASŁONĄ PRAWDY, nad nim: Sławomir Zwardoń. Wyglądało na typową stronę tytułową. Jeśli tak, pisał na „głupku” książkę.

Sławek napomykał w ostatnich miesiącach o dyscyplinie, jakiej wymaga pisanie dłuższych tekstów. Prawdopodobnie mówił tak w kontekście tworzonej książki. Więc książka. Nie ma wątpliwości. Co z maszynopisem? Może leży spokojnie wśród kilkuset tomów na jednym z regałów, między rozmaitymi teczkami i papierzyskami. A jeśli nie, może oddał ją komuś do przeczytania? Do jakiegoś wydawnictwa. To też warto sprawdzić.

Przyglądał się kartce z tym jednym zdaniem. Przed zasłoną prawdy. Stoi teraz przed taką właśnie zasłoną. Musi ją odsunąć, zajrzeć w nieznanne jeszcze przestrzenie tajemnicy. Odkryć zagadkę tragicznej śmierci. Nagle zdał sobie sprawę, że być może część tej zagadki ma w sobie, że zna odpowiedź na wstępne pytanie. Tkwi ona w jego pamięci, choć na razie nie do końca tę odpowiedź sobie uświadamia.

Czy powiedzieć o swych domysłach kapitanowi? Chyba powinien. Jakby ściągnięty myślami Zbyszka, w progu stanął Dydowski.

– No i jak? – Z westchnieniem ulgi przysiadł na krześle.

– Przejrzałem to i owo, zresztą dość powierzchownie. Nie wygląda, by zginęło coś z tak zwanych rzeczy wartościowych. Ale... – streścił pokrótce efekty poszukiwań i domysły, związane z odnalezieniem strony tytułowej. Sprawę kartki z listą zakupów i zagadkę Goplany pominął. To wyjaśni sam. – No i ta maszyna... – dodał, kończąc relację. – Jedyna rzecz, której tu nie ma, a która była zawsze, odkąd pamiętam. Najpierw popytajmy Ignaciaków. Jeżeli i oni nic nie wiedzą, trzeba będzie spenetrować wszelkie punkty naprawy maszyn biurowych. To chyba musi pan wziąć

na siebie.

– Oczywiście – Dydowski skinął głową. – Zebrało się, widzę, sporo ciekawych spraw. Gdzie jest maszyna i dlaczego zniknęła, jeśli rzeczywiście zniknęła? – To po pierwsze. Czy był maszynopis książki, i jeśli go tutaj nie ma, co się z nim stało – to po drugie. A jak regały? Sprawdzał pan? Ten maszynopis może tam tkwić...

– Jeszcze nie. Posiedzę przy nich dziś i jutro. Sporo tego. Przejrzeć każdą teczkę, każdą książkę. Mogą tam tkwić kartki z zapiskami lub coś podobnego. Sławek często notował na różnych świstkach.

– Skoczę na moment do radiowozu, a pan niech się na razie zabierze do tych papierzyśk.

Znów został sam. Znów, jak przed godziną, opadł na fotel i pograżył się w niewesołych myślach. Co by zrobił Sławek na jego miejscu? Chyba najpierw podzieliłby z wrodzoną sobie pedanterią całe to pomieszczenie na kwartały, na metry – i potem starannie je spenetrował.

– Masz rację, przyjacielu, tak trzeba zrobić – dźwignął się z wygodnego siedziska, podszedł do regałów. Jeden z nich wciśnięty był w załomek ściany przy oknie. Na dolnych półkach leżały stosy rozmaitych teczek, od tekturowych, wiązanych na tasemki, do barwnych plastikowych. Na okładkach oznaczenia: *Rolne*, *Energia*, *Elektronika*, *Sądówki*. Spis materiałów gromadzonych w poszczególnych teczkach znacznie ułatwiał zadanie. Przejrzał wycięte z gazet artykuły, informacje, jakies tabele. Żadnych notatek na marginesach. Sięgnął po kolejną porcję teczek.

Wyjmując je, zerknął mimo woli na zdjęcie Ewy, nieżyjącej dziewczyny Sławka. Była nieodłączną częścią tego pokoju, jakby w nim mieszkała, jakby zadomowiła się tu na dobre. Ustawioną na górnej półce fotografię w ramce z jasnego drewna widywał za każdym pobycem. Dziś jednak twarz Ewy, na której zastygł delikatny uśmiech, wydawała mu się inna niż zwykle. Złudy. Fotografie nie wyławiają zdarzeń, jakich były martwymi świadkami, nie zmieniają się pod ich wpływem. A jednak...

Wyciągnął rękę, zdjął ramkę z półki, podszedł do okna. Nie mylił się. Coś było nie tak. W miejscu źrenic widniały dwa otworki. Ktoś wykłuł Ewie oczy!

Jak rażony gromem rzucił się ku drzwiom i wrzasnął do Dydowskiego, który stał z Jędrzejką przy radiowozie.

– Kapitanie! Szybko!

Milicjant długo przyglądał się śladom nakłuć.

– I co? Co pan myśli?

– Hm, dziwne. Zastanawiam się, panie Zbyszku, czym to zostało zrobione. Na pytanie: dlaczego, odpowiedź raczej mamy – potarł dłonią czoło. – To jakby dowód na istnienie silnej nienawiści do osoby ze zdjęcia. Tylko kiedy i w kim eksplodowała? Za życia Zwardonia? Sądzę, że zauważyłby to i coś z tym zrobił... Przyjmijmy więc, że dewastacji, a raczej swoistej profanacji, dokonano po śmierci pańskiego przyjaciela. Sprawca wytarł wszelkie ślady w pokoju i innych pomieszczeniach, lecz nie potrafił powstrzymać się przed złożeniem czegoś w rodzaju podpisu pod zbrodnią. Wspominał pan, że nigdy nie odnaleziono sprawcy śmierci narzeczonej Zwardonia.

Może jednak na coś trafił. I może był za mało ostrożny. – Dydowski włożył ramkę z fotografią do foliowego woreczka. – Jakby nie było, trochę pracy będą mieli nasi psychologowie. Ten czyn nie wygląda na normalny. Chyba że... – urwał.

– Chyba, że... – podjął Skubalik.

– Chyba, że mamy tu do czynienia z bardzo inteligentnym sprawcą, który zwyczajnie wpuszcza nas w maliny, wciąga w grę, chce dyktować warunki. Lecz to również jakiś ślad dla nas. No, no – kapitan pokręcił głową. – Zaczyna się komplikować.

– Myśli pan, że w ten sposób sprawca chce odwrócić naszą uwagę od... – szukał słowa – ... od prawdziwych powodów zabójstwa? Jeśli trzeba, poświęcę się bez reszty, by je odkryć – zabrzmiało to patetycznie. – Mogę wziąć urlop, połączyć, popytać. Pomogę, choćbym miał... – nie mógł sformułować myśli.

– Sam zginąć? – Dydowski lekko się uśmiechnął. – Gdybym był zabobonny, odpukałbym teraz w niemalowane drewno. Redaktorze – jego głos stwardniał. – Proszę pod żadnym pozorem nie bawić się w śledztwo. Morderca niekoniecznie jest tępym prymitywem. To może być ktoś chytry i niebezpieczny. Może stać obok, może pan, nawet nie wiedząc, widywać się z nim każdego dnia. Proszę przyrzec, że będzie pan uważał, choć po pańskim spojrzeniu widzę, że przestrogi nie trafiły do celu.

– Dobrze – zgodził się z miną, tym razem tak potulną, że milicjant spojrzał na niego podejrzliwie. Dydowski nie ma tak do końca racji. Jeśli wokół sprawy zrobi się szum, morderca prędzej czy później popełni błąd. A wtedy, łap! – I już go masz Zbysiu w garści. Bierz się więc do roboty!

Jeszcze nie wiedział, że postanowienie to każe mu stanąć twarzą w twarz ze śmiercią. O wynikach tego pojedynku z niewidzialnym miała zdecydować najbliższa przyszłość. Ale o tym również nie miał pojęcia.

ROZDZIAŁ 3

Jak zginęła Ninka?

Dzień leciał za dniem. Wydawało się, że z upływem czasu wszystko jakoś się ułoży. Były to tylko pozory. Pracowano jak zawsze, jednak po obu redakcjach uparcie krążyły pogłoski na temat nagłych zgonów dwójki kolegów. Roilo się od koncepcji, pomysłów, rozwiązań, bowiem i w nagłej śmierci Niny Kalickiej zaczęto upatrywać czegoś zagadkowego.

Zbyszek popędzany przez Wicia od paru dni biedził się nad reportażem z Pomorza. I chociaż tekst wyszedł nieźle, był niezadowolony. Krążył po redakcji jakby nieobecny, a kiedy w poniedziałek rano wypił niemal jednym haustem szklankę gorącej herbaty, do akcji wkroczyła Danka Ciskówna.

– Zdaje się, że z tobą coś nietęgo. Latasz w kółko – dobra. Myślisz tak, że aż ci gęba zbiałała – też dobra. Ale jak już łapiesz za wrzątek i wlewasz go w siebie bez zastanowienia – o, to już niedobrze.

– Co? – Ocknął się z zamyślenia. – Mówisz o herbacie? A co?

– To był wrzątek, ciołku. Nie popiekło ci czegoś w środku? No tak, nawet nie poczułeś... – westchnęła. – Oderwany od świata. Myślisz o Sławku i Nince. Może ci jakoś pomóc? Wyłóż co i jak, podumamy wspólnie.

– O czym tu dumać? Sądzę, że raczej trzeba działać.

– Wreszcie coś na miarę Skubalika – zakpiła.

– Żebyś wiedziała – spojrzał już przytomniej i z namysłem, jakby mówiąc do siebie, zaczął wyliczać: – po pierwsze Sławek. Tu cała kupa wątków. Po drugie Nina. Tu nie wiadomo nic. Sądzę, że trzeba skoczyć do Kazimierza i zobaczyć na miejscu, co i jak. Dręczy mnie przecucie, że nie mogła ot tak, utonąć. Przecież pływała mistrzowsko. Nie, nie pasuje mi to, diabelnie nie pasuje. No i fakt, że zginęli dzień po dniu. Nie wierzę w aż taki przypadek. Jadę! – Zdecydował nagle.

– Chyba nie chcesz, do jasnej cholery, bawić się w detektywa?!

– Zaraz w detektywa! – Nasrożył się. – A jakby nawet... Nie zapominaj, że tu nie chodzi o kogoś obcego. Należy się im ode mnie. Właśnie dlatego.

– Dobra, dobra. Rozumiem – machnęła ręką. – Ale nie szalej Zbychu, nie szalej.

– No to... gdyby ktoś pytał, jestem jutro w Kazimierzu.

– Jutro nie pracujemy. W całym budynku robią deratyzację.

– W takim razie pa, kruszyno, do pojutrze. I nie rozrzucaj tak tych gazet. I walnij w diabły te pety. Albo ogranicz.

– Rozkaz, szeryfie!

Po pustych ulicach z rzadka przemyczał jakiś przechodzień, a jeśli się już pojawił, pędził przed siebie, starając się spieszenie dotrzeć w jasno oświetlone miejsca. Dźwięk kroków odbijał się głuchym echem od gładkich tafli sklepowych wystaw. Ten rejon miasta, szczególnie park wokół Pałacu Kultury, nie należał po zmroku do bezpiecznych. Pobliski Dworzec Centralny ścigał rozmaitych obieżyświatów i całe gromady amatorów łatwego zarobku i łatwych przygód.

W uliczkę między blokami skręciła ciemna postać. Uważnie zlustrowała okna, wejścia do budynków, rzędy zaparkowanych samochodów. Przykucnęła przy jednym z nich. Zazgrzytało. Nagle obok rozległy się czyjeś głosy. Chodnikiem szła przytulona do siebie para.

Postać przyczała się za samochodem, potem kilkoma susami skoczyła za róg budynku i zniknęła w ciemnościach.

*

Ranek był jasny i pogodny. Coraz mocniej przygrzewało słońce. Trabant, prychając z wysiłku, jakby chciał wypluć z siebie lata służby u niezbyt o niego dbałych poprzednich właścicieli, niespiesznie toczył się pustawą dziś lubelską szosą. Skubalik z przyjemnością wciągał do płuc powietrze pachnące łąkami i lasami. Zatrzymał się na odpoczynek i kawę w przydrożnym barze, podrzucił ze wsi do wsi starego, wąsatego chłopca.

Dochodziło południe, kiedy wjeżdżał w uliczki Kazimierza. Jak zwykle było tu spokojnie, sielankowo. Westchnął. Urlop zaplanował na drugą połowę sierpnia. Jeszcze ponad miesiąc. Zresztą co to za urlop? Samotny, pełen smutnych wspomnień. Co roku jeździł na Suwalszczyznę, zawsze ze Sławkiem i Niną. Trabant ugiął się pod ciężarem namiotów, garnków, materacy, plecaków i trójki pasażerów. Pokrzykiwali wesoło, wyśpiewując piosenki jeszcze ze studenckich wypraw. A potem zajeżdżali do urokliwej wsi Danowskie na skraju gęstych borów albo nad któreś z mało uczęszczanych pobliskich jezior, rozbijali obozowisko i przez dwa tygodnie pławili się w wolności.

Przyjaźń łącząca obu młodych mężczyzn z Niną komuś, kto patrzył z boku, mogła się wydawać dwuznaczna. Lecz oni traktowali ją najzupełniej normalnie. Mieli tyle samo lat, razem – jeszcze jako studenci – przewędrowali niejedne góry, razem nie dojadali, razem ścibolili złotówki na kolejne wyprawy. Łączyło ich też coś innego: wszyscy troje nie mieli już rodziców ani żadnych bliższych krewnych. Lgnęli więc do siebie szczególnie mocno, jakby przyjacielska więź miała zastąpić brak rodziny. Wcześniej byli jeszcze we czworo – z Ewą, dziewczyną Sławka, równocześnie serdeczną przyjaciółką Niny. Gdy Ewa zginęła, już trudno było im się rozstać; wspólne przeżycia spajały bardziej, niż najgorętsze uczucie. Kochał Sławka, jak brata, którego nigdy nie miał. Nina zastępowała mu siostrę.

– A teraz zostałem sam – poczuł nieprzyjemny skurcz w gardle. – Muszę to zrobić, muszę... – mruknął przez zaciśnięte zęby. Dodał gazu, przyspieszył. W parę minut później zajechał na parking przed Domem Dziennikarza.

– Zbychu! Co ty tu robisz?! – Na schodach stał opalony na czekoladowo Fredek

Kobiór, znany stołeczny fotoreporter, okaz podrywacza, któremu męskości dodawał początek siwizny, z lekka srebrzącej jego ciemne włosy.

– Fredek! Cześć! Cieszę się, że jakaś znajoma gęba. Od dawna tu jesteś?

– Uaa... – ziewnął Fredek. – Od strasznie dawna. Ponad tydzień. Nuda. Laski w tym roku nie obrodziły. Same wybierki.

– Przynajmniej odpoczniesz na stare lata – uśmiechnął się Skubalik uradowany niespodziewanym spotkaniem. Wbrew pozorom Fredek był świetnym kumplem i dobrym człowiekiem.

– Jakie stare? Jakie stare? Ty masz... hm, no tyle, ile masz. A ja najwyżej o piątkę więcej, no, może piątkę z ogonem. I co to za odpoczynek? Wiesz sam, że nad łono natury przedkładałam inne.

– Wiem, wiem. To znaczy byłeś tu wtedy, gdy...

– Chodzi ci pewnie o wypadek Niny. To była dziewczyna! Nieraz miałem ochotę ją poderwać. Mam wrażenie, że byłaby zdolna zaciągnąć mnie nawet do ołtarza. O, przepraszam – zająknął się, widząc posępną minę Zbyszka. – Wybacz stary. Lecz myślę, że taką dziewczynę to i miło trzeba wspominać. Chodź, mam wolne łóżko w pokoju. Bolo Kulka wyskoczył na trzy dni do Warszawy. Umyjesz się, boś zakurzony jak – nie przymierzając – wiejska dróżka.

– Dzięki Fredziu. Dziś, jutro będę wracał. Ale chętnie trochę się ochlapię i rozprostuję gnaty.

W pokoju Fredka panował kawalerski bałagan. Na stole, zarzuconym masą rozmaitych przedmiotów, poniewierały się w nieładzie rozmaite zdjęcia.

– To ty i na wczasach cykasz?

– Cóż, brachu. Skaza zawodowa. Pod skórą siedzi to cykanie i nie poradzisz. I tak jeszcze jakoś się bronię, bo staram się robić z tego również przyjemność, nie tylko fach. Toteż na wczasy biorę moją wierną narzeczoną – stary aparacik. Taki tradycjonalista jestem. W tym staromodnym okienku wszystko od razu lepiej mi wychodzi. Od chętnych aż trudno się opędzić. Każdy nadstawia gębę. A ja potem muszę w kółko latać do Henia, fotografa w Rynku, co by mi te zdjęcia wywołał i porobił odbitki. Cóż, chłopina sobie przynajmniej zarobi... O, tu masz nawet Ninę. Robione dzień przed tym, nim... no wiesz... – Chrząknął. – Rozumiem, brachu. Współczuję.

Zbyszek wpatrywał się w fotografię. Ninka. Rozgadana, radosna. Mówiła coś do kogoś poza kadrem.

– Fredziu, z kim ona tu rozmawia?

– A... tu. Z Tadzkiem Boczkowskim. Nie odstępował jej na krok. Odbiło mu. Zakochał się.

– W kim?

– Jak to w kim? W Nince.

– Tadzio w Nince? Przecież oni się znali od dawna i nie widziałem, żeby jakoś specjalnie do siebie ciągnęli.

– Co z tego, że się znali? Aleś ty bracie zielony. A czy to już nie można zakochać

się po czubek organizmu w koleżance? Tak to jest... Człowiek patrzy latami na swoją kumpelkę i widzi tylko kumpelkę. Aż tu nagle pewnego dnia ona stanie jakoś szczególnie, powie coś innym głosem, wdzięcznie się przechyli – i już po koleżance. I widzisz tylko kobietę. Wtedy łatwo wpaść – Fredek przemawiał tonem starego wygi.

– Tadek tu był, gdy Ninka utonęła?

– Był. Żebyś widział, jak rozpaczał. Zaraz po tym wszystkim spakował manatki i wyjechał.

– Wiesz coś bliższego o śmierci Niny? Kiedy to się stało, w jakich okolicznościach?

– Co nieco wiem. Ale najlepiej... – fotoreporter podrapał się po głowie – ... najlepiej jak skoczmy na przystań. Tam stróżuje taki dziadyga, który chyba wszystko widział, bo pierwszy wołał ratunku. Tylko trzeba jakąś butelczynę, najlepiej czyściochę; jemu to dobrze robi na rozum.

Dokonawszy stosownych zakupów, ruszyli nad Wisłę. Po drodze Skubalik wtajemniczył kolegę we wszystko, co wiedział o śmierci Zwardonia. Fredek słuchał uważnie, wstrzymując się od wszelkich komentarzy. Kiwał tylko głową i wpadał w coraz większe zamyślenie.

*

Na progu drewnianej szopy siedział ospowaty starszy jegomość. Spod kaszkietu czapki spoglądały czujne jasne oczka. Dłubał patykiem w sfatygowanej fajce i pomrukiwał pod nosem.

– Dzień dobry, panie Zgoda.

– Dobry, dobry, po cholercze dobry. Od rana parzy, gorąc jak sto diabłów, a te golce latają i kwiczą, jakby im nie dość słońca przez cały czerwiec. Durny ten naród. Włóż w te brudy, znaczy w wodę, a potem człowieku wyciągaj topielców. Bo czy to jedno z drugim umie pływać – zrzędził.

– Co prawda, to prawda. Mamy do pana sprawę właśnie na ten temat – Fredek wyjął butelkę, dyskretnie pokazał ją Zgodzie. Ten rozejrzał się, splunął, położył palec na ustach:

– Ciii... Ja na służbie jakby. O co idzie, panowie? Interesik macie? – Szepnął konspiracyjnie.

– Jaki tam interesik? Pogadać chcemy – odszepnął Fredek.

Stary uśmiechnął się chytrze: – Panie, chcecie poić mnie wódką dla samego widoku? Co będziecie mieć ze starego? A jak interesik, to walcie śmiało – zgarnął łapczywie butelkę, wepchnął ją w kieszeń i uśmiechnął się zachęcająco. Zbyszek przysiadł na zwalonym pniu. Spojrzał Zgodzie w oczy.

– Co mi tak pan zaglądasz w ślepią? Przecież ja nie panienka. Ej, panie, coś chcecie kręcić.

– Chcę prawdy.

– Prawdy? A gdzie ona? Nogi starłem, łażąc za tą prawdą. To i teraz siedzę, w rzekę patrzę, odpoczywam i prawdy już nie szukam. Nie dla człowieka takie

szukanie.

– My nie chcemy prawdy o życiu, panie Zgoda, a o tym ostatnim wypadku, kiedy utonęła ta młoda dziennikarka – nie ustępował Fredek.

– A... trzeba było od razu. Na co panom wiedzieć? Wy z milicji?

– Nie, koledzy zmarłej. Chcemy poznać przebieg wypadku, bo nikt nic bliższego o tym nie wie, ludzie gadają różne rzeczy, ale ludziom nie warto w takich sprawach wierzyć.

– Fakt, nie warto – zgodził się stary, ale zaraz zmienił ton i zapytał surowo: – legitymacje jakieś macie? Jak mowa o Wiśle, to ja człowiek służbowy – zajrzał ciekawie w legitymację prasową, podsunętą przez Zbyszka. – No dobrze, znaczy się, wy też służbowo – mrugnął porozumiewawczo. Zapatrzył się w rzekę, przez chwilę milczał, żując cybuch fajki. Wreszcie zaczął:

– To słuchajcie panowie, com widział. Możecie nawet zakonotować, bo gadał będę akuratnie. W niedzielę, gdzieś tak po śniadaniu... Nie! Co ja gadam? Szło na dziesiątą. Dokładnie było, no patrz pan, za dziesięć dziesiątą. Patrzę, a tu z góry schodzi jakaś młoda, no – ta, co potem utonęła. Idzie tym brzegiem, rozgląda się. To ja pytam: – a co panienka szuka? A ona: – e, nic, umówiłam się ze znajomą. Tom ja zachichotał i gadam: – taka w spodniach, co więcej na chłopca wygląda. A ona: – tak jakby. A skąd pan wie? A ja: – toż znam życie. Każda chodzi, żeby się ze znajomą spotkać, a potem nie wiedzieć skąd bachor w domu. Od koleżanki? I zaśmiał się – ja, aż mi teraz nieprzyjemno tak śmiać się z nieboszczki. Ale ona, panie, nie była jeszcze nieboszczką, tylko niczego sobie kobitką. Też się zaśmiała i mówi: – Panie Zgoda, fajny z pana człowiek. Tak powiedziała, nie chwając się. No to ja pytam: – zna mnie panienka? A ona: – a któż by nie znał dyrektora Wisły. Ja na to: – żeby panienka wiedziała, że jakby nie ja, toby niejeden żywy był już nieboszczykiem. Tfu! Chyba w złą godzinę tom powiedział, bo zaraz potem coś zaczęło chlupotać w wodzie i wrzeszczeć: – ratunku! Pomocy! Niedaleko nas, naprzeciw tej szopy, gdzie ta kępa po drugiej stronie rzeki. Ja wiem, czy to wołała kobita czy chłop? Panie, jak się człek topi to i głos się zmienia. Chłop potrafi kwiczeć jak baba, a baba chrypieć jak chłop. Więc toto woła z wody i ja już wiem, że się topi. Skoczył ja na równe nogi i lecę łódkę spychać. A panienka woła: – płynę! A pan niech ubezpiecza! – I to były jej ostatnie słowa za żywego. Jak ci nie zerwie sukienki. W samych majtkach i biusthalterze się została. I szlus do wody! Ja się wygrzebał i za nią, żeby łódkę zepchnąć. A ona, panie, już na środku, płynęła jak ryba. Kotłowało się tam, kotłowało. Raz ktoś krzyknął, a potem już było cicho. Podpływam bliżej i patrzę, że prują na drugi brzeg. Więc ja za nimi. Trzeba pomóc topielca wyciągnąć, co go panienka holuje do brzegu. A psiakość, okulary gdzieś się zapodziały, więc trochę wszystko mi niewyraźne było. Tamci dopływają już do brzegu. Patrzę, wylażą z wody... nie, jedno wylazło z wody i buch w krzaki. Przez te okulary to nawet nie wiem, czy to chłop był czy baba. Dobiłem do brzegu, wołam – a tu nikogo. To mnie targnęło, że może ten, co ratunku wołał, wygłupiał się. Bo panie, często tak robią różne szczeniaki, jakby się w śmierć bawili. Może ten niby tonący przestraszył się, jak mu na pomoc skoczyli, i uciekł. A gdzie panienka? – Pomyślałem i wracam. A tu

nikogo, pusta woda. Wołałem, wołałem i nic. Właśnie nadjechała motorówka wodnego pogotowia. Więc drę się: – tutaj! Tutaj! Przy płynęli, jeden chlupnął w wodę i szuka. Za trochę wyciągnęli panienkę, ale życia już i sam pan Bóg by jej nie wrócił. Zostało pod wodą, przez jakiegoś łobuza zakończone. Chciała łajdusa ratować i sama na dno poszła.

– Powiedział pan to wszystko milicji? – Zbyszek z trudem wydobył z siebie głos. Przeczucia go nie myliły. Śmierć Ninki nie była banalnym przypadkiem.

Zgoda zerknął spod oka, przygryzł wargę, podłubał patyczkiem w fajce, nabił ją tytoniem, przyłożył zapałkę. W górę poszybowały kółeczka dymu.

– Milicji to ja nie mówił, bo nawet nie pytali. Kogo znajdą w tych krzakach? Tu latem kupa luda, to i te nasze, miejscowe milicjanty roboty mają po uszy. Na brzegu złodziejaszki, dokoła panoszy się łobuzerka, a na dodatek topielce, co rusz jakiś. Więc po co jeszcze im głowę zawracać. Tak czy siak życia biedaczce nie wróci – westchnął ciężko. – Ładna była kobitka, ładna. Tak i myślę, że ten niby topielec pomógł jej pójść na dno. Chcący albo niechcący... czort wie... Wyglądało na chcący. To panowie już idziecie? – Zapytał, widząc, że szykują się do odejścia.

– Na nas już pora. Dziękujemy panu. Najlepiej, żeby pan poszedł zaraz jutro na milicję i wszystko opowiedział. To ważne.

– Ano, jak mus to mus – zgodził się stary.

– Cóż, sprawa jest jasna – stwierdził Fredek, kiedy, wspiąwszy się na skarpe, wracali w stronę Domu Dziennikarza.

– Myślisz, że nie łgał?

– Chyba nie. Musiał tego dnia naoliwić, we łbie miał pijany wid, babrał się z łódką, a potem zląkł się odpowiedzialności. Nam powiedział, bo go sumienie gryzło, a i miał parcie na buteleczkę. To pocziwina, tyle że za dużo chleje.

– Hm, więc jest prawdopodobne, nawet niemal pewne, że i Ninę ktoś... – mruknął Skubalik.

– Co masz na myśli?

– Jeśli Ninę ktoś celowo utopił, a potem wykończył Sławka, sprawa robi się mocno skomplikowana.

– Na to wygląda – poznał Fredek.

– Bardzo na to wygląda. Bardzo.

*

Zjedli późny obiad, wypili po dużej kawie i Zbyszek zaczął szykować się do powrotu. Dowiedział się w zasadzie wszystkiego. Na milicję w Kazimierzu nie miał po co iść. Był przecież w tej sprawie osobą zupełnie postronną. Zresztą nie chciał, żeby Dydowski usłyszał od tutejszych funkcjonariuszy o jego detektywistycznych wożaczach.

– Wiesz Zbychu, obrzydło mi już lenistwo wakacyjne. Zabiorę się z tobą – zaproponował Fredek, kiedy Skubalik otworzył drzwi trabanta, szykując się do odjazdu.

– Dobra, pospiesz się. Robi się późno, a do Warszawy kawał drogi.

Po kwadransie wjeżdżali w centrum miasteczka. Mimo pory dnia ruch był zaskakująco duży. Skubalik zręcznie omijał samochody, rowery i snujących się leniwie nieuważnych przechodniów. Jeszcze tylko skręt w lewo, zjazd wąską uliczką w dół. Nacisnął hamulce. Żadnego oporu. Ponowił próbę. Nic z tego. Trabant jak bezwładna kula toczył się coraz szybciej i szybciej.

– Uważaj! – Wrzasnął Fredek.

Zza rogu wychynął naładowany sianem drabiniasty wóz. Trzasnęły wyłamywane belki drabiny, siano wzbiło się wysoką fontanną w górę, opadając gęstą czapą na dach samochodu. Zbyszek usłyszał jeszcze, jak ktoś przeraźliwie krzyczy.

ROZDZIAŁ 4

Te zabójstwa się łączą!

– Fredek? To ty? Bogu dzięki – odetchnął z ulgą, słysząc głos kolegi. – Jak się czujesz? Krew już nie cieknie? Miałeś paskudnie rozwaloną wargę. Bolał jeszcze gnaty? Mnie też. Do tego mam na łbie kosmicznego guza. Gdyby nie ta fura z sianem, siedzielibyśmy już na chmurce w charakterze aniołków, bo przy końcu tamtej ulicy był solidny betonowy mur. Samochód? Cóż, też mocno potłuczony. Najgorsze było przepytywanie na milicji. Ty sobie jeszcze leżałeś na kozetce w pogotowiu i przewracałeś oczami do pielęgniarek, a mnie już mordowali tym swoim „a jak, a kto, a co”. Traf chciał, że akurat wtedy, kiedy się szarpałem z miejscowymi koleśkami z drogowej, zadzwonił tam Dydowski. Opieprzył mnie za łązenie mu po śledztwie, jak się był łaskaw elegancko wyrazić, a drogowce kazał dostarczyć trabancika do milicyjnego warsztatu na badania specjalistyczne. Bo ja wiem dlaczego? To nadzwyczaj podejrzliwy gość. Nie, nie mam mu za złe, co ty? Aha, a propos tego łązenia po śledztwie. Przyjdź do mnie do domu o czwartej. Zaprosiłem szanownego kapitana, może uda się coś z niego wycisnąć. Choć mam wrażenie, że się chytrus sam wprosił.

Przetarł dłonią spocone czoło. Danka siedziała przy biurku, skurczona nad odbitką artykułu.

Gdzieniedzie stawiła znaki, kreśliła, dopisywała. Widząc, że Skubalik zbiera się do wyjścia, przestała udawać zainteresowanie tekstem.

– Zbychu, po kiego pioruna pchasz się w nieswoje sprawy? Dobrze na tym nie wyjdiesz.

– A coś ty taka rozprorokowana? Daj mi spokój, zły jestem jak sto diabłów. Taki durny wypadek! Tfu!

– Jak sobie chcesz. Nie powiem już ani słówka – zrobiła obrażoną minę, i nie patrząc na kolegę, wróciła do kreślenia.

*

Popołudnie było słoneczne i parne, odpowiednie raczej do wypadu na łono natury, niż do poważnych rozmów o życiu i śmierci.

Dydowski upił łyk kawy, przejechał dłonią po ostrzyżonych na jeża włosach. Skubalik i Kobiór wpatrywali się w jego skupioną twarz.

– Pan był w Kazimierzu przez dwa tygodnie? – Spojrzał pytająco na Fredka. Ten poruszył się, przełknął ślinę, chrząknął.

– Tydzień z małym kawałkiem. I nie opuściłem miasta nawet na godzinę. Mogą to poświadczyć... hm... w Domu Dziennikarza.

– W niedzielę od dziesiątej do dwunastej siedział pan w kawiarni z Zosią i Elą, młodymi obywatelkami Kazimierza. W poniedziałek po południu był pan na odczycie o zaletach turystycznych regionu i zadał nawet pytanie. Zaś od rana do obiadu wzmocniał pan opaleniznę w kąpieli krzaków nad Wisłą w towarzystwie wspomnianej Zosi Kowalskiej – kapitan, widząc zdumioną minę fotoreportera, uśmiechnął się szeroko.

– Wie... wie pan dużo – głos Fredka zawibrował niespokojnie. Nie należy do przyjemności świadomość, że ktoś jest w stanie prześledzić niemal każdy krok człowieka, i to człowieka Bogu ducha winnego.

– Normalka – chrząknął Dydowski. – Taka kolej rzeczy. Jest... to znaczy, był pan dobrym znajomym obojga nieżyjących. W czasie wypadku Kalickiej siedział pan w Kazimierzu. Na szczęście, dla pana oczywiście, prawie zawsze w towarzystwie, w dodatku bardzo prawdomównych pań. I, na drugie szczęście, także w poniedziałek, gdy zginął Zwardoń, nadal w tym miejscu i towarzystwie pan pozostawał.

– Byłem podejrzany? – Fredek poruszył się nerwowo.

– Każdy jest podejrzany – stwierdził sentencjonalnie kapitan. – Póki nie przyjdzie chwila, gdy niektórzy z tych podejrzeń zostaną oczyszczeni. Oczywiście po odpowiednim sprawdzeniu co, gdzie, z kim i jak – ostatnie słowa wypowiedział niemal pieszczotliwie. Roześmiali się głośno. Napięta atmosfera wyraźnie zelżała.

– Kapitanie – Skubalik uniósł się lekko z fotela, jakby to co ma do powiedzenia, chciał wygłosić na stojąco: – proszę szczerze... chociaż jest to, jak rozumiem, tak zwana tajemnica śledztwa... ale mimo to proszę powiedzieć szczerze, dlaczego podkreślił pan fakt, że Fredek był dobrym znajomym obu nieżyjących? Dlaczego połączył to pan w j e d n o? Czyżby zdarzyło się coś, co każe sądzić, że obie sprawy mają ze sobą związek? Czyżbyście zbadali już szczegółowo okoliczności śmierci Niny i czy okazało się, że została zabita?

– To już koniec pytań? – Dydowski patrzył wyczekująco.

– Nie, nie koniec. Kazał pan zbadać mój uszkodzony w zwykłej kraksie samochód. Dlaczego? Przecież nie z sympatii do niejakiego Skubalika. Czuję, że gdzieś, na jakimś szczeblu służbowym ustaliliście, iż można mi to i owo powiedzieć. Cel tego też wydaje się jasny. Sądzicie, że coś wiem. Coś ważnego, o czym nie chcę wam powiedzieć lub z czego może nie zdają sobie na razie sprawy.

Dydowski przed chwilę milczał, jakby zbierając myśli.

– Właśnie tych pytań oczekiwałem. Czy łączę te sprawy? Kiedy rozwiązuje się zagadkę, i to zagadkę skomplikowaną, należy patrzeć wielostronnie nawet na najdrobniejsze szczegóły. Tyle na razie mogę na ten temat.

– Rzeczywiście okropnie dużo – mruknął Skubalik.

– Cierpliwość to cnota królów – odparował kapitan. – Odpowiadam na drugie. Samochód kazałem sprawdzić, że tak powiem, rutynowo. Może z sympatii do pana, a może z troski o kiepskich kierowców i stan trabantów na naszych drogach. Mówiąc między nami, coś mi w tej sprawie nie dawało spokoju. Nie, nie bawię się w Pytię. Po prostu doświadczenie podsuwa rozmaite pytania, wymuszając niejako konieczność

znalezienia odpowiedzi na nie.

– To było pytanie trzecie, nie drugie. Ale dobra, niech panu będzie – Skubalik machnął ręką.

– Trzecie, drugie – nieważne. Pozwoli mi pan dokończyć?

– Przepraszam, nerwy.

– Słusznie, że nerwy. Będąc na pana miejscu, denerwowałbym się bezustannie. Dlaczego? Otóż oględziny pańskiego auta wykazały – tu nie ma wątpliwości, bo fachowców mamy świetnych – że ktoś uszkodził hamulce. Ale na szczęście swoją robotkę sfuszerał, co poniekąd dowodzi, iż zrobiła to osoba niebędąca wielkim znawcą motoryzacji. Albo też coś jej w dokończeniu dzieła przeszkodziło.

– Hamulce? W moim trabancie? Po jaką cholere? A co ja mam do tego?

– Właśnie. Co? – Dydowski patrzył na dziennikarza już bez uśmiechu. – Jakby nie było, jedno wydaje się pewne. Nie wolno panu prowadzić śledztwa na własną rękę. Jest pan niezmiernie lekkomyślny, sądząc, że da temu radę. Uszkodzony wóz to chyba wystarczająco dobitny argument. Komuś pan przeszkadza. Powód? Prosty jak budowa cepa. Zabójstwo Zwardonia. Musi to być przeszkadzanie na tyle niebezpieczne, że zabójca zdecydował się, mówiąc nieco teatralnie, wydać pana na śmierć. Tyle, że miał pan, a właściwie mieliście obaj, cholernie dużo szczęścia. Mówię o tej furze z sianem. Jednak szczęście chadza różnymi drogami. Drugim razem może go zabraknąć.

– Ale gdyby nie ten, powiedzmy, że szczęśliwy dla nas wypadek, nie wzięlibyście się poważnie za sprawę śmierci Ninki.

– Tak pan sądzi? Zanim pan dotarł do Kazimierza i zdążył przepytac tego starszego jegomościa o szczegóły, ja już znałem wyniki autopsji pani Kalickiej.

– Kurwa mać! Nie mógł mi pan tego powiedzieć?! – Skubalik zerwał się z krzesła. – Aha, kapuję, wielka tajemnica śledztwa. Nietykalna tajemnica. Ściana.

– Zbychu, daj spokój – Fredek zerkał niespokojnie na twarz kapitana, która przybrała odcień lekko czerwony. – Każdy robi, co do niego należy. Ty śledczym nie jesteś, i nie ma o czym gadać. Oni przecież nie muszą o niczym cię powiadamiać. Masz może piwo? – Zmienił temat.

– Co? Jakie piwo? Ach tak. Piwo. Mam. Zaraz przyniosę.

– Twarda sztuka – westchnął Dydowski, kiedy Skubalik zniknął w drzwiach kuchni.

– Niech się pan nie dziwi. To naprawdę byli wielcy przyjaciele. Cała trójka. Ja go rozumiem. Chce coś zrobić. Nie potrafi opuścić rąk i czekać. Nie ten typ.

– Rozumiem, dobrze rozumiem. Tyle, że to gra bardzo niebezpieczna. Zabójca wydaje się bezwzględny. Nie będzie miał skrupułów, żeby zamordować trzecią osobą.

– A jednak... – Skubalik stał w drzwiach kuchni, w rękach trzymał dużą tacę ze szklankami i butelkami. – Jednak ten sam morderca. Wygadał się pan. I tak niechący odpowiedział na drugie pytanie.

– Niechący a może chcący – mruknął Dydowski. – Pan mi po prostu nie za bardzo daje dojść do głosu. Można piwo? Straszna duchota.

– Proszę. Chłodzone. Bierz Fredek. Już się zamykam i czekam na ciąg dalszy.

Przypominam, chodzi o Ninę.

– Pamiętam – kapitan upił łyk piwa, rozprostował pod stolikiem swoje długie nogi. – Autopsja Kalickiej wykazała, że do utonięcia doszło na skutek paraliżu mięśni. Wstrzyknięto jej środek, którego używa się tylko w szpitalach. Ktoś udawał tonącego, zwabił ją do wody, a gdy podpłynęła, pod pozorem chwycenia się ramion ratującej, wbił jej w ramię igłę.

– Wszystko jasne. Dobrze, że wtedy podsunąłem panu wątpliwości, co do tej śmierci – głos Skubalika był zadziwiająco spokojny, jakby opuściło go całe napięcie.

– To akurat muszę przyznać. Pana upór w sprawie utonięcia Kalickiej był sygnałem, że warto na to zerknąć. Tym bardziej, że ofiary znały się bardzo dobrze, a oba zdarzenia miały miejsce dzień po dniu.

– Czy teraz... – Zbyszek zawahał się, jakby słowa, które miał wypowiedzieć, nie chciały mu przejść przez gardło. – Czy już będę mógł ich pochować... no, zrobić pogrzeb itepe... Bo tylko ja im zostałem.

– Tak. Proszę przyjść jutro. Załatwimy formalności.

– Dziękuję. Jest pan porządnym facetem.

– Panu też nic nie brakuje i gdyby jeszcze...

– Wiem, wiem. Gdyby jeszcze ten skubany Skubalik, nie pchał swego nochala, gdzie nie trzeba. Dobra, niech już będzie, że jest pan moim Aniołem Stróżem. To nawet przyjemne, taka troska o człowieka – zakpił. – Wracając jednak do sprawy. Nawet, jeśli nie będę się panu pętał po śledztwie, nie przestanę o nim myśleć. Zresztą już doszedłem do pewnych wniosków. Jeśli pan kapitan pozwoli, wyłożę je, że tak powiem, na stół.

Widząc zachęcające skinięcie, dziennikarz utwierdził się w przekonaniu, że ta wizyta, te niby przypadkowo ujawnione szczegóły śledztwa, nie są ot, takim sobie, zwyczajowym postępowaniem. Dydowski to chytry lis. Na coś czyha. Niby się złości, ostrzega, ale równocześnie sączy informacje. Ma nadzieję, że coś sobie skojarzę, przypomnę. Mogę stać się w jego rękach lepem, na który złapie zabójcę Sławka i Niny. Może ostrzega mnie po to, by tym bardziej rozjuszyć i skłonić do aktywności; przecież zorientował się, że nie zostawię sprawy spokojnie. Wystawia mnie na wabia? Dobra, wchodzę!

– Jestem pewien, że oba zabójstwa ściśle się łączą. Zresztą pan też o tym wie. Jestem przekonany, że to nie koniec. Ja mam być kolejną, trzecią ofiarą. Tym zamachem na moje auto zabójca odsłonił swój cel. Teraz jestem nim ja – trzecia osoba z naszego grona. A więc nie chodziło mu ani o samego Sławka i o samą Ninę, a o całą naszą trójkę. Czyli posiadliśmy jakąś tajemnicę, na tyle groźną dla mordercy, że postanowił nas wyeliminować. Co to za tajemnica? Tego nie wiem. Jednak morderca sądzi inaczej. Może w tym należy, panie kapitanie, upatrywać szansy na schwytanie bydlaka. I jeszcze jedno: ten typ znał doskonale zwyczaje a nawet rozkład zajęć Sławka i Niny. Inaczej skąd by wiedział, że w poniedziałek po południu Sławek będzie w domu sam? Skąd wiedział, że jego sąsiedzi wyjdą? Musiał to wiedzieć! – Stwierdził dobitnie. Dydowski milczał, przyglądając mu się spod oka. Od czasu do czasu kiwał głową, jakby zgadzał się ze słowami reportera.

– Musiał też znać Ninę lub sporo o niej słyszeć, jeśli był pewien tego, że gdy zacznie wrzeszczeć „ratunku”, Nina, były ratownik, skoczy mu na pomoc. Skąd wiedział, że akurat tego dnia i o tej porze będzie ona w tamtym miejscu nad Wisłą? – Skubalik pociągnął dłonią po czole. – Coś niejasnego, co się z tym wiąże, lata mi po głowie, ale nie mogę jakoś tej myśli złapać. Może przyjdzie sama. I pytanie jakby uboczne: skąd wiedział, że stary Zgoda już od rana nie jest trzeźwy, więc nie przeszkodzi w realizacji planu?

– Nawiasem mówiąc... – wtrącił kapitan – ... do dziś nie znalazł swoich okularów. Chyba leżą na dnie Wisły albo zręcznie mu je ukradziono. Dziadek rzeczywiście kiepsko widzi. Przepraszam, przerwałem panu interesujący wywód.

– Hm – chrząknął Skubalik, nieco zbity z tropu. – Wszystko lepi się do kupki. Zabójca, o tym też trzeba pamiętać, również musi nieźle pływać. Wykorzystał element zaskoczenia, co zmniejszyło ryzyko do minimum i dało wolną drogę do ataku na Ninkę. Reasumując: trzeba szukać zabójcy wśród bliskich znajomych Sławka, Niny i moich. Jest ich okropnie dużo, lecz szybko ileś osób można wyeliminować. Pierwszego Fredka.

– O, dziękuję za zaufanie – zaśmiał się fotoreporter. – Ale ja rzeczywiście nie mam nic wspólnego z tymi zbrodniami. Mówię tak na wszelki wypadek, jakby się jednak kolebały w panach jakieś wątpliwości w tym temacie.

– Nic się we mnie, co do ciebie, nie kolebie – Zbyszek położył dłoń na sercu.

– Ani we mnie – kapitan powtórzył gest Skubalika.

– No to mi ulżyło.

– Mam, redaktorze, prośbę – Dydowski wyjął notes i długopis. – Mógłby mi pan wymienić tych wspólnych dla waszej trójki przyjaciół i najlepszych kolegów?

– Nie ma problemu. Proszę notować. Tadek Boczkowski, obecny tu Fredek Kobiór, Anka Jabłkowska... – dyktował przez dłuższą chwilę. Był już okropnie zmęczony, marzył o prysznicu i drzemce. Z ulgą odprowadził gości do drzwi. Dydowski, podając mu rękę na pożegnanie, uśmiechnął się przyjaźnie.

– Dziękuję za pożyteczną rozmowę. Nawet pan nie wie, jak pożyteczną. I proszę na siebie uważać. Podwójnie, a nawet potrójnie. To nie żarty.

– Chwilkę – Skubalik zatrzymał wychodzących. – Panie kapitanie, co z maszyną Sławka? Wszystkie punkty napraw już sprawdzone?

– Nie do końca. Kilka zamkniętych; sezon urlopowy. Lecz trzymamy rękę na pulsie. Niestety, musimy już pana pożegnać. Praca...

Kiedy wyszli, sprzątnął spieszenie ze stołu i skoczył pod prysznic. Stojąc w strugach chłodnej wody, nie mógł oderwać się od myśli, która trapiła go przez kilka ostatnich dni. Skąd morderca wiedział, że wyjeżdża do Kazimierza, czyli na trasę, gdzie nie brakuje odcinków, na których potrzebne są sprawne hamulce? Wzdrygnął się nagle, jakby po raz pierwszy wyraźnie poczuł, że tajemniczy cień stoi bardzo blisko.

Z głębi korytarza dobiegały dźwięki telewizyjnego koncertu. Postać w głębi fotela zatkała uszy.

– Cicho, cicho.... Nie udało się, nie udało... Trzeba powoli. Dokładnie. Nie tak szybko. Tym razem musi się udać... Musi. Już mało czasu... bardzo mało. On nie może żyć, nie może... Tylko ja. Ja...

ROZDZIAŁ 5

Dwa pogrzeby

Pogrzeb Sławka zbiegł się z pogrzebem Niny. Żegnający Zwardonia nie musieli wracać do miasta. Spory tłumek czekał na placu przy powązkowskim kościele św. Jozafata na kolejną smutną uroczystość. Z ust do ust podawano sobie półszepcetem rozmaite szczegóły. Nie do wiary! Takie nagłe zgony dwojga młodych, zdolnych ludzi.

Wielu z obecnych znało osobiście Sławka i Ninę. Znało i serdecznie żałowało. Ci, słuchając mów pożegnalnych, uronili łzę. Dla innych oba pogrzeby były tylko nadzwyczajną sensacją. Rozglądali się uważnie po twarzach żałobników, chcąc wychwycić osobliwe szczegóły i wyciągnąć z tego jakieś wnioski, przeważnie daleko idące.

Dopiero w tej godzinie sądu ostatecznego Skubalik pojął, jaką pustkę zostawiła po sobie dwójka przyjaciół. Jeszcze niedawno, wyjeżdżając w delegację, żegnał się ze Sławkiem wesołym: – Hej, stary! Trzymaj się!

A teraz? Na nic chęć życia, pasje i talenty. Teraz tylko Oni – martwi i my – żyjący. Kimże jesteśmy? Kto nas potrzebuje tak bez reszty? Czy naprawdę nie obejdzie się bez nas żaden kolejny dzień, tydzień, rok?

Spoglądał nieobecny wzrokiem na gromadkę kolegów z kilku redakcji. Ilu z nich myślało, że wchodząc w ten zawód, stawiają nogę na pierwszym stopniu sławy? Niestety, sława była zjawiskiem rzadkim. Wszystkich prędzej czy później chwytala w kleszcze codzienność, mająca kształt i kolor zadrukowanej płachty, dzień po dniu, rok po roku odzierająca ich niemal ze wszystkiego, co własne, osobiste. Dla niej docierali w zakątki, gdzie diabeł mówi dobranoc, dla niej znosili podłe jedzenie w delegacyjnych byle knajpach i barach, dla niej zarywali noce na pisanie.

Życiem ich rządził skrawek papieru narzucający bezwzględne posłuszeństwo, z upływem czasu przekształcające się w narkotyczną żądzę przerabiania oglądanej rzeczywistości w słowa. Wszyscy: i ci mądrzejsi i ci głupsi, ci bogaci w doświadczenia, i ci jeszcze ich nie posiadający – dawali się temu pochłaniać z niemal absolutnym bezwładem. Patrzyli gazetą, myśleli gazetą. Byli gazetą. Wypełniali jej strony zdaniem, przenoszącymi zwyczajne zdarzenia w świat słów, mających w sobie zarówno potęgę oddziaływania, jak i ulotność papieru. Mieleni w nienażartym medialnym brzuchu stawiali się z wolna jego marionetkami. Czasem któryś odrywał się na chwilę i próbował gnać ku wolności. Tak jak Sławek, reporter znakomity, pragnący jednak czegoś więcej. Tkwiła w nim dusza pisarza.

O przekształceniu się z żurnalisty w pisarza marzyło wielu. Dla jednych było to ucieleśnieniem marzeń o staniu się kimś znaczniejszym niżli zwykły, szary dziennikarz. Kimś kogo podziwiają tłumy. Dla innych niosło pozory wolności, szansę

ucieczki od obowiązku propagowania „jedynie słusznej linii”, którą nie zawsze popierali, czując wewnętrzny, bardziej lub mniej sprecyzowany opór. Tworzenie książek dawało złudzenie wyrwania się spod czujnego, codziennego oka cenzora.

Dlatego ten i ów podejmował wysiłek stania się twórcą, nawet jeśli nie miały to być poważne powieści a tylko poczytne romanse. Jednak nie każdy miał talent do słów. Obok istot lekkopiórych, umiejących formułować swoje myśli bez trudu, egzystowali pracusie, stawiający słowo po słowie z ogromną mitręgą. I chociaż szlifowali zdania do połysku, nigdy nie był to połysk diamentu. Ci musieli zawsze pozostać marionetkami. Toteż zawiedzione nadzieje, przemęczenie, stres zbierały obfite żniwo chorób i przedwczesnej śmierci. Rzadko wszakże zdarzało się tak jak teraz. Odeszło dwoje młodych ludzi z ich kręgu, i to odeszło w sposób nagły, otoczony dziwną tajemnicą. Co się za tym kryje? – Zastanawiał się niejednen z idących w żalobnym kondukcie.

Co się za tym kryje? – To pytanie powtarzał sobie bez końca również Skubalik. Smętne rozmyślenia przerwał ponury odgłos; na trumnę Ninki spadły pierwsze grudy ziemi. Ludzie poruszyli się niespokojnie, ktoś zapłakał żałośnie. Jakby na przekór żalobie między grobami wędrował jaskrawy, słoneczny promień. Wiatr niósł słodki, odurzający zapach cmentarnych kwiatów.

Ich już nie ma. Nie będzie. Zostało wieczne milczenie. Cisza. Zacisnął szczęki, pochylił głowę, i patrząc tępo w ziemię, ruszył w stronę głównej alei.

– Hej! – Wyrwał go z zadumy dźwięk kobiecego głosu. A, to ta dziennikarka z kobiecego tygodnika, Hanka Zwiędłowska. Powitała go gestem uniesionej ręki. Obok niej stała urodziwa wysoka brunetka. Miał wrażenie, że już ją kiedyś widział. E, chyba nie; dziewczynę o takiej urodzie na pewno zapamiętałyby na dłużej.

– Cześć. To okropne... – westchnęła Hanka. – Tacy młodzi i nagle już ich nie ma – zmrużyła niebieskie oczy, usta wykrzywił grymas smutku.

– To porażające i okrutne – powtórzyła jak echo jej śliczna towarzyszka.

– Znacie się? – Spytała Zwiędłowska. Oboje zdecydowanie zaprzeczyli.

– Nie, raczej nie. Skubalik. Zbyszek. Dziennikarz.

– Kaśka Hojna – brunetka podała szczupłą, delikatną dłoń. – Też dziennikarka. Raczej się nie znamy. Jestem w Warszawie od niedawna, choć to moje rodzinne miasto. Pracuję w tej gazecie co Hanka.

– Taki przypadek, że znów na siebie trafiłyśmy – wtrąciła Zwiędłowska. – W liceum, nim Kaśka wyjechała z rodziną na Wybrzeże, byłyśmy jak dwie papużki-nierozłączki. Pamiętasz, pisałyśmy nawet mrozący krew w żyłach romans o okrutnej miłości bogatego księcia i cudnej Eulalii. Chyba weszło to nam w krew, bo dalej bawimy się w układanie słów.

– Rzeczywiście, bawimy się w to dalej. Przynajmniej ja się bawię – Hojna pokazała w uśmiechu idealnie równe, białe zęby. – A wy, jak mniemam, jesteście starymi znajomymi.

– Trudno tak to nazwać. Znamy się z widzenia i tyle – wyjaśniła Hanka.

Było to zgodne z prawdą. Spotykał Zwiędłowską kilka razy w roku przy okazji

rozmaitych służbowych spędów. Nie była tak urodziwa jak Kaśka Hojna, ale bez wątpienia mogła się podobać. Szczupła, zgrabna, wysportowana. Opaloną pociągłą twarz okalały krótkie gęste włosy. Odczuwał szczególny pociąg do właśnie takich kobiet. Ale i wyjątkowo piękna przyjaciółka Hanki zrobiła na nim spore wrażenie. Dziś nie miał jednak ochoty na kontemplowanie damskiej urody.

– Skoczmy na małą kawę? – Zaproponował, aby tylko coś powiedzieć.

– Czy ja wiem? Nie czuję się na siłach – Hanka pokręciła głową. – Może ty, Kasiuła?

– Chętnie. Chociaż nie... raczej nie. Tak mnie ta uroczystość przygnębiła, że... no, nie za bardzo mam ochotę na kawiarnie. Poza tym zwalili mi na łeb pilną pisaninę.

– Cóż, spotkamy się przy okazji. Ja też nie czuję się za dobrze – dotknął ręką skroni. – Łeb mi pęka. To wszystko wydaje się niepojęte. Muszę przemyśleć kilka spraw, dowiedzieć się, co i jak.

– No to cześć.

– Cześć.

Powlókł się na przystanek. W niecałą godzinę był w domu. Zażył tabletkę z krzyżykiem, popił resztką wyziębłej herbaty i jak nieżywy padł na tapczan. Zasnął bez żadnych myśli.

*

Od paru dni siedział po uszy w robocie. Musiał przygotować długi artykuł o rozwoju pegeerowskich wsi. Temat nudny jak flaki z olejem, bo mówiąc prawdę, jaki tam i rozwój... Ale cóż – nie miał wyjścia. Wydzwaniał więc po urzędach, przegrzebywał dokumenty. Wszystko to wykonywał z roztargnieniem.

– Co z tobą? – zaczął go któregoś dnia naczelny. – Jesteś rozkojarzony, piszesz chaotycznie. Może byś tak przyspieszył urlop?

Z Michałem Gruszką byli na „ty” od niemal dziesięciu lat. Razem zaczęli staż w jednym z branżowych pism, skąd obaj przeszli do „Wiadomości”. Ze zwykłego dziennikarza Michał przekształcił się w krótkim czasie w szefa działu społecznego. Dzięki swojej aktywności partyjnej błyskawicznie, mimo młodego wieku, awansował na zastępcę redaktora naczelnego i wkrótce potem na samego naczelnego. Nigdy nie wyrzekł się koleżeństwa ze Skubalikiem, jednak Zbyszek starał się tej znajomości nie nadużywać.

– Coś ty, Michał? Teraz urlop? Nie ma o tym mowy. Muszę siedzieć w mieście. Wiesz, ta sprawa Sławka i Niny.

– Właśnie – ożywił się szef redakcji. – Jest coś nowego?

– I... gdzie tam. Milicja szuka i szuka, ale chyba za dużo nie znalazła. Chociaż na dobrą sprawę niewiele wiem o tym, co oni wiedzą.

– Mówił mi rano naczelny z „Echa”, że bardzo kręcą się koło Boczkowskiego.

– Tadka? Z jakiego powodu?

– Nie wiem. Mówię tylko, co usłyszałem. A o urlopie mimo wszystko pomyśl – klepnął go przyjaźnie po ramieniu.

Posiedział jeszcze godzinę nad pisaniem, potem zaniósł tę babraninę do Marysi Górnej, redakcyjnej maszynistki i korektorki w jednym. Wychodząc, przypomniał sobie, że niektóre dane ze środka artykułu miał przenieść na koniec. Wrócił do pokoju maszynistek. Górna wprowadziła poprawkę, ponarzekali na upał i nawał roboty, chwilę pogadali o rozmaitych sprawach. Na ten dzień był już wolny. Mógł zająć się Tadkiem.

Redakcja „Echa” mieściła się trzy ulice dalej; skrót przez podwórka między domami pozwalał dotrzeć tam w kilka minut. Kiedy pytał o Boczkowskiego, sekretarka obrzuciła go dziwnym spojrzeniem, ale bez słowa podniosła słuchawkę i wybrała numer.

– Jest redaktor Boczkowski? Aha. Poszedł do archiwum na II piętrze.

Tadeusz był we wskazanym miejscu. Przerzucał grubą zszywkę „Echa”, coś pisał w notesie, kręcąc się nerwowo na krześle.

– Cześć Tadeu. Jak leci? – Uśmiechnął się na widok zapracowanego przyjaciela.

– A, to ty.

– Ja. Spodziewałeś się kogoś innego?

– Czy ja wiem...

– Słuchaj Tadek, krążą takie durnowate plotki...

Boczkowski nie dał mu skończyć. Zerwał się z krzesła, i wyciągając rękę, jakby chciał coś od siebie odepchnąć, wrzasnął:

– Odczep się! Czego wy wszyscy do diabła ode mnie chcecie! Czego?! Nie zabiłem! Dlaczego miałbym zabić? Ja ją przecież... ja ją... – głos mu się załamał. – Kochałem! Wszyscy udają, że są mi życzliwi, ale uśmiechają się jak Judasze, bo tak naprawdę pożera ich radość. Taka sensacja! Po redakcji krąży morderca, co to zaciukał dwoje przyjaciół! Morderca! Nie wiedziałeś? To teraz wiesz! Wiesz!

– Stul mordę i natychmiast się uspokój! Nie histeryzuj jak baba. I przestań mi pieprzyć o jakichś wszystkich! Ja cię o nic nie podejrzewam! Wiem, że to nie ty!

– Naprawdę? – Zapytał z ironią Boczkowski. – Wierzysz mi?

– Głupie gadanie. Pewnie, że wierzę. Przestań się nad sobą rozczulać, tylko pomóż mi zrozumieć ten pieprzony galimatias. Zacznijmy od tego, skąd te ploty o tobie.

Boczkowski usiadł z powrotem na krześle, i patrząc w zakurzone okno, zaczął mówić powoli, jakby każde słowo przychodziło mu z wielkim trudem.

– Nie mam po prostu alibi. Byłem w Kazimierzu w czasie, gdy ona... utonęła. Ale nikt mnie o krytycznej porze nie widział. Płątałem się po mieście, chcąc to i owo przemyśleć, bo chciałem się jej... oświadczyć. Jak się to... stało, natychmiast wyjechałem do Warszawy. Czyli byłem tu w poniedziałek, kiedy zginął Sławek. Nie mogłem zostać tam, gdzie ona... – umilkł, zakrył dłońmi twarz.

– A dalej?

– Dalej? W poniedziałek rano widział mnie tylko sąsiad, który przyszedł pożyczyć wiertarkę, potem nikt, więc myślą, że to ja mogłem Sławka... A on był dla mnie jak brat. Wiesz, co robiłem tego dnia od rana do wieczora? Łaziłem bez celu po mieście,

nie zwracałem uwagi na nikogo, nie umiałbym nawet opisać pogody. Nic nie potrafiłem temu milicjantowi powiedzieć. Nic.

– Czy rzeczywiście niczego konkretnego nie pamiętasz?

– To była najwspanialsza dziewczyna na świecie – mówił monotonicznie, jakby pytanie kolegi do niego nie dotarło. – Nawet nie wiesz Zbychu, nawet nie wiesz...

– Wiem. Też nie umiem sobie wyobrazić życia bez nich.

– A teraz mówią, że ja ją zabiłem, że ja ją zabiłem... – powtarzał monotonicznie Boczkowski.

– Mówią, ale przestaną – przerwał mu stanowczo. – Żeby tak się stało, naprawdę musisz mi pomóc znaleźć gada, który ich zamordował. Wpadnę do ciebie jutro. Masz do jutra czas, by przypomnieć sobie jakieś szczegóły z niedzieli i poniedziałku. Postaraj się. Teraz leczę, bo mam pilną robotę. Cześć.

Boczkowski kiwnął posłusznie głową, i poruszając się jak automat, wrócił do wertowania starych gazet.

*

Wypadł z „Echa” i ruszył w stronę domu. Początkowo miał zamiar kawałek podjechać, kiedy jednak spojrzał na nieludzko zatłoczoną wysepkę tramwajową, ochota na miejską komunikację przeszła mu od razu. Trudno, wróci, jak przyszedł. Na skróty. Minął mały skwer przyozdobiony budką z piwem, przy której pełniły codzienną straż okoliczne pijaczki. Jeszcze tylko przeciąć na ukos boczną ulicę, wejść na przeciwległy chodnik. Nagle tuż przed sobą zobaczył rozpędzony szary samochód. Za przednią szybą zamajaczyła wąsata twarz w ciemnych okularach. Usłyszał przenikliwy kobiecy krzyk, ktoś mocno szarpnął go za ramię. Z impetem upadł na krawędź chodnika. Obok głowy świsnęły rozpędzone koła.

– Panie! Panie! Nic się panu nie stało?! Pogotowie, niech ktoś wezwie pogotowie! – W jednej chwili otoczył go spory tłumek gapiów.

– Nie, nie trzeba pogotowia. Nic mi nie jest – wymamrotał oszołomiony.

Młody mężczyzna w błękitnej koszuli pochylił się nad leżącym, złapał go za rękę, pomógł wstać.

– Uciekł, skubaniec – odezwał się starszy pan. – Może ktoś z państwa numer zobaczył?

– Coś takiego było... W... potem S... Nie ... chyba C i 3... dalej nie wiem.

– To było W a potem chyba T. Litery okrągłe, z przodu 0, potem 8 czy 6...

– I tak go, sukinsyna, nie złapią. Niebiescy umieją tylko mandaty wypisywać. Dobrze, że się panu nic nie stało. Jechał, jakby chciał zabić – perorował starszy pan. – Dobrze, że ten młodzian – wskazał mężczyznę w błękitnej koszuli – chwycił pana za ramię i pociągnął. Inaczej, tfu, odpukać, byłby z pana kotlet siekany.

Podziękował słabym głosem za pomoc i podtrzymywany przez właściciela błękitnej koszuli, dał się zaprowadzić na pobliską ławkę. Nogi miał jak z waty. Musiał na chwilę usiąść, powstrzymać dygotanie całego ciała.

– Pan wcale na siebie nie uważa – powiedział ostro jego mimowolny opiekun. –

Świat bywa bardzo niebezpieczny. Radzę szybko to zrozumieć. Do zobaczenia. – Poklepał Zbyszka po plecach i nie oglądając się, przeszedł na drugą stronę ulicy.

– A ten czego? Straszenia mu się zachciało – mruknął, otrzepując nogawki z kurzu.

ROZDZIAŁ 6

Zagadka biletów

Od kiedy po redakcji „Wiadomości” rozeszła się wieść, że Skubalik podobno współdziałała z milicją przy sprawie zabójstwa Zwardonia, wszyscy krążyli wokół niego z tajemniczymi minami.

– Jak tam śledztwo, panie detektywie? – Witano go, gdy wetknął głowę do któregoś z redakcyjnych pokoi. Machał zrezygnowany ręką i milczał, co jeszcze bardziej rozpałało ciekawość wścibskich kolegów. Taki wygadany, a teraz jakby mu język urwało. Coś w tym musi być. I faktycznie było.

Gdy tylko zaczynano nagabywać o wyniki śledztwa, brzęczały mu w głowie ostrzeżenia komisarza. Zabójca może znajdować się w pobliżu, krążyć jak cień, wsłuchując się w każde słowo, echo słów. Nie dość tego; stara się go unicestwić. Przecież trabant uszkodzono celowo prawdopodobnie jeszcze w Warszawie, przed jego podróżą do Kazimierza. Do tego ten rozpedzony samochód obok „Echa”. To przypadek? Czy jest nim także niejasna groźba, rzucona przez faceta w błękitnej koszuli? Pytania dwoiły się i troiły, chociaż dziennikarz zdawał sobie sprawę, że niepokoje wynikają w pewnym stopniu również z kiepskiego stanu jego nerwów.

Kto jest kim? – zastanawiał się, obserwując bacznie otoczenie. Trzeba odsiać ziarna od plew, oddzielić fakty od emocji. Co jest tymi plewami, co zaś faktem? Odpowiedź miał pod ręką już od dawna. Wystarczyło podsumować, co wie. A wie, że wylęgarnią pogłosek jest dział miejski, zaś największą wprawę w obracaniu językiem ma kierująca nim Beata, podstarzała seksbomba, niegdyś panienka z dobrego domu. I że wchodząc tam, nie może puścić pary z ust. Wicio, uważany za nudnego zrzęde, wydał mu się po głębszym przemyśleniu człowiekiem łagodnym i wrażliwym; jego dobroduszna gderliwość po prostu niezdarnie kamuflowała życzliwość dla otoczenia. Józio Filipiak, reporter działu krajowego, choć bystry i elokwentny, był osobą liźniętą erudycją ledwie po wierzchu. Spod spodu wylał się pewny siebie kabotyn.

Danka. To już inna para kaloszy. Im dłużej o niej myślał, tym mniej o niej wiedział. Nie tylko o tym, co tkwi w głębi, ale i tym co oczywiste, widziane na pierwszy rzut oka. Potrafiła być nieprzewidywalna, zmienna, jak chociażby w poniedziałkowy ranek. Zaskoczyła go zupełnie. Wpadła do redakcyjnego pokoju zarumieniona z emocji, okręciła się na pięcie i zahaczała donośnym altem.

– Spójrz i podziwiał se.

Przylizane włosy, wiecznie ściągnięte gumką, co miało imitować koński ogon, zniknęły. Zamiast nich pojawiła się puszysta fryzura, tworząca wokół głowy miłą dla oka rudawą mgiełkę. Rzęsy pociągnęła tuszem, usta szminką. I ten ubiór! Już nie burza koszulka i wyblakłe džinsy, lecz modna kolorowa bluzka wsunięta w zieloną spódnicę, spod której wystawały smukłe opalone nogi. Musiał przyznać, że ta zmiana

go zaskoczyła. Kto by podejrzewał, że ta szara myszka może tak super wyglądać. Tylko głos pozostał niezmienny.

– Podoba się panu redaktorowi? – Znów zawirowała wokół własnej osi. Skinął ochoczo, wyskoczył zza biurka i złożył na dłoni koleżanki przesadnie elegancki pocałunek.

– Ho, ho. Co za śliczności laska. Kto by pomyślał.

– Bo nie pomyślał. Zawsze byłem ślicznością, wodzu, a że uczesałam piórka i przejechałam po oczach mazidłem, z mety mnie w łapy całują. I kto tu pusty: kobiety czy chłopcy?

– O, ta piękna nieznajoma gada głosem Danki.... Czy to ty, bojowniczo, o równouprawnienie płci? Swoją drogą, co ci tak zależy na tym równouprawnieniu?

– Z braku laku. Jakież idee trzeba mieć. Ta nie gorsza od innych – odparła z wyniosłą miną.

Dziś znów go zaskoczyła. Wpadła do pokoju, targając w rękach napakowane reklamówki. Postawiwszy je na krześle, zaczęła wyciągać rozmaite filiżanki, spodki, łyżeczki, torebki i pudełka.

– Coś ty tu przywlekła?

– W ramach opieki nad super detektywem podjęłam słuszną niewątpliwie i obfitującą w pozytywne skutki decyzję, o założeniu prywatnej redakcyjnej herbaciarni „Pod Gazetą i Petem”. Dotąd zaparzaaliśmy byle co, w byle czym. Kto widział chlać boski nektar z obgryzionej musztardówki i mieszać cukier nożem?! Koniec z tym! Teraz będzie elegancja-Francja. O, tu mam paczkę dobrej herbaty; stałam po nią w Delikatesach prawie godzinę. Tu filiżanki, spodki i cukierniczka, wszystko rodem z „Chinki” w Alejach. Egzotyka, ot co. Tylko cukier i łyżeczki nasze polskie, swojskie, nie eksportowe. A tu chrupiące ciasteczka od Pomiana, a nie od Bliklego, bo Bliklego za słabo chrupią. Wszystko jak trzeba. Będziemy popijać elegancko, z wdziękiem i dźwiękiem ale bez siorbania. Postęp kolego, postęp. Koniec z parzeniem dzioba o musztardówkę. Ostatnio, kiedy nachlałeś się wrzątku, tak cię zaklajstrowało, że nawet do człowieka po ludzku nie zagadasz, tylko gałami przewracasz. Rozgryzasz, o co biega?

– Ale z pani szanowna pani, wygadana paniusia. Myślisz, że wydolimy z tą elegancją dłużej niż dzień? – Podjął jej zabawny ton, wdzięczny, że oderwała go od ponurych myśli. – Gdybyś chciała... – przerwał mu ostry terkot telefonu. Fredek.

– Aresztowali Tadka! Byłem przed chwilą w „Echu”. Kipi tam, jak w ulu. Nikt nic więcej nie wie. Skocz może do tego kapitana i się czegoś dowiedz. Kurwa, ale się porobiło!

Aresztowali Tadka? Dlaczego? Przecież to na pewno nie on. Wczoraj obiecał Boczkowskiemu pomoc. Nie zdążył. Że też Dydowski nie miał wątpliwości, tylko ciach i za kraty. A zdawało się, że to cholernie rozsądny gość. O co tu do diaska chodzi?

Dydowski, zazwyczaj przystępny (chytrze, podchwytliwie przystępny – pomyślał ze złością Skubalik), tym razem był nieubłagany. Powtarzał z uporem:

– Niestety, redaktorze, nie mam panu nic do powiedzenia. Skąd ta pewność, że nie on? Prawda zresztą i tak wyjdzie na jaw. Zapomniał pan, że ofiary to dwoje pana przyjaciół? Radzę zachować spokój i bardziej uważać na siebie.

– Po cholere mam uważać?! Złapał pan mordercę?! Złapał! To na kogo mam uważać?! Zaraz, moment... Coś tu mi nie gra. Czyli... myśli pan, że to nie Tadek, bo inaczej skąd te przestrogi?

– Co za człowiek. Łapie za słówka i dusi – westchnął kapitan. – Niech już będzie, że pan się nie myli. Jednak to, co powiedziałem o uważaniu jest bardzo serio. Wnioski zostawiam panu. Proszę mi wierzyć, w tej chwili naprawdę nie mam nic do przekazania. Środowisko dziennikarskie nie jest specjalnie małomówne.

– Aluzju poniał... – mruknął Skubalik i nawet nie rzuciwszy zdawkowego „do widzenia”, ruszył w stronę drzwi.

*

Kroczył ulicą, stawiając z rozmachem nogi, jakby ostre tempo marszu miało przegnać ogarniającą go wściekłość. Jeszcze pokaże temu nadętemu kapitankowi, że nie jest idiotą, za jakiego ten go bierze. Kiedy było trzeba, przymilał się, kusił, wabił podawaniem niby szczegółów śledztwa. A teraz mur.

Musi wszystko zacząć od początku – i jak po sznurku iść dalej. Zobaczyć, co przeoczył, czego nie umiał dostrzec powodowany emocjami po śmierci bliskich mu ludzi. Był pewien, że zabójcą nie jest Boczkowski. Pewność tę opierał na niejasnym przeczuciu, jakie pojawiło się w którejś chwili, w trakcie rozmów o zbrodni. Nie mógł jednak konkretnie nazwać myśli dręczącej go od paru dni. Ktoś powiedział coś, co wydawało mu się dziwne. Kiedy i gdzie? Powinno się to łączyć poniekąd z Tadkiem, czyli ze śmiercią Niny, a nie Sławka. Nie wchodzi więc w grę pierwsze dni, gdy dowiedział się o zabójstwie, ani przeszukanie – w końcu bez świadków – domu Sławka czy odnalezienie kartki z imieniem Goplana. Kartkę zataił, nikomu o niej nie mówił. To przeczucie pojawiło się później. Na pewno później. Został Kazimierz.

Musi tam pojechać, tym razem w absolutnej tajemnicy. Załatwi sobie wolny dzień. Naczelnym łyknie gładko, że idzie o „sprawy rodzinne”. Gruszka nigdy nie zadaje zbędnych pytań. Może pojutrze. Cholera, trabant nadal tkwi w warsztacie. Szkoda, że nie ma motoru. Skąd go wytrzasnąć? Przebiegł myślą znajomych. Józio Filipiak. Ma niezłą maszynę, ale z nim lepiej nie wchodzić w układy, cacka się z tym swoim pseudo harleyem, jakby to było Bóg wie co. Anka Jabłkowska. Ma wypasiony skuter i jakąś starą motorzynę. No, chyba nie taki znowu antyk. Startowała na nim w zawodach dziennikarzy, trzy czy cztery lata temu. Wpadło jej drugie miejsce. Anka, ludzki człowiek, nie odmówi i nie będzie wypytywać. Wstąpił do budki telefonicznej, wykręcił numer. Usłyszał ciepły, miły głos.

– Gdzie się podziewałeś tak długo? Rozumiem. Ale to byli także moi przyjaciele. Ta wiadomości zwała mnie z nóg. Mama zadzwoniła do mnie i mi powiedziała.

Kiedy oni... zginęli, byłam na wczasach w Słowacji. Wiem, wspólnie nie płacze się łzej, jednak troszkę się na ciebie, Zbychu, gniewam. Kompletnie o mnie zapomniałeś. Mam nadzieję, że nadrobimy to niedługo. Motor? Czemu nie. Może wolisz skuter? Akurat po przeglądzie, pędzi jak złoto. Gdzie się wybierasz? A, w objazd województwa. Rozumiem, mnie też szef ciśnie. W kółko pisz i pisz. Dobra, daj cynk, kiedy wpadasz po motor – i jedź.

Odetchnął z ulgą. Sprawa załatwiona. Przedtem jednak powinien odwiedzić dom na Niegłośniej. Jak dotąd nie miał okazji porozmawiać dłużej z Ignaciakami. Pora najwyższa.

*

Byli w domu. Wiedział, że ucieszą się z jego wizyty. Muszą się czuć bardzo samotni po śmierci Sławka. Zastępował im syna, którego nie mieli. Często, kiedy odwiedzał przyjaciela, w drzwiach pojawiała się pani Helena z tacą śliwkowego ciasta lub stertą kanapek. Równie troskliwy, chociaż na raczej męski sposób, był pan Stanisław. W tajemnicy przez swoją połowicą, wykorzystując chwilę, gdy nie było jej w domu, raczył młodych mężczyzn nalewkami z wiśni, czereśni, pigwy, czarnego bzu, orzecha i całej materii podobnych delicji.

Zapukał w zielono malowane drzwi. Odpowiedziało mu głośne zaproszenie. Oboje siedzieli w kuchni przy stole nakrytym kolorowym, lnianym obrusem. Ignaciakowa porwała się na nogi.

– O Jezu! Pan Zbych! To dobrze, to dobrze...

– Spodziewaliście się państwo kogoś innego?

– Nie. Tylko dobrze pan trafił, oj, jak dobrze – starsza pani była wyraźnie wzburzona. – Już mieliśmy do pana dzwonić. Bo my tu mamy ze Stasinkiem ogromne zmartwienie a właściwie zagadkę.

– Uhu, rzeczywiście dziwna zagadka – potwierdził jej mąż.

– Opowiedz ty, bo ja się aż cała trzęsę – poprosiła.

– Helciu, ty to zrobisz lepiej – wykręcał się, jednak widząc zboląłą minę żony, machnął zrezygnowany ręką i zaczął:

– Wie pan, że w ten dzień, kiedy Sławcia... zabili, nie było nas w domu. Pojechaliśmy do kina, do „Feminy”, na wpół do siódmej, znaczy dziewiętnastej. Od nas do Śródmieścia, jak pan wie, jest kawał drogi. Wpierw autobusem na Plac Unii, potem tramwajem i jeszcze kawał drugim tramwajem. Do tego ta komunikacja...

– Pan Zbysio wie, jak się od nas jedzie – przerwała Ignaciakowa. – Mów o tamtym.

– Ten tego, faktycznie. Na czym to skończyłem? Aha. Wyjechaliśmy z domu o piątej, nie, nawet za dwadzieścia. Helcia jeszcze mnie uprosiła, żebyśmy zboczyli do Domów Centrum, bo włóczki chciała kupić. Staliśmy w kolejce z pół godziny a potem Helcia, jak już dopadła lady, to przebierała i przebierała.

– Teraz się czepił włóczki. A co, miałam brać, co w ręce wpadnie? Nie znasz się na tym.

– Dobrze, dobrze, Helciu. Ale nie spierajmy się, bo Zbysio pomyśli, żeśmy jakieś dzikusy. Co to ja mówiłem? Aha... Jakoś zdążyliśmy do tego kina. Do domu wróciliśmy szybko, gdzieś kwadrans po dziesiątej. Akurat dopasowały się nam tramwaje.

– Trzeba nam było w domu siedzieć, to i Sławuś by żył – Ignaciakowa zaczęła chlipać. – Ale z tym kinem to wyszła taka okazja, że trudno było nie iść. Mów lepiej ty, bo mnie zatyka.

– Ma rację Helenka. Okazja była. Wymarzona. Gadaliśmy o tym chyba ze dwa tygodnie, zanim... Sławusia. Moja nawet mu zawracała głowę, by te bilety pomógł. Bo wie pan, Zbysiu, my ludzie starej daty – to i stare lubimy. No i akurat puszczały w „Feminie” ten sławny film „Przeminęło z wiatrem”, podobno ostatni raz, a Helcia nigdy na tym nie była. Za późno żeśmy się o tym dowiedzieli, kiedy bilety były już wykupione do ostatniego. A od koników – tak powiedziałem Helci – biletów kupować nie będę, bo te darmozjady winszują sobie okropnie drogo. Helcia jednak uparła się, że na ten film pójdzie, choćby się waliło i paliło. No i wykukała. Gdzieś z samego rańca, parę dni przed tym kinem, chyba w czwartek to było, tak, w czwartek, dzwoni do mnie do pracy, bo jak pan wie, dorabiam sobie na pół etatu w takiej jednej firmie blisko Placu Dzierżyńskiego i robię im tam różne drobne naprawy...

– O naprawach to opowiesz innym razem – fuknęła Ignaciakowa.

– No dobrze, dobrze, duszeńko. Lepiej idź i zrób herbaty, w gardle mi zaschło – nie miał zamiaru tak łatwo ustąpić.

– I co z tym telefonem, panie Stanisławie? – Przypomniał Skubalik, widząc, że starszy pan jest nieco zbity z tropu.

– Właśnie! Wołają mnie z mojej pakamerki do telefonu na portierni. Jakiś gość, takim piejącym głosem, jakby mutację przechodził, gada, że Nowakowska, Alunia znaczy, nasza stara znajoma z Żoliborza, spotykamy się z Nowakowskimi najmniej raz w miesiącu, poprosiła, żeby przekazać nam bilety na „Przeminęło z wiatrem”. Kupili je okazji wczoraj i szkoda, by się zmarnowały, bo może my akurat tego filmu nie widzieliśmy. Sami nie mogą iść, muszą natychmiast jechać do córki do Szczecina i dlatego nie zdążyli nas zawiadomić. Tak gadał ten dzwoniący. Bo wiedz pan, panie Zbysiu, że oni – Nowakowscy, nie mają telefonu, chociaż starają się o niego już kilka lat. Alunia uprosiła więc znajomka, niby tego dzwoniącego, by nam bilety dostarczył. Gada ten w telefonie, że bilety podrzuci na portiernię, skąd mogą je za dwie godziny odebrać. Podziękowałem i wróciłem do swojej roboty. Za dwie godziny zszedłem, bilety już czekały u Goździka w portierni. Nie powiem, okrutnie byłem zadowolony, że Helcia już nie będzie mi dziury w brzuchu wiercić. Jak jej o biletach powiedziałem, o mało ze skóry nie wyskoczyła, tak się cieszyła.

– Nie przesadzaj. Obeszłabym się i bez. Co to, dziecko jestem? – Zachnęła się Ignaciakowa.

– Jesteś, jesteś, zawsze byłaś trzpiotka – uśmiechnął się stary. – To nie koniec, panie Zbysiu. W poniedziałek szykowałą się Helcia do tego kina jak na wielki bal. Przez całe popołudnie. Loczki zakręciła, sukienkę tak prasowała, że o mało dziur nie wydarła. Wracamy, a tu... Sławuś leży, już bez życia. Wpierw zadzwoniliśmy na

pogotowie, oni na milicję.

Ignaciakowa rozplakała się na dobre. Zbyszek, widząc że zanosí się na potężną fontannę, postanowił odwrócić uwagę od bolesnych wspomnień.

– A co z tą zagadką, panie Stanisławie?

– Zagadka jest! Duża zagadka. Podwójna. Dziś rano dzwoni do nas Alunia; mają na drugiej ulicy budkę telefoniczną. Więc dzwoni i zaprasza w gości, bośmy się dawno nie widzieli. Do tego, mówi Alunia, muszą koniecznie opowiedzieć nam dziwną historię, i lepiej, byśmy się szybko spotkali. Bo przez telefon, co to ciągle powtarza „wrzucić monetę, wrzucić monetę” nie idzie składnie rozmawiać. Obiecałem, że w końcu tygodnia przyjedziemy z wizytą i zacząłem dziękować, że wtedy te bilety nam podrzuciła. Aż ją zaparło. – Jakie bilety? – Pyta. – Na „Przeminęło z wiatrem” – mówię. A ona, że żadnych biletów nie miała, nikogo o nic nie prosiła z jakimiś biletami, nawet nie wiedziała o tym, że ten film akurat wyświetlają, i że sobie z niej, za przeproszeniem, strugam durne żarty. Teraz zatkało mnie. Helcia, która stała obok, ale nie słyszała, co mi Alunia odpowiada, wyrwała mi słuchawkę i dalej dziękowała także od siebie za te bilety i wypytywała, kiedy wrócili z podróży i jak tam u córki. Lepiej ty powtórz, duszeńko...

Ignaciakowa otarła łzy i, jeszcze pochlipując, zaczęła powtarzać rozmowę z przyjaciółką: – Alunia aż wrzasnęła, że Stasinkowi się nie dziwi, bo to zawsze był kawalarz, ale mnie się dziwi, że takie głupoty wyplatom. Jakie bilety? I skąd wiem o ich nagłym wyjeździe do Szczecina? Bo ten wyjazd to okrutny kawał, który ktoś im zrobił. Ja na to, że nic nie wiem o żadnym kawale, nie mam teraz do tego głowy. I mówię Aluni o Sławku. Nie miała o niczym pojęcia. Dłużej nie rozmawiałyśmy, bo już się jej monety kończyły. Ugadaliśmy ze Stasinkiem, że zanim opowiemy to milicji, wpierw powiemy panu. Bo myślimy sobie, że ktoś specjalnie wyciągnął nas wtedy z domu. I co pan na to, Zbysiu?

To, co usłyszał, nie budziło wątpliwości. Ktoś postanowił wywabić Ignaciaków z domu tak, aby wyglądało zupełnie naturalnie. Oczyszczył sobie pole do zabójstwa i uzyskał pewność, że nikt mu nie przeszkodzi. Ten ktoś znał obie rodziny i miał dostęp do informacji o nich, choćby do wiedzy, że córka Nowakowskich mieszka w Szczecinie, i że Nowakowscy nie mają telefonu, co ogranicza kontakt ze starymi znajomymi. Był też świadomy pragnień Ignaciakowej związanych z filmem i biletami. Chociaż, rozkładając sprawę logicznie, Nowakowskich osobiście znać nie musiał. Chyba, że rzecz miała się odwrotnie. Znał właśnie ich i od nich wiedział o filmowym bziku starszej pani. Nie, nie tak. Przecież, jak się okazało, Nowakowscy nie wiedzieli nawet o filmie. Czyli pierwsza wersja jest bardziej logiczna. Wracamy więc na Niegłośną. Tu kryje się klucz do zagadki.

Podzielił się swymi domysłami z panem Stanisławem i jego żoną. Ignaciak pokiwał głową.

– Coś takiego i mnie się zdawało. Chcieli nas wyciągnąć z domu. Bardzo sprytnie to wykombinowane. Ale kto? Kto?

– Oj, ja głupia – jego żona sięgnęła po chusteczkę, zaczęła ocierać załzawione oczy. – Że też zachciało mi się tego filmu. To przeze mnie Sławuś nie żyje, przeze

mnie.

– Myślę – powiedział stanowczo Skubalik – że nie ma pani racji. Prędzej czy później morderca dopadłby Sławka, jeśli nie w domu, to gdzie indziej, i wasze wyjście nie miało wpływu na jego zamiar.

– Skąd ten zbrodnień wiedział o moich zachciankach? Przecież ja nikomu obcemu o tym nie mówiłam, tylko naszemu Sławusiowi. Musiał się dowiedzieć od niego, innego tłumaczenia nie ma – Ignaciakowa westchnęła ciężko, ale widać było, że słowa gościa przyniosły jej ulgę. – Teraz to już wszystko jedno. Łajdak! Łotr! Ludzi tak oszukiwać! – Zaczęła wymyślać pod adresem tajemniczej osoby, która wymyśliła sztuczkę z biletami, jakby nie docierało do niej, że ten sam człowiek zabił jej kochanego Sławusia.

– Panie Stanisławie, czy ten portier w pana firmie, ten...

– Goździk. Edzio Goździk.

– Czy mógłby mnie pan z nim umówić? Może pamięta człowieka, który przyniósł bilety.

– Da się załatwić – skinął głową Ignaciak. – Na kiedy?

– Może...pojutrze. Nie, raczej pojutrze, bo wcześniej muszę na krótko wyjechać. Dobrze?

– Masz pan jak w banku. Goździk jest codziennie.

Opuścił dom przy Niegłośnej późnym wieczorem. W głowie czuł zamęt od nalewek Stasinka – musi pan spróbować tej... i jeszcze tej, a ta... paluszki lizać... – i od natłoku nowych zaskakujących informacji. Nie zapomniał o zapisaniu adresu Nowakowskich. Trzeba będzie sprawdzić, o co chodziło z tym okrutnym kawałem. Wprawdzie Ignaciakowie też byli tego ciekawi, i wybierali się wkrótce do Nowakowskich, jednak wolał zaczerpnąć informacji u źródła, z pierwszej ręki.

*

Postanowił zataić przed Dydowskim nowe rewelacje. Po ostatniej u niego wizycie był wściekły. Nie mógł mu wybaczyć bezsensownego postępowania w sprawie Boczkowskiego.

– Ty sobie, ja sobie – myślał z satysfakcją, wiedząc, jak duże znaczenie mogły mieć dla śledztwa wiadomości uzyskane od Ignaciaków. Może idąc tym tropem, zdoła uwolnić Tadka od podejrzeń. Ani chwilę nie wątpił, że jest on niewinny. Zbyt dobrze go znał. Choć swej wiary nie opierał na twardych faktach, nie potrafił dopuścić do siebie myśli, że Boczkowski, przyjaciel ich trójki, nazywany przez nich czwartym muszkietierem, byłby zdolny do tak perfidnej zbrodni.

Wraciał ciemnymi ulicami, rozmyślając o nadchodzących dniach i zadaniach. Pod drzwi mieszkania dotarł po omacku. Cholera, znowu któryś lokator bawi się w wykręcanie żarówek. Nie umiał pojąć tego procederu. Przecież czego, jak czego, ale akurat żarówek w sklepach nie brakowało. Przez chwilę ciągnął dłonią po futrynie, wreszcie trafił na klamkę. Zdawało mu się, że tuż obok słyszy cichy szelest. Nie był w tej ciemności sam. Ktoś tam jest. Przyczajony w mroku, nieznanym, może

niebezpieczny. Odwrócił się błyskawicznie, lecz zanim zdążył wykonać kolejny ruch, spadła mu na twarz duszna, miękka szmata. Szarpnął się gwałtownie. Usłyszał tubalny męski śmiech. Dołączyły do niego inne, bardziej piskliwe.

– A kuku!

– Zgadnij kto?

– Hu, hu! Zwierz złapany! – Huknął tuż nad uchem donośny bas. Szmata zasłaniająca twarz spadła. Poczuł nagłą ulgę. Nim zdołał wykrztusić słowo, dziwnie znajomy głos zabuczał:

– Otwórz Zbyniu drzwi i rzuć nieco światła na ciemności.

Przekręcił klucz, wymacał kontakt na ścianie. Bladożółty kinkiet oświetlił pchających się do mieszkania, uradowanych dowcipem napastników: Fredka, Hanke i Kaśkę Hojną, która trzymała w ręku „szmatę”, szeroki, czerwony szal.

– A niech was cholera! Ludzi straszycie po nocy.

– Jaka noc, synu? Dopiero jedenasta – zabuczał Fredek.

– Gdzie to się chodziło o tak mrocznej porze? – Zapytała Kaśka.

– Właśnie, gdzie to się chodziło? – Powtórzyła Hanka.

– Takie tam... Wpadłem do starych znajomych – nie miał zamiaru opowiadać komukolwiek o swoich poczynaniach. Ta powtórzy tej, tamta tamtej... Kto wie, do czyich uszu w końcu dotrze.

Poprosił, aby się rozgościli i ruszył do kuchni. W lodówce powinien być jakiś sok i parę butelek piwa. Wypiją i sobie pójda. Jednak kiedy wrócił do pokoju, wyglądali na dobrze zadomowionych. Hanka okupowała róg tapczanu, jej piękna przyjaciółka rozsiadła się w stojącym przy oknie fotelu. Fredek krążył w kółko, jakby nie mógł znaleźć sobie miejsca, robił tajemnicze miny, dawał gospodarzowi dziwaczne znaki i wcale nie miał zamiaru siadać. Wreszcie mruknął: – Zbyniu, wyjdźmy na moment. Takie tam sprawy...

– O co biega? Co się wydurniasz? – Warknął, wychodząc za Kobiórem do przedpokoju. Fotoreporter położył palec na ustach i wskazał gestem łazienkę. Weszli. Fredek zamknął drzwi, przejrzał się w lustrze, wyszczerzył do swego odbicia zęby, strzepnął z ubrania jakiś pyłek.

– Długo będziesz się mizdrzył do tego lustra? – Mruknął Skubalik.

– Nie fukaj jak stary jeź. To wszystko przez baby, ten cały najazd na ciebie, i w ogóle. Spotkałem obie laseczki w klubie na Foksalu, wypiliśmy morze kawy, no i ruszyła gadka o jakimś Skubaliku. To znaczy, wałąc łapą w pierś, ja zacząłem. Żeś taki samotny, smutny, że na pysku masz wyrysowaną deprechę i takie tam. Baby to bierze. Tym razem też wzięło. I co ty na to? Obie super laski, tylko wrywać. Którą wolisz? Dużą czy małą?

– Ty stary rajfurze. Jestem już taki wyleniały cap, żebyś musiał mi naganiać dziewczyny?

– Nie o to się rozbiega. Za nimi lata stado samców i jak się nie pospieszymy, zgarną inni. A takie laski to niemal dobro narodowe. Bądź patriotą. To co? – Nacierał fotoreporter. – Dużą czy małą? Prawo gospodarza. Wybieraj.

– Widzę Fredziu, że ci ślinka cieknie. Do której? Tylko szczerze.

– Ja tam gustuję w solidnych modelach. Inne mnie nie kręcą. To co? Ja biorę Kaśkę, ty Hankę. Stoi?

– Hej! Co się tam tak kokosicie? – Doleciało zza drzwi.

– Idziemy! – Zawołał Fredek, a szeptem dodał: – startuj!

– Zbir i alfons – rzucił Skubalik, i przybierając niewinny wyraz twarzy, wszedł do pokoju.

Dziewczyny siedziały spokojnie na swoich miejscach. Potoczyła się gładka rozmowa o niczym. Tylko Fredek kręcił się niespokojnie i porozumiewawczo zerkał na kolegę. Wreszcie złapał się teatralnym gestem za głowę, zdecydowanie wstał i oświadczył:

– Cholercia, już prawie północ. Będę leciał. Na jutro mam jeszcze zrobić pilny foto-serwis. Kaśka, mieszkasz blisko mnie. Podrzucę ci taryfą pod dom. Po co masz się pchać sama po nocy? Hanką zaopiekuje się Zbynio. Odprowadzi ją i te takie.

– Co to znaczy te takie? – Zainteresowała się Zwiędłowska.

– Aż dociekliwa – mruknął fotoreporter. – Drzwi przytrzyma, w rączkę pocałuje, dobranoc powie...

– Chyba że faktycznie drzwi przytrzyma. Bez tego bym do domu nijak nie weszła – Hanka parsknęła śmiechem.

– To jak? Umowa stoi? – Fredek schylił się przed Kaśką w dworskim ukłonie, podał jej rękę i pomógł wstać z głębokiego fotela.

– Okej, zgoda. Faktycznie raźniej mi będzie z obstawą. Pod warunkiem, że dostarczysz mnie do domu całą i zdrową, bo inaczej cię dopadnę... I ciebie też, zacny gospodarzu tej chaty, jeśli nie zadbasz o tę tu zostawioną ci na żer Hannę Z. – pogroziła Zbyszkowi palcem. – Mój nos wietrzy męski spisek...

– Dzięki za troskę – burknęła Hanka. – Obędzie się bez twego dopadania. Sama dam sobie radę. To przecież tylko pojedynczy mężczyzna.

– To co? Płyniemy? – Kobiór stał już przy drzwiach.

– A umiesz chociaż pływać, Romeo? – Hojna uśmiechnęła się filuternie.

– A jakże. Znakomicie pływam. Jak noga. Właściwie jak dwie nogi. Dwa metry w jedną, dwa w drugą i jeszcze...

– Nie wierzcie temu cwaniaczkowi – wpadł mu w słowo Skubalik. – Fredek sunie jak torpeda.

– Prawie jak ja. I jak Hanka – Kaśka klasnęła w ręce.

– Jacy państwo wysportowani. Ja utrzymuję się fantastycznie na powierzchni – Zwiędłowska wykonała rękami ruch pływaka. – Aż pół minuty... A ty Kaśka jesteś kłamczuchą.

– A więc co, mistrzu Fryderyku? Płyniemy?

– Tak jest, moja piękna.

Zostali we dwoje. Nie bardzo wiedział, co teraz robić. Odprowadzić ją od razu czy jeszcze bawić rozmową? Na to drugie nie miał chęci; był okropnie zmęczony. Wybawiła go z kłopotu, mówiąc poważnym tonem:

– Przepraszam za zamieszanie. To Fredek nas namówił. Miło było, ale ja bym najchętniej poszła już lulu. Możesz mnie kawałek odprowadzić? Najlepiej do taksówki, bo niby blisko, jednak te parę ulic trzeba przedreptać. A ja nie znoszę ciemności.

ROZDZIAŁ 7

I znów w Kazimierzu

Wcześniej rano odebrał od Anki skuter. Wraz z kluczykami wręczyła mu wypchaną reklamówkę.

– Masz tu wszelkie wiktuały na podróż. Kanapki, nieśmiertelne jaja na twardo, parę pomidorów, kawałek ciasta roboty mojej mamy i termos z gorącą kawą. Co robisz miny? Bierz, jak dają. Wracasz dziś czy jutro? – Spytała, gdy wytaczał maszynę z garażu pod domem Jabłkowskich przy małej uliczce na Żoliborzu.

– Raczej jutro. Wiesz, jak to w terenie. Nieprzewidzianie okoliczności i takie tam – postanowił nie zdradzać celu podróży.

Zręcznie ominął korki przy wylotówce – co jednośląd, to jednośląd. Stracił nieco czasu przy zatłoczonym skrzyżowaniu w Kołbieli; była to jednak ostatnia drogowa przeszkoda. Granatowy skuter mknął już bez przeszkód lubelską szosą. Plan się powiódł – kwadrans po dziewiątej minął Puławę i skręcił na Kazimierz.

Zaparkował przed Domem Dziennikarza, wyjął torbę z prowiantem, i siedząc na pobliskiej ławce, zjadł śniadanie. Był wdzięczny Ance, że pomyślała o tym, przynajmniej zaoszczędzi czas na chodzeniu do baru albo kawiarni.

W ośrodku wypoczynkowym dla żurnalistów mieszkał parokrotnie; miał więc jako takie rozeznanie. Przystojna, postawna kobieta w recepcji powitała go jak starego znajomego; widać utkwilo jej w głowie wydarzenie z tragicznej niedzieli i późniejszy przyjazd Skubalika. Jednak powód tego pamiętania był nieco inny. Patrząc nieco tęsknym wzrokiem na wejście z dziedzińca do holu, zapytała:

– A gdzie pan Fryderyk? Pan Kobiór.

– Został, pani Basiu, w Warszawie.

– Szkoda – w głosie kobiety słychać było rozczarowanie. Ach tak, przecież wśród zdjęć, które Fredek cykał tutaj na lewo i prawo, plątały się wielce luzackie fotki przystojnej Barbary. Ten to ma rozpęd. Nie popuści żadnej.

– Wspomniał mi pan Fryderyk, że obaj prowadzicie śledztwo w sprawie tego tragicznego utonięcia. Wyjaśniło się coś? – Błyszczące oczy rozmówczyni nie pozostawiały złudzeń. Aż się pali, aby dowiedzieć się czegokolwiek. Cały Fredek. Musiał rozpuścić ozór. Tym razem jednak gadulstwo kolegi było Skubalikowi na rękę. Trudniej wyciągnąć szczegóły od osoby mało zainteresowanej. Ta tutaj stanie na głowie, by wszyściutko sobie przypomnieć. Jeśli oczywiście jest dobrym obserwatorem.

– Ciągłe stoimy w miejscu. I dlatego jest mi bardzo, ale to bardzo potrzebna pani pomoc – zauważył, że aż się zarumieniła z wrażenia.

– Jak najbardziej pomogę! Może nie stójmy w holu. Zapraszam do kawiarni na

kawę. Usiądziemy, spokojnie porozmawiamy, bo tu się stale ktoś kręci. Beata! – Rzuciła w głąb recepcji. – Ja wychodzę! Zastąp mnie.

Kawa była znakomita, pani Basia niezwykle chętna. Do tego bardzo spostrzegawcza, o czym przekonał się, zadając pierwsze pytanie:

– Pamięta pani niedzielę, kiedy to się stało? Czy widziała pani wtedy, i w jakich okolicznościach, Ninę Kalicką?

– Doskonale pamiętam. Beata, z którą siedzę w recepcji, gdzieś się podziała i już mnie to zaczęło denerwować. Sezon, gości tłum, a ona lata i lata. Za pięć w pół do dziewiątej zadzwonił w recepcji telefon i trochę dziwny, ni to męski, ni to kobiecy głos spytał, czy mogłabym uprzejmie poprosić w ważnej służbowej sprawie panią Ninę Kalicką. Wymienił jej imię i nazwisko. Akurat parę osób zeszło na śniadanie i zdawało mi się, że mignęła mi pani Nina. Pobiegłam do jadalni. Była tam; siedziała z panem Tadkiem, z Boczkowskim. Chyba się mieli, jak to mówią, ku sobie. Wyraźnie się to rzucało w oczy. On coś jej opowiadał, ona się śmiała. Piękna para z nich była. Mój Boże – westchnęła ciężko i upiła łyk kawy.

– Ale pan nie o to pytał. Już wracam do tematu. Pani Nina podeszła do telefonu. Powiedziała: „Słucham”. „To tak bardzo ważne?”. „Koniecznie dziś?”. „Rozumiem”. „Tak, tak, bez obaw, nikomu nie powiem. Przyrzekam”. „To o dziesiątej nad Wisłą? Tam, gdzie stary Zgoda? Będę na pewno. Tak, na mur”. I odłożyła słuchawkę.

– Pani jest wprost idealnym świadkiem – mówił to zupełnie szczerze. Stało się oczywiste, że drań wywabił Ninę nad rzekę. – Czy jakoś potem tę rozmowę komentowała? Może zmieniła się na twarzy, wykonała jakiś gest.

– Jakby pan przy tym był! – Wykrzyknęła recepcjonistka. – Pani Nina mruknęła: „hm, coś takiego...” i pokręciła głową, tak jak kręci ktoś mocno czymś zdziwiony. To nie koniec. Obok stał, bo wyszedł za nią z jadalni, pan Tadeusz, jak to młodzi, zazdrośnik. Musiał słyszeć rozmowę, bo zapytał: „Widzę, że szykuje się rendez-vous. Jakiś facet? Przystojny chociaż?” Roześmiała się, dotknęła ręką jego policzka, lekko pogłaskała i powiedziała: ”Facet? Ależ nie. Bądź pewny, że nie. To nieco skomplikowane, jednak nie ma w tym żadnego mężczyzny”. Uspokoił się, widać jej ufał. Wyszli razem, lecz dziesięć po dziewiątej wróciła sama, żeby się, jak rzuciła w przelocie: „koniecznie przebrać, bo robi się gorąco”. Po kilku minutach zeszła do holu i od razu wyszła. Wtedy widziałam ją ostatni raz.

– Niesamowite, że pani to pamięta – był autentycznie zaskoczony.

– Kiedyś studiowałam aktorstwo... takie prywatne lekcje. Nic, jak się pan domyśla, z kariery scenicznej nie wyszło, ale za to nauczyłam się zapamiętywać teksty, i tak już mam. Czasem sama jestem tą moją pamięcią zadziwiona – uśmiechnęła się skromnie.

– Nic więcej szczególnego potem się nie zdarzyło? – To pytanie było właściwie zbędne. Wszystko, co chciał wiedzieć, już wiedział. Jednak kobieta i tym razem go zaskoczyła.

– Niby nic... Nie wiem, czy to ważne... Około dziesiątej wyszłam, bo byłam umówiona ze znajomą na małą rozmowę w kawiarni przy Rynku. Czekałam przy stoliku na zewnątrz i rozglądałam się to tu, to tam. Wtedy zobaczyłam pana

Boczkowskiego. Marną miał minę. Siedział taki zamyślony i skurczony, jakby coś go dręczyło.

– Gdzie siedział? – Skubalik aż podskoczył. To mogło być alibi dla Tadka!

– Właściwie to nie siedział, a stał. W tej studzience na Rynku. Stał w środku, oparty o słup. Czasem wychodził, okrążał studzienkę, i znów stawał pod tym słupem. Aż się zdziwiłam, że można tak długo tkwić bez ruchu.

– Długo? Czyli do której? – Rzucił gorączkowe pytania.

– O, to mogę powiedzieć panu bardzo dokładnie. W kawiarni siedziałyśmy od dziesiąt do dziesiątej do jedenastej pięć. A on cały czas w tym samym miejscu. Pokazałam go nawet znajomej i troszkę opowiedziałam, jaka to ładna z pani Niny i z niego parka. Takie tam babskie pogaduszki. Potem, może pięć minut przed nami, odszedł. Kiedy wróciłam, wszyscy mówili o tym dramacie. A pan Tadeusz chyba wyjechał, bo już go ani tego, ani następnego dnia nie widziałam.

– Jest pani cudowna! Wspaniała! Kochana! Dała pani alibi Tadeuszowi! – Poderwał się i zaczął obcałowywać jej ręce. – Czy może to pani zeznać na milicji? To bardzo ważne!

– Oczywiście, że mogę. Podejrzewają pana Tadeusza? Niemożliwe! Jego wtedy nad rzeką nie było! Mogę na to przysiąc przed najwyższym sądem. Moja znajoma też. Kiedy mam iść na milicję? – Była gotowa do czynu.

– Najlepiej od razu. I zaznaczyć, że śledztwo prowadzi w Warszawie kapitan Dydowski. I że to ważne, bo aresztowano niewinnego człowieka.

– Pan Tadzio aresztowany?! No to ja już im powiem! Zaraz pędzę do tych naszych wielce mądrych milicjantów! Jak oni sprawdzali to alibi, że nie trafili na mnie? Przecież sterczę na recepcji i jasne, że sporo mogę widzieć. Żeby chociaż, który przyszedł i zapytał. Dam ja im popalić!

Tak, ona na pewno da im popalić. Nie wątpił, że miejscowi milicjanci na długo zapamiętają wizytę uroczej Barbary.

Stary Zgoda siedział w tym samym miejscu, w którym zastali go ostatnio, jakby od tamtej pory nigdzie się nie ruszył. Tym razem jednak nie dostanie butelki odświeżającej pamięć. Musi to ścierpieć.

– Dzień dobry, panie Zgoda.

Obrzucił go przelotnym spojrzeniem i wygłosił, identyczną jak poprzednio, kwestię.

– Dobry, dobry, po cholercze dobry.

Ale po krótkiej chwili widać przypomniał sobie, kim jest ten młody człowiek, bo niespiesznie dodał:

– A... to pan, od tej młodej utopionej. Byłem, jak żeście mi kazali, na milicji i opowiedziałem, co i jak.

– Bardzo dobrze pan zrobił. Solidny z pana człowiek.

– A co? – Zaperzył się Zgoda. – Ma sobie bandzior latać wolno, kiedy taką ładną panienkę zabił. Złapać i łeb przy dupie ukręcić, żeby ziemia święta gada nie nosiła. Dorwali go?

– Jeszcze nie. Ale dorwą, moja w tym głowa. Nie popuszczę mu. Nigdy – stojąc nad rzeką, w której zginęła Ninka i obiecując staremu dziwakowi, że wymierzy sprawiedliwość, zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy przysięga ta brzmi tak poważnie, niemal groźnie.

– Z takim to nie wiadomo. Zabił, to i zabijać będzie. Musisz pan często się za siebie oglądać.

– Mam oczy z tyłu głowy. O tym, że tu jestem, nikt nie wie. Chciałem prosić, panie Zgoda, żeby pan raz jeszcze przypomniał sobie tamten dzień. Bo powiedział mi pan coś bardzo ważnego, tylko że wtedy nie zwróciłem na to uwagi. Ale latało mi to gdzieś w środku głowy.

– Co to mogło być? – Zmartwił się stary. – Dobra, siadaj pan tu na ławeczce, a ja będę męczył pamięć. Ona już nie taka, choć i nie do końca kiepska. Gdy się rozchodzi o kobitki, to jeszcze dobrze działa. Niedziela to była i gorąc od rana jak diabli. Panienska szła stamtąd, z góry. Przywitała się grzecznie, rozgląda się, i ja pytam, czego szuka. A ona, że umówiła się ze znajomą. To ja zaśmiał się i gadam... zaraz... aha, gadam, że to chyba taka znajoma, co chodzi w spodniach i na chłopca więcej wygląda. A ona gada, że tak jakby się zgadzało, no, niby to co ja mówię, i pyta, skąd ja to wiem. No i dalej...

– Już nie trzeba! To było właśnie to! Jej odpowiedź! To ona mnie dręczyła. Panie Zgoda, to bardzo ważne, co mi pan powiedział. Rozjaśniło mi w głowie. Jak już bandziora złapię, wpadnę do pana, do Kazimierza. Obalimy jakąś butelczynę.

– Czemu nie. Zapraszam. Rybka się znajdzie. I kieliszki.

Zaczęło wiać, zanosilo się na burzę. W twarz, mimo osłony skutera, uderzały ostre podmuchy. Jednak nie czuł ani wiatru ani pędu powietrza. Przyklejony do maszyny, jakby był jej nieodłączną częścią, gnał szosą lubelską w stronę Warszawy. Rozwiązanie jest tam. Zabójca również. Jednak teraz to on – Skubalik ma przewagę. Zrozumiał, jaki wszyscy popełniają błąd. Założyli, że sprawca jest jeden i jest nim facet. A jednak na horyzoncie pojawiła się kobieta. Wspólniczka? Bardzo możliwe. Tylko jak sprawców obu zbrodni wywabić z bezpiecznego kąta? Jak zidentyfikować, odnaleźć? Coś musi wymyślić. Grunt, że Tadeusz będzie wolny.

ROZDZIAŁ 8

Falszywy telegram

Szedł przez puste, ogołoczone z roślin pole. Dalej, niemal na skraju horyzontu, majaczyły splątane gęste chaszczce. Skonstatował to z ulgą; miał dość dziwnego stepu nie stepu, upalnego słońca i szukania ścieżki. Nagle niebo spopielalo, w parę chwil zapanował mrok. I wtedy, gdy już miał pewność, że trafił na zgubioną ścieżkę, posłyszał za sobą głuchy tupot stóp. Obejrzał się. Przez mroczne pole pędziła ciemna postać. Z tej odległości nie mógł odróżnić rysów. Jednak zobaczył coś innego. Człowiek ten trzymał oburącz długą strzelbę. Na moment stanął, podniósł ją na wysokość ramienia. Koło głowy świsnęła kula. Potem druga i trzecia. Zaczął biec ale nogi jakby wrosły w ziemię. Sparaliżował go strach. Napastnik był coraz bliżej. Znow uniósł broń. Palec na spuście poruszył się. Zginę! Nie mam gdzie uciec. Ratunku...

Donośny huk. Gdzie ja jestem? Co z tamtym? Pościel na tapczanie była skotłowana, jakby tej nocy prowadził walkę na śmierć i życie. Ulga. To tylko sen. Za oknem głośno zabuczały silniki przelatującego nisko samolotu.

Zmęczenie wczorajszą wyprawą dało mu ostro w kość. Gdy wreszcie dowlókl się do miasta i odstawił skuter na Żoliborz, czuł tę podróż każdym milimetrem ciała.

– Starzeję się – westchnął melancholijnie i zwłókl się z leża. Zerknął na zegarek. Za pięć dziesiąta! Zaklął siarczyście. Był umówiony z Ignaciakiem. Na wpół do dziesiątej. Nie zdąży. Przemysł twarz, ubrał się pospiesznie i popędził do windy. Cholerny świat z tym pieprzonym trabantem! Wreszcie musi go odebrać z warsztatu, bo takie numerki ze spóźnieniami będą się powtarzać.

Na Plac Dzierżyńskiego nie było daleko. Przeciął na skos skwer przy Pałacu Kultury i na skrzyżowaniu ze Świętokrzyską wskoczył do tramwaju. Po kilku minutach wyszedł na rozległy plac, na tyłach którego mieściła się firma Ignaciaka. Pchnął oszklone wysokie drzwi i odetchnął z ulgą. Starszy pan czekał przy portierni. Zza jego ramienia wyglądał niski, łysawy jegomość w trudnym do określenia wieku.

– Przepraszam za spóźnienie. Wstyd przyznać, ale zasnąłem. Wczoraj było męcząco. Cały dzień w drodze.

– Nic nie szkodzi – Ignaciak uściśnął mu rękę. – Poznajcie się panowie. Pan Zbigniew Skubalik, przyjaciel naszego domu. Pan Goździk. Już wprowadziłem pana Edzia w sprawę. Ma na szczęście dobrą pamięć do twarzy.

– Co prawda, to prawda. Panie, ja żem nie takie gęby zapamiętywał. Gadali nawet o mnie w młodości, że jak już która w oko mi wleci, to nigdy nie zapomnę, co i jak, bo u mnie panie, taka siła w tej pamięci wzrokowej – Goździk wybałuszył oczy, jakby chciał pokazać, że źródłem jego talentu jest ten a nie inny organ.

– Świetnie. Właśnie pana pamięć to dla nas wielki teraz skarb – Skubalik nie miał wątpliwości, że los znow mu sprzyja. Najpierw Barbara i jej fenomenalna wręcz

zdolność odtwarzania zasłyszanych słów, teraz ten człowiek. Zobaczymy, czy nie jest zwyczajnym samochwałą.

– Pan Stanisław mówił mi, co i jak. Trzeba drania złapać. A tę osobę z biletami, to widzę jak dziś, choć po prawdzie minęło trochę czasu. Inni to na drugi dzień nie umieją nic powiedzieć o czymś wyglądzie. Ale nie Goździk. Chuchro to było, panie. Taki niepozorny człeczyna. Na pysku wygolony, gładki. Aż dziw, jak mu wyrosły te wąsika. Sterczały pod nosem, gęste i czarne. Chyba farbowane, bo takiego koloru ludzki kłak nie ma. Na oczach okulary, też całkiem czarne a nie jakieś zielonkawe czy brąz. No i miał na łbie kapcyliner.

– Co takiego? – Nie zrozumiał Skubalik.

– Toż mówię. Kapcyliner, znaczy kapelusz. Nawet pomyślałem sobie: głupi czy co? W taki gorąc kapcyliner? Gadam, że upał, że się człek żywcem topi. Ot tak, żeby ludzkie słowo z drugim człowiekiem zamienić. A on nic, tylko gapi się przez te okularki i chrypi, jakby miał polipy w nosie, że ma bilety dla Ignaciaka i zostawia je u mnie, a pan Stanisław je odbierze. Tak powiedział: „pan Stanisław”, niby że znajomek.

– Jaki to był głos? Mocny, niski, wysoki?

– Tuś mnie pan dopadł. Do głosów ni cholery nie mam pamięci. Ale zaraz... no przecież sobie pomyślałem, jak on już poszedł, że niby gada jak facet, ale i nie jak facet. Zresztą sam pan wiesz, jak to teraz jest. Baby jak faceci. Faceci jak baby.

– Nic więcej pan nie zauważył? Szczegóły ubrania czy coś takiego.

– Jak to nie zauważył? – Obruszył się Goździk. – Gatki miał brązowe do białej koszuli. Pod krawatem był, ale żaden elegant z niego, bo na koszuli wisiąca jak na suchym gnacie marynarka, też brązowa i mocno sfatygowana. Wszędzie były zagięcia a brzegi wyświecone, jakby wypożyczył albo kupił w lumpie. A ruszał się jak ten... no wiesz pan, ten niby-chłop, no, takie homo niewiadomo. Buty miał małe, można powiedzieć, babskie stóпки. Najwyżej 38. Choć lato, z wierzchu pełne, to znaczy półbuty. Czarne. Sznurówkowe.

– Świetnie to pan pamięta, panie Edziu! – Pochwalił Ignaciak.

– Fakt. Pamięć znakomita. Jestem pełen podziwu – przyznał Skubalik. – I jeszcze jedno. Czy był sam? Może ktoś na niego czekał. Te wejściowe drzwi są oszklone, więc może coś pan dostrzegł.

– Dzięki moim nerkom znam odpowiedź. Akurat, gdy już te bilety wziąłem, zachciało mi się sikać – przyznał Goździk z otwartością. – Wylazłem z portierni, żeby iść tam, gdzie nawet król piechotą chadza, po drodze mijalem te drzwi i odruchowo tam zerknąłem. Coś mi się widzi, że facet był sam, bo sam pruł prosto na parking przed budynkiem. Może lazał w stronę auta. Stał tam zielony garbus, znaczy volkswagen, czerwony duży fiat, potem syrenka – paskudnie żółta, za nią odrapany motor i wiśniowy maluch, kolor nawet przyjemny. Aha, jeszcze nyska dostawcza z piekarni. A na końcu jakieś granatowe coś, chyba skuter, ale był trochę zasłonięty, więc nie dało się zobaczyć.

– Dziękuję panu serdecznie. Co za pamięć! – Skubalik uściśnął dłoń portiera. Ten

pokazał w uśmiechu duże, krzywe zęby.

– Aha, jeszcze jedno, bardzo ważne – przypomniał sobie. – Ile lat mógł mieć ten z biletami?

– Tuś mi pan znowu zabił ćwieka. Trudno powiedzieć. Mógł mieć ćwiartkę, znaczty dwadzieścia pięć, albo i z dziesięć więcej. Taki niewyraźny w wieku był.

– To chyba wszystko. Jakby co, zgłoszę się.

– Wał pan jak w dym. Możesz pan na mnie liczyć. Oko to ja mam detektywistyczne. Słynne oko Goździka – portier klepnął się z rozmachem w pierś.

*

Goździk dorzucił nowe fakty, chociaż na razie zbyt wiele nie wyjaśniły. Ciekawe, co wie o sprawie Nowakowska. Szkoda, że nie mają w domu telefonu. Może pani Alusia nie obrazi się na niespodziewaną wizytę.

Nie obraziła się. Wręcz przeciwnie. Powitała gościa nader serdecznie, znała go z widzenia a i z opowieści Ignaciaków. Wyjaśnił krótko cel wizyty. Odetchnęła z widoczną ulgą. Jej powód wkrótce wyszedł na jaw.

Nowakowska była przysadzistą, rumianolicą blondynką o dobroduszej, budzącej zaufanie twarzy. Wpuszczając Zbyszka do ładnego, chociaż skromnie urządzonego mieszkania, ani na chwilę nie przestawała mówić, żałując, że mąż akurat wyszedł – i to na dłużej – więc nie będzie obecny przy rozmowie. Zbyszek miał obawy, czy zdąży zadać jakiegokolwiek pytanie. Ale gdy już został usadowiony w przytulnym saloniku i uraczony filiżanką fantastycznie pachnącej kawy, Alunia nagle umilkła. Wbijając w przybysza niebieskie ufne oczy, wyraźnie czekała na pytania.

Streścił ważniejsze fakty, napomknął o tym, że postanowił pomóc w tropieniu zabójcy Sławka. Niektóre sprawy pominął; nie powinny jej interesować. Wyjaśnił, iż podejrzewa, że to właśnie Nowakowscy zostali użyci, by wywabić Ignaciaków z domu. Cel był jasny: morderca chciał mieć czas na dokonanie zbrodni.

– To wszystko straszne, bardzo straszne. Zналиśmy oboje pana Sławka. Taki młody, miły człowiek. Kto go mógł zabić? Ma pan chyba rację z tym użyciem nas do wyciągnięcia Helci i Stasia z domu – zgodziła się pani Alunia. – A jak sprytnie to uknuł. Najlepiej, jak pokażę najpierw ten papierek – podniosła się z fotela i podreptała do pokoju obok. Skubalik nie miał pojęcia, o jakim papierku mowa; czekał więc niecierpliwie na powrót gospodyni. Nie było jej przez parę chwil.

– Ta historia mocno nas dotknęła. Niech pan sam zobaczy – wręczyła Zbyszkowi blankiet telegramu. Przebiegł wzrokiem krótką treść: *Mańcia bardzo chora – stop – Przyjeżdżajcie natychmiast – stop – Władek.*

– Mańcia to nasza córka a Władek to zięć – wyjaśniła Nowakowska.

– Jak się czuje córka? Już w porządku?

– Zdrowa jak koń! Nic jej nie było! A my gnaliśmy przez pół Polski nieprzytomni z przerażenia. I co?! Nikt ze Szczecina tego telegramu nie wysłał. To jakiś ponury, paskudny żart.

– Rzeczywiście ponury – pomyślał. – Podobna wiadomość kładzie na łopatki

każdego, co dopiero rodziców mocno związanych ze swoim dzieckiem. Wysyłający telegram o tym też dobrze wiedział.

– To nie żart – powiedział z powagą w głosie. – To okrutny, zbrodniczy plan. Czy mogę pożyczyć ten telegram? Chcę coś sprawdzić. Kiedy sprawa zostanie wyjaśniona, dam znać o wyniku, może podczas spotkania u Ignaciaków.

Wyszedłszy w domu Nowakowskich, skierował się ku najbliższej poczcie. Warto wiedzieć, skąd i kiedy wysłano ten złowieszczy telegram. Uprzejma młoda kobieta w okienku obejrzała blankiet, zerknęła spod oka na pytającego, gładko połknęła jego uśmiech, potem coś zagadała do koleżanki przy sąsiednim biurku i – zwracając telegram – wyjaśniła.

– Wysłany z Warszawy. Poczta przy Miodowej. O godzinie ósmej piętnaście, dnia 31 lipca. Czy to wystarczy?

– W zupełności. Serdecznie pani dziękuję.

Teraz należało podążyć tropem telegraficznego blankietu. Wskoczył w tramwaj przy Hali Marymonckiej; po pół godzinie znalazł się na Miodowej. I tym razem miał szczęście do młodej, uprzejmej urzędniczki. Obejrzała telegram, kazała poczekać, zniknęła na zapleczu, skąd wróciła w towarzystwie sporo od siebie starszej, poważnej kobiety w granatowym fartuchu.

– Koleżanka miała dyżur 31 rano. Już jej pokazałam ten blankiet.

Kobieta skinęła potakująco głową. O, z nią nie będzie łatwo – pomyślał, ale powiedział grzecznie: – Dzień dobry pani. Chciałbym się dowiedzieć, kto wysłał ten telegram.

– Nie wolno nam tak każdego informować. A po co to panu wiedzieć? – Zapytała sucho.

– Zaraz wyjaśnię. Moim znajomym, to starsi spokojni państwo, ktoś zrobił okrutny kawał. Zawiadomił, jak pani sama widzi z treści telegramu, o ciężkiej chorobie córki, która mieszka w Szczecinie. Zrozpaczeni, natychmiast tam pojechali. Tymczasem okazało się, że córka jest cała i zdrowa i nikt z jej rodziny żadnego telegramu nie wysłał. Zresztą, jak widać, nadano go w Warszawie, na co zszokowani wiadomością starsi państwo nie zwrócili uwagi. Chcemy się dowiedzieć, kto mógł to zrobić. Dla pewności może pani sprawdzić moje dokumenty.

Wsunął przez okienko dowód i legitymację dziennikarską. Urzędniczka odruchowo porównała zdjęcia w dokumentach z ich okazicielem. Jej twarz odprężyła się.

– Rzeczywiście, paskudna sprawa. Nie możemy jednak zapobiec tego typu dowcipom. Bo jak? Nikt przecież nie musi przy nadawaniu depechy okazywać dokumentów tożsamości – tłumaczyła, jakby to z jej winy starsi państwo przeżyli chwile grozy.

– To oczywiste – zgodził się Zbyszek. – Nie ma tu żadnej winy poczty. Żadnej. Jednak może jest cień nadziei, że jakimś cudem pamięta pani nadawcę. Tak, wiem, że codziennie przetaczają się tędy tłumy, ale... To było chwilę po otwarciu waszego urzędu, bo widziałem na drzwiach, że w okresie letnim macie czynne od ósmej.

Kobieta przypatrywała mu się w milczeniu, ważąc coś w myślach. Niespodziewanie na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Ma pan szczęście. Akurat tego dnia wróciłam z urlopu. Nietypowo. Nie 1 sierpnia a właśnie 31 lipca. Taki dzień pamięta się najlepiej, człowiek jest jeszcze okropnie rozleniwiony i wyczulony na otoczenie, jakby od nowa przywykał do starego miejsca. Kiedy pojawiałam się za okienkiem, stało tam już kilka osób. Pierwsza młodziutka kobieta z wrzeszczącym dzieciakiem. Odbierała przekaz, chyba alimenty. A potem? Zaraz... No tak! Potem był ten telegram. Dlaczego to pamiętam? Siostra mojej matki ma na imię Maria, ale wołamy na nią Mańcia, tak samo jak bliscy nazywają osobę, o której mowa w telegramie. Pomyślałam, że byłoby straszne, gdyby podobna depesza przyszła do mnie, bo ciotkę Mańcię bardzo, bardzo lubię. Telegram wysyłała niewątpliwie kobieta, niezbyt wysoka, szczupła, młoda. Jakie miała włosy? Hm, chyba ciemne... takie średnio ciemne, długie, gęste. Wyglądały na perukę. Oczu nie widziałam, ukryła je za okularami. Zdziwiłam się, że o tej porze, choć słońce jeszcze słabe, ona już nosi okulary słoneczne i to wewnątrz budynku. Ale przecież różne mogą być powody. Źle zrobiony makijaż, podbite oko. Różne... Coś to panu mówi?

– Na razie nie – przyznał otwarcie. – Jednak bardzo mi pomoże. Dzięki temu opisowi niektóre osoby można będzie wykluczyć. To cud, że pani wszystko zapamiętała. Serdecznie dziękuję za pomoc.

*

Fakty zaczęły się kleić. Sprawców jest najmniej dwóch, w tym młoda kobieta. Czy to jednak takie pewne? Zabójca mógł wszak prosić o wysłanie telegramu obojętnie kogo. Powiedzmy, że dał przypadkowej kobiecie wypełniony blankiet i – płacąc za przysługę lub tłumacząc się w jakiś przekonujący sposób – nakłonił ją, by poszła ten telegram wysłać. Wniosek? Telegram może być, niestety, drogą donikąd.

Samo poznanie sposobów, jakie zastosował morderca, żeby dopaść Ninę i Sławka – to jednak za mało. Choć w ogólnych zarysach miał już o tym jako takie pojęcie, ważniejsza wydawała się Zbyszkowi odpowiedź na pytanie: dlaczego? By rzucić na to szersze światło, powinien raz jeszcze spenetrować dom Zwardonia. Centymetr po centymetrze, kąt po kącie, kartka po kartce. Wszystko. Maszynopis książki i zaginiona maszyna – jeśli oczywiście kapitanowi nie udało się jej odnaleźć – mogły stanowić klucz do wszystkiego. Albo być błędnym tropem, podrzuconym przez sprytnego zabójcę.

Na razie trzeba ustalić grono tych, co mieli dostęp tak do Sławka jak i do Niny lub informacji o nich. Oraz do niego, Skubalika. W przypadku Zwardonia zabójca bez żadnych wątpliwości musiał znać go osobiście, mieć wgląd w jego życie. Musiał w jego domu bywać lub być choć raz. W tym przypadku w grę wchodzi prawdopodobnie ludzie z ich środowiska: dziennikarze, pracownicy obu redakcji, osoby z nimi związane. Bo, można z góry założyć, nie jacyś znajomi Ignaciaków.

Na szczęście istnieje świadek Goździk, posiadacz fenomenalnej pamięci wzrokowej. Gdyby tak pokazać mu zdjęcia ludzi z tego kręgu znajomych? Może

rozpozna kogoś, nawet mimo przeszkody w postaci przebrania, w jakim wystąpił typek przynoszący bilety dla Ignaciaka. Że był on przebrany – Skubalik nie miał raczej wątpliwości.

W „Wiadomościach Dnia” i „Echu” pracowało razem dwudziestu pięciu dziennikarzy. Dziewięcioro było aktualnie na wczasach, jedna osoba siedziała od miesiąca w sanatorium, jeszcze jedna nie wstawała od tygodni z łóżka, złożona ciężką dyskopatią.

Zostało do sprawdzenia czternaście kobiet i mężczyzn, nie licząc personelu administracyjnego i technicznego: gońców, sekretarek, korektorek, kierowców. Na razie Skubalik ze swojej listy ich wyłączył.

Dotychczasowe wnioski i ustalenia przedstawił Fredkowi, jednakże nie wtajemniczył go we wszystko. Miał do niego zaufanie nie tylko z powodu idealnego alibi, jakim fotoreporter dysponował. To było coś więcej. Głębokie przekonanie o uczciwości kolegi. Fredek, poproszony o pomoc w identyfikacji twarzy „biletera”, jak go skrótowo nazwali, machnął ręką:

– Łatwizna. Masz to, Zbyniu, bankowo. Daj parę dni i album przestępców będzie pełny i gotowy.

Pomysł Kobióra był prosty. Weźmie aparat, przejdzie się po redakcjach i porobi fotki. Jakieś uzasadnienie na to wymyśli. I wymyślił. Chodząc od pokoju do pokoju, kazał się ustawiać do „rodzinnego portretu”, cykał zdjęcia, wreszcie rzucał żartobliwie:

– Będę sprzedawał po dychu dowody tego, że od czasu do czasu przychodzicie do roboty i pracujecie.

Śmiali się, nie do końca dowierzali żarcikom, ale każdy wystawiał chętnie twarz do obiektywu, bo wesołemu Fredkowi trudno było odmówić. Toteż już po dwóch dniach mógł zanieść koledze plon swoich poczyñań.

Teraz pozostało ustalić, kogo ze sfotografowanych znają Ignaciakowie i – tak na wszelki wypadek – Nowakowscy, a także pokazać zdjęcia Goździkowi. Skubalik załatwił to w dwa przedpołudnia, marnując sporo na taksówki. Trabant nadal tkwił w warsztacie.

Zmęczony bieganiną zaszył się w małym barku nieopodal redakcji, zamówił mineralną, podwójną kawę i kawałek tortu. Wreszcie chwila oddechu; może więc to i owo na spokojnie przemyśleć, logicznie poukładać, co wie. Jednak nie miał dziś ochoty na wysilanie szarych komórek. Najchętniej pogawędziłby z kimś rozsądnym i miłym. O niczym albo o lecie, o augustowskich jeziorach, nawet o swoim pokaleczonym samochodzie – byle choć na parę chwil oderwać się od ponurej rzeczywistości: błędzenia po śladach zabójcy.

Nagle przyszła mu do głowy Hanka. Przyznał sam przed sobą, że dziewczyna mocno go intryguje. Odszukał numer jej telefonu, zapisany podczas owego nieszczęsnego wieczornego najścia na jego dom, wyszedł do holu, gdzie wisiał sprawny automat telefoniczny, wykręcił numer. Odebrała po krótkiej chwili. Była jeszcze w redakcji, kilka ulic dalej. Obiecała przyjść za godzinę. Pozostało mu sporo czasu. Zamówił drugą kawę i mineralną, usadowił się wygodniej, wyjął notes i zaczął

systematyzować zebrane dotąd informacje.

Goździk nie rozpoznał na zdjęciach nikogo; jego oku mógł ufać. Wśród sfotografowanych przez Fredka nikt nie pasował do „biletera”. Ignaciakowie znali siedem osób: Józka Filipczaka, Ankę Jabłkowską, Dankę Cisek, Marysię Górna, Wicia Pocięzkę, Edka Bryka i Felka Stawowego. Ci właśnie ludzie odwiedzali dom Zwardonia, natykając się czasem na gošcinną panią Helenę. Danka, Marysia, Wicio, Józek i Edek wpadali na Niegłósną, kiedy Sławek pracował jeszcze w „Wiadomościach Dnia”. Tylko Stawowy był jego kolegą już z „Echa”. Anka, choć nie pracowała w żadnej z tych redakcji, była znajomą Sławka, Niny i Zbyszka z innych, jeszcze studenckich kontaktów. Prócz nich starsi państwo kojarzyli ze Zwardoniem Fredka i Tadka Boczkowskiego, częstego gošcia na Niegłóskiej. Ci dwaj, podobnie jak Anka, należeli do grona przyjaciół, chociaż tymi najbardziej ze sobą żytymi pozostawali Sławek, Nina i Zbyszek.

Przerzucił stronę z nazwiskami; na czystej kartce zaczął formułować wnioski.

Ninę i Sławka zabił ktoś, kto ICH dobrze ZNAŁ!!!

Sławek

1. Zabójca musiał wiedzieć (od Sławka, od Niny, bo może o tym rozmawiali?) o pragnieniu Ignaciaków związanym z filmem.
2. Orientował się w znajomości Ignaciaków z Nowakowskimi – wiedział że obie starsze pary mają na co dzień ograniczony kontakt (brak telefonu u Nowakowskich), więc może to ktoś z ich znajomych? (Ale jaki by to miało sens?).
3. Zna mnie, wie jak i gdzie się poruszam (chyba, że ten wypadek, wypadki to był czyjś głupi dowcip).

Dziwne zdarzenia do wyjaśnienia:

1. Gdzie jest maszynopis książki? Dowód, że istnieje: jej strona tytułowa oraz lista gości i zakupów na obławanie zakończenia (jeszcze dokładniej pogrzebać w rzeczach Sławka!)
2. Gdzie jest „głupek”?
3. Wyklute oczy Ewy. Mylny trop czy odruch, a więc ślad osobowości mordercy (?)

„Bileter”

1. Sam sprawca
2. Ktoś postronny, robił to np. za pieniądze? Ale czy zabójca tak by ryzykował i zostawiał świadków?
A może naprawdę JEST DWÓCH ZABÓJCÓW?!!!

Nina

1. Jej śmierć łączy z zabiciem Sławka:

- podobny głos w telefonie do Ignaciaków i na recepcji w Kazimierzu. Niby damski, niby męski.
 - głos „biletera” według Goździka też był taki. Ta sama osoba? „Bileter” to wspólnik zabójcy lub on sam (dlaczego ryzykował, pokazując się w firmie Ignaciaka? Taki pewny siebie? Może ufał w przebranie?).
 - bliski czas obu zabójstw
2. Sprawca wiedział, że:
- Nina jest na wczasach
 - Nina świetnie pływa; dlatego użył środka paralizującego

Ergo:

- sprawca kiepsko pływa i chciał mieć pewność, że Nina utonie.
- pływa dobrze, ale chciał mieć pewność, że zabójstwo się uda.
- obojętnie, pływa dobrze czy źle, może nie jest silny i bał się, że z Ninką w wodzie sobie nie poradzi.
- zabójcą mogłaby być KOBIETA?!!!

Spojrzał na zapiski. Najważniejsze wnioski nasuwały się same. Musi wziąć pod uwagę istnienie dwóch sprawców oraz to, że w grę może wchodzić kobieta.

Niżej dopisał coś, co wydawało mu się najbardziej zagadkowe: dlaczego Nina musiała zginąć przed Sławkiem?!

Jak rozplątać ten galimatias? Trzeba koniecznie ustalić plan dalszego postępowania, bo jeszcze chwila, a we wszystko wkradnie się chaos.

– Co tak zawzięcie pisziesz? – Usłyszał nagle za plecami. Hanka! Pojawiła się bezszelestnie, nie wiedział, czy nie obserwuje go od dłuższej chwili. Zamknął notes, porwał się na nogi, odsunął krzeselko.

– Proszę, usiądź. Co ci zamówić? Kawa? Mają tu smaczny tort.

– Może być tort, byle nie był smaczniejszy od ciebie – uśmiechnęła się szeroko.

– To ja jestem smaczny?

– A jak myślisz? Chociaż, jak to bywa ze smakami... De gustibus...

– Dziękuję, że wpadłaś.

– Trzeba pocieszać strapionych.

– Wyglądam na takiego?

– Bardzo wyglądasz. Aż ci szczęki chodziły, kiedy tak zamasyście notowałeś w tym kajecie. Co to, pamiętnik?

– Nie zgadłaś. Plan cyklu reportaży. Naczelnik ciśnie, a ja nie mam teraz do tego głowy – nie mógł jej powiedzieć, co robił przez ostatnią godzinę. Im mniej osób wie, tym lepiej.

– A co z tą głową, że jej nie masz? Jakaś ci ukradła? Może Kaśka Hojna? Jest okrutnie niebezpieczna dla męskich serc. Strzeż się jej ukrytej broni.

– O nie, ani Kaśka, ani żadna inna. Na to też nie mam głowy – zaczęło go bawić to przerzucanie się słowami. – I nie ma jakoś tej jakiejś.

– Bo za mało się starasz, młodzieńcze – roześmiała się.

Miły ma ten śmiech. Bardzo kobiecy. W ogóle jest super – cieszył się w duchu, że wpadł na pomysł spotkania. Ej, trzymaj się Zbysiu, bo wpadniesz. Szkoda, że zjawiała się na jego horyzoncie akurat teraz, w najtrudniejszych chwilach.

– Staram się, jednak płęć żeńska jakoś tego nie chce dostrzec. A ty byś dostrzegła?

– To propozycja? – Zerknęła spod oka. – Odpowiem ci od razu, by nie męczyć męskiego ego. Bez próbowania nie ma dobrej potrawy.

– Dziwię się, że dotąd nie zauważyłem ciebie w sposób, na jaki zasługujesz.

– A na co zasługuję, mój księżę?

– Na to, by widzieć dziewczynę pełną wdzięku, śliczną i mądrą.

Poprawiła opadający na czoło kosmyk, wyciągnęła rękę i położyła ją na dłoni mężczyzny. Przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy. Przywołał kelnerkę, zapłacił. Wyszli.

Siedziała na tapczanie i rozglądała się po kawalerskim gospodarstwie. Już nie była taka wygadana i pewna siebie. Zbyszek też nie czuł się komfortowo. Brakuje mi brawury Fredka – pomyślał, szykując w kuchni herbatę. Musi wydumać jakiś ciekawy temat.

– Dobrze znałaś Ninę? – Zapytał, wchodząc do pokoju. I od razu tego pożałował. Hanka zeskoczyła z tapczanu.

– Widzę, że masz bardziej interesujące sprawy, niż pospolite uwodzenie dziewczyny – to „pospolite uwodzenie” powiedziała z wyraźnym żalem.

– Wybacz, jestem durny jak but.

– Nie obrażaj buta – parsknęła.

– No to jak noga stołowa.

– Niech ci będzie. Cóż, jeżeli ci ma to ulżyć, pogadajmy o tym, co tak drażysz. Ninę, jak chcesz wiedzieć, znałam tylko z widzenia. Ale może już wiesz, kto zabił, wielki detektywie? – W jej głosie zabrzmiała kpina.

– Nie żartuj. Dupa ze mnie, nie detektyw. Na razie nie wiem, co wiem i nie wiem, czego nie wiem. Szperam dalej.

Ostatnia uwaga dała niespodziewany efekt. Złożyła błagalnie dłonie i powiedziała prosząco:

– Zbyszek, nie zajmuj się tym. Proszę. Jeszcze i ciebie zabiją. Jestem pewna, że gdy będziesz, jak mówisz, szperał dalej, to cię zabiją. Jestem pewna. Zabiją...

– Zaraz zabiją. A żałowałybyś?

– Czy ja wiem? Może tak. Myślę, że tak.

– Wspaniale! Uradowałaś moje serce. Dziękuję. Nie bój się Haniu, nic mi nie grozi. Przysięgam, że nic – uniósł w górę dwa palce.

Cholera, wszyscy go ostrzegają. Przyczepili się jak rzep psiego ogona. Był zły na nią, na siebie, na cały świat. Musi znaleźć drania; inaczej nie będzie umiał normalnie żyć. Jeśli nawet nie potrafił zachować się odpowiednio wobec tej miłej dziewczyny, randkę, z którą tak kompletnie popsuł, to znaczy, że jest już z nim zupełnie kiepsko.

Składając Hance przysięgę, nie wiedział, jak bardzo się myli.

ROZDZIAŁ 9

Wypadek Danki

Choć tydzień dopiero się rozpoczął, Skubalik był rozdrażniony i wyczerpany. Snuł się po redakcji niczym mucha w rozlanym miodzie. Danka zerknęła na niego z troską w oczach, co tym bardziej doprowadzało go do furii.

– Gapisz się na mnie, jakbym za chwilę miał zostać pensjonariuszem domu spokojnej starości.

– Ja się gapię?! To ty wbijasz gały w okno i ani be, ani me, ani kukuryku. Brzuch cię boli? – Nie dawała za wygraną.

– Co byś chciała usłyszeć? Że wszystko cacy? Daj spokój – machnęła ręką i powlókł się do pokoju maszynistek. Musiał dodać parę zdań do tekstu; wydusił go z siebie prawie na siłę. Marysia Górna siedziała przy biurku i nad czymś rozmyślała.

– Przepraszam, pani Marysiu, znów muszę coś poprawić. Łeb mi ostatnio kiepsko pracuje.

– Rozumiem. Nie jest łatwo zapomnieć o tym, o czym zapomnieć się nie da.

– Fakt.

– A jak tam ze śledztwem? Jest coś nowego?

– Nie wiem. Nie orientuję się zupełnie, co robi milicja i czy w ogóle coś robi – burknął pod nosem.

– Myślałam, że choć trochę się posunęli. A pan, redaktorze nic nie robi w tej sprawie? – Była wyraźnie zadowolona.

– Dałem już sobie spokój. Nie mam chęci o tym rozmawiać – mruknął rozdrażniony, ale widząc zmieszanie w końcu miłej, życzliwej maszynistki szybko dodał: – Proszę mi wybaczyć pani Marysiu, jestem dziś jakiś taki...

– Jakbym mogła w czymś pomóc, niech pan leci do mnie, jak w dym.

– Dziękuję, będę pamiętał – pokazał miejsce, gdzie trzeba nanieść poprawki i spiesznie wyszedł. Jeszcze czego! Ma każdego, kto sobie tylko życzy, informować o szczegółach? Nawet nie bardzo teraz wie, kim są jego, tak chętni, rozmówcy.

Wprawdzie z listy odpadło kilka osób, lecz sprawdzenie ich alibi mogło być zbyt powierzchowne. Dydowski miał do dyspozycji cały aparat śledczy, a on co ma? – Poza wiarą, że rozpytywani koledzy mówią prawdę.

Wiedział na pewno, że prawdziwe jest alibi Wicia Pocięzki. Dwa dni przed feralną niedzielą i poniedziałkiem sekretarz redakcji siedział w Zakopanem razem z Leonem Wajchą, dawnym, od ponad dwudziestu lat, nie widzianym przyjacielem ze Stanów, który wpadł na dwa tygodnie do Polski. Wyjechali z Tatr dopiero w poniedziałkowy wieczór i już rankiem Wicio zameldował się w robocie. Jego alibi sprawdziło się samo. Ów amerykański przyjaciel wpadł do „Wiadomości” przed

wyjazdem z Polski, aby – jak mówił, kiedy Pociuszko przedstawiał mu kolegów – poznać jego „sztab dowodzenia”. Rozmawiali o pobycie w górach, Leon chwalił wycieczkowe umiejętności Wicia, który niczym stara doświadczona kozica przez całą niedzielę i poniedziałek bez przerwy latał po górach i dolinach.

Józek Filipczak z Edkiem Brykiem wojażowali od soboty do poniedziałku wieczorem po Wybrzeżu Koszalińskim, obsługując prasowo jakieś wakacyjne regaty. Trzymali się razem, mieli ten sam pokój w hotelu. Edek, największa redakcyjna gaduła, nie omieszkął szczegółowo opowiedzieć, co i gdzie wyczyniali podczas wyjazdu. Mowa była głównie o przebywających tam dziewczynach, oddających się sztuce żeglarstwa. Nie było więc siły, ażeby któryś zdążył do Kazimierza i potem do Warszawy. Felek Stawowy był u rodziny pod Łowiczem, a właściwie w szpitalu, gdzie leżała jego matka. Przez wiele dni po przyjeździe chodził zmartwiony i struty, bo jej stan znacznie się pogorszył.

– Chyba będę musiał wziąć dłuższy urlop – westchnął, kiedy Skubalik zapytał go o plany urlopowe. – Matce dobrze robi, gdy przy niej jestem. Tkwiałem przy jej łóżku parę dni i poczuła się lepiej.

– To nie byłeś w Warszawie w dniu śmierci Sławka? – Zapytał niby obojętnie.

– W tamten poniedziałek? Nie, wziąłem kilka dni wolnego i od piątku do wtorku sterczałem przy mamie. Teraz chcę wybrać się do niej na dłużej. Bardzo się o nią martwię, to najlepsza z matek pod słońcem.

– Wszystko będzie dobrze, zobaczysz – klepnął kolegę po ramieniu. – Matki bywają twarde.

Ucieszył się w duchu, że Stawowy odpadł z listy. Lubił go za dobroduszną prostolinijność i rzetelność. Felek był świetnym kolegą i chociaż nie należał do żurnalistów najwyższego lotu, jego artykuły, zawsze starannie dopracowane, stały na przyzwoitym poziomie.

Alibi na niedzielę nie miała Ciskówna. Po ustaleniu listy osób rozpoznanych przez Ignaciaków, zapytał ją o to wprost. Tylko się roześmiała:

– W niedzielę mogłam latać z tępym nożem wszędzie, gdzie mi się podobało. Oczywista w celach morderczych. Nikt mnie nie widział poza roślinami na moim balkonie. Siedziałam w domu, choć pod wieczór trochę się pałętałam po mieście. Za to w poniedziałek sterczałam w redakcji od rana do ósmej wieczorem. Razem z Zosią maszynistką, bo też roboty miała do cholery, za siebie i za Marysię Górną, która wzięła krótki urlop. Szef tak nas ściagał, że gubiliśmy buty. No patrz, co za pech. Mam na poniedziałek alibi! Żałujesz, wiem. Ale cóż robić, takie już jest to życie. Nie zawsze dogadza naszym ideałom. Szukaj gdzie indziej, Sherlocku.

Lista podejrzanych okazała się niewypałem. Przynajmniej na razie. Należy ukąsić tę sprawę zupełnie inaczej. Zakończyć posuwanie się w żółtym tempie po nikłych śladach i wymyślić coś kompletnie odmiennego. Co? Na to nie potrafił odpowiedzieć. Nie miał też pojęcia, na jakim etapie jest śledztwo milicyjne. Ciekawe, czy odnaleźli maszynę Sławka? O ślady na ramce fotografii Ewy nie miał co pytać. Tak precyzyjny zabójca nie popełniłby równie idiotycznego błędu.

Ciekawe, czy pani Barbara skontaktowała się z milicją w sprawie alibi Tadeusza,

o co prosił ją gorąco przed wyjazdem z Kazimierza. Musi do niej zadzwonić; przecież Boczkowski nadal siedzi w areszcie, gdy tymczasem on bawi się w szukanie alibi dla innych. I w niewczesne romanse. Teraz najważniejszy jest Tadek! Odezwie się do kapitana pod pretekstem prośby o pozwolenie na jeszcze jedną wizytę na Niegłośnej, bo mieszkanie Sławka prawdopodobnie nadal jest opieczętowane. Wywie się przy okazji wszystkiego na temat Tadeusza. Poza tym obiecał sobie przejrzeć dokładniej papiery przyjaciela. Może jeszcze na coś trafi. Tylko czy Dydowski da zgodę? Tego nie był już pewien. Ich wzajemne, pozornie przyjazne stosunki, uległy ochłodzeniu. Wiadomo, Murzyn zrobił swoje...

Po dłuższym wahaniu przemógł się i zadzwonił. Dydowski, usłyszawszy głos dziennikarza, nie ukrywał irytacji:

– Czy pan wreszcie przestanie się bawić w komisarza Maigreta?! Co znaczyło to pokazywanie zdjęć? I dlaczego zataił pan sprawę biletów dla Ignaciaków?!

– Chwileczkę. Nie jestem etatowym pracownikiem milicji i nie sądzę, żebym miał obowiązek latać do was z każdym słowem. Czyżbym tym razem wszedł wam w drogę?

– Żeby pan wiedział. Nie musi nas pan wyręczać w czynnościach. Nie jesteśmy takimi idiotami, za jakich pan nas niewątpliwie uważa. A to śledztwo w Kazimierzu? Nie raczył pan nawet bąknąć o rozmowie z uroczą panią Basią. Dobrze, że zgłosiła się sama i dała alibi Boczkowskiemu.

– Bo ją do tego nakłoniłem! – Warknął wściekle. – Nie pan, ani pana może nie idioci, jak niedorobieni pomagierzy – tylko ja! Ja znalazłem świadka, bo wpadłem na pomysł, żeby głębiej tam poszperać!

– Spokojnie, redaktorze – Dydowski wyraźnie złagodniał. – Przyznaję, to był dobry kierunek. Nie jesteśmy jednak nieomylni. Mimo to alibi Boczkowskiego z niedzieli nie na wiele mu się zda. Został poniedziałek.

– A motyw?! Zabił ich, bo ich znał?! Znało ich parę setek ludzi! Każdego pan posadzi?!

– Rozumiem pańskie zdenerwowanie – podjął ugodowo Dydowski.

– Zdenerwowanie?! Jestem wkurwiony!

– Na to już nic nie zaradzę – powiedział kapitan. I dodał lekko, jakby przed chwilą nie padło żadne twarde słowo: – ciekawe, na kogo pan stawia?

– Nieważne. Przecież macie już mordercę – Skubalik zaśmiał się złośliwie.

– Wie pan co – ciągnął spokojnie Dydowski. – Zazdroszczę Boczkowskiemu. Takiego ma obrońcę, że kto wie, czy ten nie nakryje kilku morderców naraz, byle tylko szanowna milicja odczepiła się od przyjaciela. Sądzi pan, że te zabiegi coś zmienią?

– Zmienią, kiedy przywlokę wam prawdziwego zabójcę. Wtedy pan kapitan będzie musiał Tadeka przeproszać. Tadek i mnie.

– Boczkowski, mówię to, jeśli pan nie wie, jest znacznie rozsądniejszy od pana. Muszę kończyć.

– No to zobaczymy, czyje będzie na wierzchu – warknął Skubalik do głuchej już

słuchawki. – Jeszcze kapitanek zatańczy, jak ja mu zagram.

Jasna cholera! Nie zdążył napomknąć o wizycie na Niegłóskiej. Co tam, jeśli trzeba, zerwie pieczęcie i wlezie do środka bez zgody tego aroganckiego typu.

*

Tkwiał bez ruchu nad pustą kartką papieru, nie dostrzegając uważnych spojrzeń Danki. Nagle zerwał się z za biurka, mruknął, że niedługo wróci, wybiegł z pokoju i minawszy spieszenie zatłoczone korytarze, znalazł się na ulicy. Zrobił to pod wpływem impulsu, bez określonego celu. Wnerwiało go ożywienie, jak zwykle o tej porze, ruch w redakcji. Do działu łączności z czytelnikami i porad, gdzie królował chudy jak szczapa prawnik, Grzegorz Data, co chwilę przychodził nowy interesant. Czasem mylili drzwi i ładowali się do nich, już od progu składając swoje, żałosliwe przeważnie, skargi. Danką grzecznie wyprowadzała ich z błędu – i tak w kółko. Bywało, że trafiali tu nawet klienci urzędującego piętro niżej zespołu adwokackiego lub sąsiadujących z nim biur spółdzielni mieszkaniowej.

Skręcił w Marszałkowską, przeciął Świętokrzyską i ruszył w stronę Ogrodu Saskiego. Przez chwilę wahał się, czy nie skoczyć na Starówkę. Podobno Zamek Królewski jest już przepięknie urządzony. Nie był przy Kolumnie Zygmunta od miesięcy; musiało się tam dziać sporo nowego. Jednak zmienił zamiar. Pójdzie tam innym razem, teraz czuje się zbyt zmęczony.

Wszedł w główną aleję. Przez kilka minut szukał względnie bezludnego miejsca, wreszcie znalazł ustronną ławkę, skrytą za krzewami przekwitłego bzu. Odetchnął z ulgą. Chciał choć na chwilę zapomnieć o dręczących go sprawach. Soczysta zieleń kołła nerwy. Rozmarzył się. Przed oczami stanęła uśmiechnięta twarz Hanki; ostatnio myślał o niej coraz częściej. Na obraz ten nasunęły się wakacyjne sceny znad suwalskich jezior. Wiele by dał, ażeby znaleźć się właśnie tam. Pobuszować po zakątkach Wigier starą łajbą Daniuka, gospodarza z Tartaku. Popłynąć tajemniczą, pełną wodnych kwiatów, trzciny i roju owadów odnogą Czarnej Hańczy. Zasiąść na małej plaży w Cimochowiźnie, odwiedzić urokliwy Kamień, wysepkę na środku jeziora. Posłuchać skwierczenia smażonej w ognisku kiełbasy, krzyków wodnego ptactwa i śmiechu przyjaciół. Ale to bezpowrotna przeszłość. Właśnie taką uczynił ją ktoś, kto kryje się w mroku. Kto dwa razy zabił. Kto nie ma litości.

Już od trzech tygodni biega za cieniem, podejrzewa wszystkich i nikogo, przygląda się twarzom znajomym i obcym. Który z nich? A może którzy? Kim był. Byli? I dlaczego tamtych dwoje?

– O, widzę że ktoś się tu chowa po krzakach – usłyszał. Na ścieżce wiodącej od głównej alei stała Kaśka Hojna. Wiotka i smukła, teraz – na tle parkowych drzew i kwiatów – wydała się Skubalikowi jeszcze piękniejsza.

– A co ty tu robisz? – Mimo odruchowego zachwyty urodą dziewczyny, nie odczuwał radości ze spotkania. Był zły, że zakłóciła mu tę chwilę spokoju.

– Zwyczajny przypadek. Wysiadło mi auto, ruszyłam więc przez nasz rozległy gród piechotką. A że przygrzewa, zrobiłam skrót między drzewami, przez Saski. Idę, patrzę

i kogo widzę – redaktor Skubalik. W osobie niby własnej, choć zdaje się, że wyraźnie rozdzielonej na dwie. Jedna siedzi sobie w gąszczu i marzy o niebieskich migdałach, druga... hm, zaraz idzie ze mną na coś mokrego do tej tu kawiarni – nie przestając trajkotać, wskazała kępę drzew, za którą kryła się mała parkowa kafejka.

Podniósł się niechętnie. Mus, to mus. Sam miał zresztą ochotę na łyk czegoś zimnego. Może i dobrze, że napatoczyła się przyjaciółka Hanki. Podpyta ją o to i owo.

Niestety, nie było to takie proste. Kaśka nie dopuszczała go do głosu, paplając o wszystkim i niczym. Gadatliwa baba, gorzej Tatarzyna – pomyślał, szukając sensownej wymówki, byle jak najprędzej wyrwać się z jej towarzystwa. Jednak wymówka nie była potrzebna. Dziewczyna nagle ucichła. Przez chwilę siedzieli w milczeniu. W końcu podniosła się z krzeselka, mówiąc przepaszająco:

– Dobrze mi tu, ale muszę gonić. Mam skończyć tekst, a potem jeszcze pomóc bratu w jakiejś durnej robótce. Klei jak oszalały modele dziwacznych maszyn. Jak tam Hanka? W porządku?

– Nie wiem – wzruszył ramionami. – Ty ją lepiej znasz. To twoja przyjaciółka. Podobno wieczysta.

Popatrzyła spod oka, jakby namyślając się nad właściwą odpowiedzią.

– Wieczysta, to przesada. Kiedyś może. Ale w ostatnich latach... – machnęła ręką. – Cóż, ludzie się zmieniają. By rzec i nie skłamać: jesteśmy po prostu tylko znajomymi z dawnych lat. I tyle. Mnie to wystarcza, silniejszych związków nie łaknę.

– Coś nie tak? Jakaś kłótnia o faceta? – Zaryzykował.

– Nie o faceta. Na pewno nie. Mamy inny gust. Chodzi o... imponderabilia. No dobra, wystarczy plotek. Gonię. Hej, trzym się – pomachała ręką i nim się obejrzał, zniknęła w parkowej alejce.

*

Wjechał windą na redakcyjne piętro. W korytarzu kłębił się tłumek rozgadanych kolegów.

– Gdzieś ty się łajzo szwendał?! – Wrzasnął Pocieszko. – Skaranie boskie z tym Skubalikiem.

– Co się stało? – Zaskoczyło go wzburzenie spokojnego zazwyczaj kolegi.

– Co?! A to, że Danke zabrali do szpitala! Ledwo żyje. Zdążyła powiedzieć, co i jak, a potem wymamrotała, żebyś broń cię Boże nie pił herbaty.

– Nic nie kapuję. Jakiej herbaty? O czym ty do cholery pieprzysz?

– Nic nie pieprzę. Poszedłeś sobie na swoje łajzy, a ona postanowiła zaparzyć świeżej herbatki. Znasz ją, ciągle to chleje. Ty zresztą nie lepszy. Po kilku łykach skreśliła ją na pół. Wyczołgała się na korytarz i dawaj wyć. Wyła, jakby ją diabli na różnie przypiekali. Wreszcie wywyła, że to po herbacie i jeszcze, no, o tym nie piciu jej przez ciebie. Szef wsadził ją do samochodu, sam z nią wsiadł, i Rysio na sygnale powiózł ich do szpitala. Przed chwilą wrócili. Wygląda, że się otruła – zaryzykował podejrzenie Wicio, zerkając niepewnie na kolegę. Pocieszko lubił fantazjować. Wiedział też, co o tym fantazjowaniu myślał koledzy. Lecz rzucone ot, tak sobie

zdanie wzbudziło w Skubalika silny niepokój.

– Mówisz, że się otruła? Myślisz, że herbatą? A gdzie ta herbata?

– Bo ja wiem? Chyba stoi u niej na biurku.

Rzucił się pędem do pokoju. Filiżanka Ciskównej napełniona w połowie ciemno złotawym płynem, stała na skraju biurka. Schylił się, powąchał, umoczył palec, oblizał. Napój miał normalny smak. Chwilę stał bez ruchu zastanawiając się, co dalej. W końcu zdecydowanym ruchem sięgnął po telefon i nakręcił numer kapitana.

Dydowski był na szczęście u siebie. Tym razem Zbyszek nie bawił się w grzecznościowe formułki. Szybko i skrótowo przedstawił fakty, napomykając o podejrzeniu Wicia. Kapitan potraktował je z całą powagą. Prosił, by Skubalik nie wpuszczał do pomieszczenia nikogo, i to pod żadnym pretekstem.

– Zaraz tam będę. Niech pan niczego nie dotyka.

Zjawił po kwadransie. Towarzyszyli mu dwaj funkcjonariusze. Przelali herbatę do pojemnika, zapakowali i zabrali filiżankę, czajnik elektryczny, paczkę z herbatą, cukiernicę, cukier w torebce, a nawet przekrojoną na pół cytrynę.

ROZDZIAŁ 10

A jednak trucizna

Skubalik kręcił się niespokojnie. Siadał przy biurku, gapił w kartkę wkręconą do maszyny, wstawał, chodził po pokoju, znów siadał. Po godzinie nie wytrzymał. Zadzwoił.

– A, to pan – głos kapitana Dydowskiego nie brzmiał zbyt entuzjastycznie. – Właściwie dobrze, że się pan odezwał, bo mam takie małe pytanko. Czy lubi pan mocną herbatę i jak ją pan wypija?

– Tylko mocną. Jak? Normalnie. Przechyłam i już.

– Przechyła pan szklanke lub filiżankę i wypija małymi łykami czy wszystko od razu, za jednym zamachem?

– Czekam aż przestygnie i wlewam w siebie wszystko od razu, albo najwyżej na dwie raty. A co, śledzi pan najelegantsze sposoby spożywania herbaty? Nowe zadanie służbowe? – Dziennikarz zaśmiał się ironicznie.

– Powiedzmy, że tak. Czy o tych pańskich herbacianych obyczajach otoczenie wie? Dodam, że to pytanie z gatunku poważnych.

– Wszyscy wiedzą. Koledzy nawet robią sobie z tego jaja. Kiedy gdzieś się zawieruszę, radzą naparzyć herbaty, postawić ją w otwartym oknie – a ja na pewno zaraz przylecę, bo zwabi mnie sam zapach. Oczywiście, to gruba przesada. Może i jestem taki dziwny dziwak, ale nie wariat.

– Tak? – Mruknął zdawkowo kapitan.

– Tak – Skubalik nie dał się zbić z tropu. – Ja, szanowny panie kapitanie, z zamkniętymi oczami trafiłbym najwyżej z krzesła na tapczan – i to we własnym domu. A pan? Jak się panu chodzi z zamkniętymi oczami? Mam na myśli to śledztwo.

– Dziękuję, nieźle. Tyle że ja z zamkniętymi trafiam lepiej, niż pan z szeroko otwartymi, a nawet wytrzeszczonymi. Cóż, dziękuję za informację. Żegnam.

W słuchawce zabuczało. Dopiero teraz uświadomił sobie, że nie zapytał, co się wtedy stało, tu, w redakcyjnym pokoju i czy potwierdzono obecność w herbacie trucizny. A niech tam... Nie będzie skamlał, by jaśnie pan kapitan zdradził mu „tajemnicę śledztwa”. I tak się dowie. Przecież wie, w którym szpitalu leży Ciskówna.

*

Zamiar odwiedzenia Danki powiódł się dopiero następnego dnia. Skubalik kupił bukiet kwiatów, bombonierkę wiśni w czekoladzie i ruszył tramwajem na Mokotów.

Szpital, otoczony gęstym starym parkiem, przegrodzony od ulicy lekko już nadgryzionym przez czas betonowym murem, nie wywarł na nim korzystnego wrażenia. Może powodował to fakt, iż wiedział, co kryje ten przysadzisty budynek,

więc mimowolnie dopisał mu cechy nieistniejące: ponurość, szarość, więzienną atmosferę. Minał zastawiony autami podjazd, wszedł do przestronnego holu. Przestudiował tablicę informacyjną i ruszył na pierwsze piętro, na oddział wewnętrzny. Po korytarzu kręciło się sporo osób. Nie wyglądali ani na chorych ani na personel. Dopiero po chwili zauważył tabliczkę z dniami i godzinami odwiedzin. To akurat dziś i akurat teraz. Stąd ten tłumek.

Danka leżała nieruchomo na białym, metalowym łóżku. Od pierwszego spojrzenia widać było, że nie czuje się dobrze. Ciemne kręgi pod oczami, szara, jakby zmięta twarz. Zobaczywszy Zbyszka, skrzywiła się lekko, chociaż w oczach rozbłysły znane mu chochliki.

– Cześć szeryfie. Fajnie, żeś się przywłókł. A to co? Kwiatki? O, i wisienki. Kocham wiśnie w czekoladzie.

– Przecież wiem. Tylko nie pożryj z mety wszystkich, bo cię zemdli.

– Spoko czacha. Nie jestem taka znowu wrywna. A co ty tak o mnie dbasz? Napływ uczuć?

– Hm... – zmieszał się, ale szybko odzyskał rezon. – Jakby ci tu powiedzieć? Przecież ty za mnie... Sama wiesz. Trutkę pożarłaś. Tak się domyślam.

– O, dostrzegłeś wreszcie moje poświęcenie. Zbysiuniu, będą z ciebie ludzie, tylko jeszcze...

– Jak się czujesz? – Przerwał jej w pół zdania. Nie miał cierpliwości do ciągnięcia tej gadki o niczym.

– Jak widzisz. Nie zesłam, więc żyję. Zaserwowali mi tonę zastrzyków, przepuścili przeze mnie dziesięć wiader wody. Żołądek mam wymyty jak nigdy. Wyjdę za kilka dni. A co? Myślałeś, że się pozbędziesz bałaganiary na zawsze? Czy w tym celu trzeba było aż mnie truć?

– Jednak trucizna...

– Ani chybi jakowaś brzydka toksyna. Z serialu pod tytułem „pytania kapitana Dydowskiego” wyniuchałam, co w trawie piszczy. Męczył mnie od wczoraj. A piszczy trucizna. Domyślam się, i nasz uroczy milicjancik pewnikiem też, że ta naszprycowana herbatka miała być przeznaczona dla waćpana, panie Skubalik. Kapitan mocno mnie naciągał na różne zwierzenia, nawet zaproszenie na lody obiecywał, ale ja nie jestem taka znowu głupia, jak się tu niektórym wydaje.

– Wcale tak nie myślę – zaprzeczył słabo.

– Powiedzmy, że ci wierzę. Mówiąc poważnie, chlipnęłam dwa małe łyki i odstawiłam. Bo ja popijam, nie żłopię jak wielbłąd. To mnie uratowało. Ty byś ten puchar trutki udającej herbatę wychylił do dna. I byłoby po Skubaliku – zamilkła, zmęczona długą przemową. Patrzył na nią bez słowa. Do licha, przecież ona mówi prawdę. Zabójca idzie więc na całość; mógł przecież przypuścić, że zatrutej herbaty może się napić osoba zupełnie przypadkowa. Szaleniec? Człowiek bez krzty sumienia?

– Chciałeś o coś zapytać – przypomniała Ciskówna.

– Dana, opowiedz mi ze szczegółami, co robiłaś po moim wyjściu z redakcji?

– Dobrze. Wpierw byłam wściekle wściekła, bo warczałeś na mnie, jakbym ci ukradła obiecaną nagrodę Nobla. Żeby się nieco otrząsnąć, polazłam, tak jak ty, przejść się po mieście. A że zaszałam w okolice takiego jednego sklepu z ciuchami, weszłam i zaczęłam grzebać w szmatach. Nie było mnie chyba z godzinę, może trochę więcej. Wróciłam i zaraz zaparzyłam sobie tej durnej herbaty. Resztę już wiesz. Dobrze, że mam mocny głos. Tak wrzeszczałam, że natychmiast dotachali mnie do szpitala. Dzięki temu żyję. Przynajmniej raz mój baryton na coś się zdał.

– Nie przesadzaj, masz bardzo miły głos. Nie było cię więc w pokoju w tym samym czasie, co mnie. Wtedy ten ktoś wlaź i zatrzał, co zatrzał. Czyli musiał bez przerwy mieć oko na nasz pokój. Cholera jasna, wszystko przez ten dział porad i tę piekielną adwokacką zagrodę. Trudno zliczyć, kto się włóczy po korytarzu. Ciągłe nowe gęby. Ruch był jak na lotnisku.

– Fakt, można czasem dostać świra.

– Muszę popytać. Może kto z redakcji coś zauważył. Wszyscy przecież wiedzą, co się z tobą stało.

– Wiedzą, że mnie otruto? Skąd? – Zdziwiła się.

– Wiedzą, że nagle cię dopadło jakieś choróbko. Są przekonani, że to pewnie atak wyrostka. Bo nie wszyscy słyszeli, co mówiłaś do Wicia o tym niepicciu przeze mnie herbaty. Zresztą nawet jeśli słyszeli, myśleli, że bredzisz w malignie. Trochę ich wprawdzie dziwiła niespodziewana wizyta milicji, jednak przeszukano pokój przy zamkniętych drzwiach, więc nasi koledzy sądzą, że i tym razem szło o pilny kontakt ze mną. Tylko Wicio domyśla się, co i jak.

– Czyli nic nie wiedzą. Myślę, że tego, co my wiemy, także nie musimy rozgadywać. Nie sądzę, żeby komuś przyszedł do głowy związek między moim atakiem a wędrówkami obcych po naszych korytarzach, ale popytać nie zawadzi.

– Myślisz, że ten nasz kapitanek sam już nie węszy za świadkami?

– Nie rozumiem, dlaczego się go czepiasz.

– O, już ci wpadł w oko. No to bierz się Dana za niego. Masz szansę zostać panią kapitanową. Pozostaje żywić nadzieję, że facet jest wolny.

– Wpadł, nie wpadł. O moje uczucia i stan cywilny to ty się nie troszcz. Obejdzie się. On przynajmniej nie jest taki głupi i zarozumiały. Poza tym ma do dyspozycji cały, jak to mówią, aparat. A ty? Ciągłe wykonujesz jakieś dziwne nieskoordynowane ruchy, chcesz coś znaleźć, zaczynasz, nie kończysz, zaczynasz nowe. Kompletny brak logiki. Przez to głupio się narażasz.

Patrzcie, kto by pomyślał. Jakie ona ma doskonałe rozeznanie! A wydaje się, że siedzi tylko w tych swoich notatkach, dziobie kolejne artykuły, niewiele widzi i w ogóle stwarza wrażenie nieobecnej.

– Głupio się narażasz – powtórzyła.

– Takie tam gadanie. Nie przesadzaj. Na co się narażam? Komu?

– Nie umiesz udawać. Ja ciebie dobrze znam. I za nic nie chcę cię stracić. Tak, tak – potwierdziła, widząc jego zdziwioną minę. – W końcu i do złego człowiek się przyzwyczai. Nie zniosę kolejnego znajomego pogrzebu. To chyba jasne. Potem byś

mnie straszyl po nocach w charakterze zjawy i wył starą śpiewkę: *Kiedy, przeklęta, posprzątasz te papierzyska?! Brr!* – Wzdrygnęła się. – Lata Skubalik, dzwoni łańcuchem i pokrzykuje na biedną Danusię. Co do tych gazet, to na łożu śmierci mogą ci wreszcie wyznać, że składam je tobie na złość. Tylko dzięki temu zauważasz, że prócz was dwóch: ciebie i twego męskiego zarozumiałego ego przy biurku naprzeciw siedzi taka jedna.

– Ho, ho, widzę, że będziesz żyć. Język wrócił ci na swoje miejsce. Chyba, że umrzesz z przegadania.

– Może i umrę. Szkoda niewielka. I tak nie ma po mnie kto płakać, może z wyjątkiem staruszki, z którą mieszkam, bo nie będzie jej kto miał biegać na zakupy i podlewać kwiatów.

– Może by się ktoś znalazł – mruknął pocieszająco. Przed oczami stanęła mu niedawna scena, kiedy wpadła do pokoju i radośnie podrygując, prezentowała nową fryzurę i nowe ciuchy. Na ten niewątpliwie wdzięczny obraz nasunął się inny – opalone na złoto zgrabne nogi Hanki.

*

Wyszła ze szpitala po trzech dniach. Jeszcze nieco słaba przywlokła się po południu do redakcji. Trafiała na doskonały moment. Zbyszek wisiał przy telefonie i wykrzykiwał.

– Widzisz! Sam widzisz! Ekstra! Nareszcie!

Zobaczywszy wchodzącą, rzucił: – właśnie wróciła! Żywa i zdrowa! Stoi tu obok. Dobrze. To do zobaczenia.

Podbiegł do Danki, uściskał ją mocno, potem usadowił troskliwie na krześle, zapytał, jak się czuje, i nie czekając na odpowiedź, podzielił się nowiną.

– Danuś, kochana dziewczyno, dzięki tobie wypuścili Tadek. Właśnie dzwonił. Na szczęście, kiedy cię truto, siedział pod kluczem.

– Świetnie! – Ucieszyła się, ale zaraz dodała na tym samym oddechu: – jak myślisz, ożeni się ze mną?

– Kto?

– Jak to kto? Tadek.

– Tadek? – Zgłupiał. – To wy...

– Cha, cha. Mam obawy, że będzie mnie chciał poślubić z wdzięczności.

– A co, źle by zrobił? – Podchwycił jej ton.

– Źle. Ty jesteś przystojniejszy. Zdecydowanie wolę ciebie.

– Chętnie spełnię każde twoje życzenie. Nie wiesz, jak ci jestem wdzięczny, że dałaś się otruć.

– Tylko szkoda, że nie do końca, prawda? Chyba teraz coś za moją ofiarność dostanę.

– Wszystko, królowo. Litr koniaku, wielki tort...

– Tak mało?

- Dobra. Dwa litry koniaku.
- Myślałam, że mi coś przyrzekniesz.
- Mów śmiało, zniosę najgorsze.
- Nie będziesz więcej wrzeszczał o te gazety? – Wskazała zalegające po kątach stosy kolorowych pism.
- Nie będę! Przysięgam! Na mój własny łeb! – Walnął się w piersi.
- Niewiele on wart, ale niech ci będzie.
- Dogódź tu kobiecie – westchnął. – Teraz lecimy powitać naszego niewinnego. Co tak patrzysz? Tadka. Siedzi w chacie i szykuje dla nas wystawne przyjęcie.
- Mnie też zaprosił? Mnie? Taką otrutą?
- Ciebie przede wszystkim – zełgał na poczekaniu.

*

Wtulona w fotel nieruchoma postać nagle poruszyła się i zaczęła monotonicznie pomrukiwać.

– Wie... On wie... Co robić? Ale ja mam większy rozum. Większy! Muszę to skończyć! Muszę!

Podłoga przy drzwiach zaskrzypiała ostrzegawczo. Sucho zgrzytnęła klamka. Przez wąską szczelinę wsunęła się głowa, oczy omiotły zaciemniony pokój, a usta wymówiły twardo: – uspokój się w tej chwili!

ROZDZIAŁ 11

Strzały w ciemności

Od śmierci Zwardonia i Kalickiej minął prawie miesiąc. Mimo to sprawa nadal spędzała kapitanowi sen z powiek. Wpadka z Boczkowskim – fakt, chciał się wykazać przed „górami” i za bardzo się pospieszył – napsuła mu krwi, był jednak zadowolony, że wszystko potoczyło się tak, a nie inaczej. Mylny trop zawsze oddala od prawdy. Ale im szybciej wychwyci się błąd, tym lepiej dla śledztwa. Wprawdzie wyrastający wszędzie, gdzie go nie posiano, detektyw-amator, momentami doprowadzał Dydowskiego do szału, jednak musiał przyznać, że Skubalik ma wyjątkowe szczęście i nie brak mu wytrwałości. To przecież on znalazł nowego ważnego świadka, recepcjonistkę z Kazimierza.

Nie mógł formalnie zabronić dziennikarzowi pętania się po sprawie; musiał więc znaleźć sojuszników, którzy nieco by to jego prywatne śledztwo stonowali. Napomknął o tym Gruszce, naczelnemu „Wiadomości Dnia”, którego poznał parę lat temu przy jakiejś na pół służbowej okazji. Nie chodziło o to, że reporter milicji przeszkadza. Po prostu Dydowski siódmym zmysłem wyczuwał, że tym razem gra jest niebezpieczna. Niestety, Gruszka też niewiele mógł wskórać. Skubalik był bardzo uparty. Jedynym rozsądnym wyjściem wydało się wrzucenie mu na barki tylu obowiązków, by nie starczyło czasu na zabawę w detektywa.

Zbyszek nic nie wiedział o rozmowie szefa gazety z kapitanem. Wprawdzie dziwiła go przesadna ilość pilnych tematów do zrobienia, zleczanych mu przez naczelnego, lecz wykonywał wszystko bez szemrania. Do połowy dnia stukał w klawiaturę, oddawał teksty na umówiony termin. Ale potem wracał do tematu ważniejszego od innych: tropienia śladów. Tropienie jako takie nie było mu, z racji zawodu, obce. Jednak, choć minęło już tyle dni, owoce poszukiwań okazały się nader skąpe, jeśli nie liczyć domniemyanych zamachów na jego życie. O tym, czy to rzeczywiście zamachy, nie był do końca przekonany. Mogły przecież stanowić wyjątkowo złośliwy zbieg okoliczności. Pewność tę zachwiał mocno przypadek Danki. Na całe szczęście skończyło się dobrze.

Już kilka dni po powrocie ze szpitala była jak zwykle pełna wigoru. Każdemu, kto ją zaczepił, pytając o powody ataku i o samopoczucie, odpowiadała: – zżarłam jakieś świństwo. Ale od czasu do czasu małe płukanie żołądeczka nie zaszkodzi. Potem wszystko jest okej.

Zbyszek nie podzielał jej znakomitego humoru. Był zły, że dotychczasowe pomysły nie wypaliły. Najgorzej z fotografiami. Kompletna klapa. Godzinami wpatrywał się w sporządzoną przez siebie listę wniosków i pytań, do których dołączyć musiał jeszcze jedno: kto i z jakiego powodu poluje właśnie na niego? W głowie miał absolutną pustkę. Została mu jeszcze wizyta na Niegłośnej, co odkładał

w nieskończoność.

Jasnym punktem były spotkania z Hanką. Ale i tu nie szło tak, jakby sobie życzył. Niby go pociągała, z drugiej strony czuł niejasny opór przed pogłębianiem znajomości. Składał to na karb niepokojów związanych ze śledztwem. Nie rozmawiali początkowo o sprawie, jednak po jakimś czasie od słowa do słowa – i opowiedział jej o najważniejszych wydarzeniach, chociaż swoje dalsze plany przemilczał. Klął przy tym na nieznanego mordercę, co doprowadzało Hankę do śmiechu.

– Myślisz, że przestraszy się twoich przekleństw? On już na pewno wie, jakie gromy rzucasz. Swoją drogą to cierpliwy facet. Poluje na ciebie i poluje. Podziwu godna wytrwałość. Musi być sprytny i inteligentny, bo jeśli potrafi przechytryć nawet takiego kogoś, jak ty, łeb ma nie od parady. Łeb lepszy od twojego.

– Skąd pewność, że to facet a nie na przykład dwóch facetów lub kobieta?

– Sądzisz, że kobieta byłaby zdolna do czegoś takiego? I tak przebiegła?

Przyznawał jej rację, ale w głębi ducha tej pewności nie podzielał.

*

Rozpoczynający się tydzień powitał Skubalik nową, i jak mu się wydawało, słuszną decyzją. Od zabicia przyjaciół wkrótce minie miesiąc, a sprawy jak stały, tak stoją. Pora z tym skończyć! Plan był prosty. Skłonić mordercę do kolejnego posunięcia, wywabić go z mroku, stanąć twarzą w twarz i... zdemaskować! Że był to plan dziecinny, nie rokujący nadziei, tego detektyw-amator nie brał pod uwagę. Wydawało mu się, że wszystko zależy od szybkości i ostrości działań. On zaś działać zamierza! Nieodwołalnie!

Do środy ukończył spieszenie terminowe artykuły i zaczął przygotowywać grunt pod swój nowy pomysł. Popędził do redakcji, już od progu uskarżając się na totalne zmęczenie. Wpierw pojechał w pokoju sekretarza, potem u maszynistek, czym wywołał wyraźne współczucie, szczególnie Marii Górnej. Wreszcie wszedł do gabinetu naczelnego. Gruszka nie zastanawiał się długo, ciesząc się w duchu, że przy okazji spełni prośbę Dydowskiego.

– Dziś środa. Daję ci wolne na czwartek i piątek. Do tego sobota z niedzielą. Skocz pod miasto, wypocznij, zregeneruj nerwy. Wiem, że teraz na dłuższy urlop się nie zgodzisz, toteż nie proponuję byś go przyspieszał. To, co powiedziałem, traktuj jak polecenie służbowe. Odmaszerować i wykonać!

Tylko na to czekał. Jednak o propozycji szefa nie myślał w kategoriach wypoczynkowych. Nie po to się skarżył, prowokował. Liczył, że morderca pociągnie za nim i – jeśli to ktoś znajomy – o wiele łatwiej da się go zauważyć w mniejszym, obcym środowisku.

Kolejne godziny spędził na rozgłaszaniu wśród kolegów o swoim wypadzie do ośrodka wypoczynkowego w Zalesiu Górnym, tam bowiem miał zamiar się udać. Zaszedł nawet do „Echa”, gdzie niby mimochodem zapoznał kilka osób ze swym planem wyjazdu.

Późnym popołudniem zadzwonił do Hanki. Nie chcąc słuchać kolejnych próśb

i ostrzeżeń przed wikłaniem się w śledztwo, powiadomił ją, że jedzie do Zalesia. Wszystko zważył na szefa, który rzekomo zapragnął nagle barwnego opisu podmiejskich wakacji warszawskich mieszczuchów. Przez moment miał ochotę zaproponować, by jechała razem z nim, ale w porę przypomniał sobie o celu wyprawy. Zamruczała pod nosem, niezbyt zadowolona z wiadomości.

– Sądziłam, że sobotę i niedzielę spędzimy razem. A tu masz, znów cię gdzieś goni.

*

Budził się piękny, słoneczny dzień. Wprawdzie na niebo wypełzła gromada strzępiastych chmur, lecz nim dotarł do końca trasy, nie było już po nich śladu. Lekki wietrzyk zapowiadał znakomitą pogodę. Wjechał na pustawę o tej porze drogę do Piaseczna. Odebrany wreszcie z warsztatu trabant, któremu generalny remont dodał skrzydeł, gnał jak wyścigówka. Toteż wkrótce Skubalik zobaczył pierwsze domy Zalesia Górnego. Skręcił na parking przed ośrodkiem, zamknął starannie wóz i szeroką widną aleją pomaszerował do recepcji.

Miejsce załatwione, dzięki starej znajomości zawodowej – bo w szczycie sezonu szpilki by tu nie wetknął – okazało się przyjemnie urządzone pokojem w domku fińskim, noszącym numer „5”. Pomyślał, że to jego szczęśliwa liczba.

Rozłożył w szafie rzeczy, usiadł na łóżku. Przez uchylone okno dolatywał świergot ptaków, szumiąły drzewa, powietrze napełniał aromat świerków i z lekka duszący zapach skoszonej trawy. Poczłował ogromną senność.

Obudziła go krzykliwa rozmowa. Męski bas przekonywał dziewczęcy sopran, że najlepiej będzie, jeśli przejadą się łódką po jezioru. Sopran wołał spacer po lesie.

Zerknął na zegarek. Niemożliwe! Przespał cztery równe godziny! Co to znaczy solidna dawka tlenu. Niechętnie zwał się z tapczanu, obmył twarz, zmienił koszulę, zamknął okno, drzwi i pomaszerował w stronę jeziora.

Brzeg oblepiały dziesiątki ciał. Jedne raziły wzrok bladą, nieopaloną skórą, inne zdążyły dobrze zbrązowieć. Po wodzie sunęły małe łódki, między leżącymi wędrował chudy patykowaty łodziarz, oferujący głośno śmietankowe, malinowe, czekoladowe. Przeważali starsi i rodzice z dziećmi, toteż handel kwitł w najlepszą.

Krażył między obnażonymi ciałami, niczym przybysz z obcej planety. Człował się trochę głupawo. Po jaką cholere założył spodnie i koszulę? Po chwili wahania wrócił do domku, zmienił ubiór na krótkie spodnie i sportowy podkoszulek, zmierzył krytycznie swoje odbicie w łazienkowym lustrze i głęboko westchnął. Był paskudnie biały.

Zamknął drzwi i poczłował bez pospiechu ku głównej alei, rozglądając się leniwie. Coś takiego! A ona tu skąd? Skoczył błyskawicznie za pobliski kiosk i ostrożnie wyjrzał. Aleją szła Ciskówna. Na ramieniu jej dyndała, podrygując w rytm kroków, niebieska plażowa torba. Po raz pierwszy zobaczył Danke bez codziennego ubrania. Hm, kto by pomyślał... Błękitny opalacz uwypuklał zgrabne długie nogi i zbudowaną proporcjonalnie resztę. Jest na czym oko zawiesić – przyznał nie bez satysfakcji,

jakby wygląd koleżanki był też jego zasługą.

Mijała właśnie kiosk. Nagle skręciła do okienka. Ledwie zdążył uskoczyć. Usłyszał, jak wypytuje o „Wiadomości Dnia i „Echo”.

– Nie ma. Przychodzić trzeba rano, bo teraz, w sezonie, wszystko idzie. Ludzi więcej a nadział prasy taki sam przez okrągły rok. I to ma być handel? – Utyskiwała kioskarka. – Mogę założyć pani teczkę – powiedziała znacząco.

– O, wspaniale. Jeśli można, bardzo proszę. Wprawdzie będę tu tylko przez kilka dni, może tydzień, ale chcę koniecznie mieć te gazety. I dziękuję za grzeczność.

Kątem oka dostrzegł rękę kioskarki, sięgającą po dyskretnie podany banknot. Zapytała słodziutko, głosem za co najmniej 50 złotych: – godność miłej pani?

– Danuta Cisek.

– Dobrze, pani Danuto, proszę przychodzić od jutra po gazetki o jakiej godzinie pasuje. Życzę przyjemnego opalania.

– Dziękuję.

Nigdy bym na to nie wpadł – pomyślał lekko zszokowany – że Danką umie tak gładko załatwiać podobne sprawy.

Wynurzyła się zza kiosku i ruszyła energicznie w stronę jeziora. Pomykał za nią, kryjąc się za drzewami. Nad wodą było już luźniej. Pora obiadu. Większość wczasowiczów stała w długiej kolejce do baru. Inni oblegali pobliskie ławki, zerkając niecierpliwie na siedzących przy stolikach, którzy dotarli tu wcześniej.

Ciskówna okrążyła jezioro, skręciła na cypel, rozłożyła kraciasty koc i wystawiła ciało do słońca. Przykucnął za gęstą kępą krzewów. Z tej odległości widział wyraźnie wszystko. To ci dopiero zagwozdka. Nic nie mówiła, że planuje wczasy. Miała wprawdzie poszpitalne zwolnienie i mogła wędrować, gdzie chce, niekoniecznie wtajemniczając w to kolegę, ale że właśnie tutaj? Akurat jej nie mówił, że wybiera się do Zalesia. Kiedy rozpuszczał wszem i wobec wici o swym wyjeździe, Danki w redakcji nie było. Może to zwykły przypadek? A może nie. Przypomniał sobie Kaśkę Hojną, która – jak teraz Ciskówna – równie niespodziewanie wyłoniła się z parkowej alei. Coś za często zdarzają mu się takie przypadki.

E, nie. Nie Danką. Zachowuje się zbyt ostentacyjnie jak na kogoś, kto ma niecne zamiary. W pełnym słońcu, w jasny dzień maszeruje główną ulicą ośrodka, a przecież – jeśli to ona jest osobą, którą tropi – doskonale wie, że gdzieś tutaj, może nawet na tej plaży lub za pierwszym lepszym krzaczkiem tkwi również on – Zbyszek. Z drugiej strony, co ma robić? Czołgać się w trawie i przez lornetkę śledzić durnego Zbynia? Roześmiał się po cichu, wyobraziwszy sobie podobną scenę.

Nawet nie przypuszczał, że już niedługo podobny obraz wcale go nie rozśmieszy.

Załóżmy, że właśnie Danką jest sprawcą zabójstw. Jaki jednak miałyby powód? Ninę znała dość dobrze, Sławka także. Przez kilka lat pracowali przecież w tej samej redakcji. Nie byli jej obcy Ignaciakowie, prawdopodobnie zetknęła się też z Nowakowskimi. Lecz przez cały czas, w pamiętną niedzielę i w poniedziałek siedziała w Warszawie; tak przynajmniej mu powiedziała, a on nie wpadł na to, by sprawdzić prawdziwość jej słów.

Pewną odpowiedzią na wątpliwości może być sprawa domniemanego zamachu na jego życie przez spowodowanie wypadku. Tu problem rozwiązywał się poniekąd sam. Ciskówna stanowiła typowy przykład osoby, o jakiej się mawia: noga do techniki. Nie umiała prowadzić samochodu ani innego pojazdu; kto wie, czy umie chociażby jeździć na rowerze. Każde urządzenie nieco bardziej skomplikowane od motyki budziło w niej niemal nabożny lęk. Jak więc umiałyby uszkodzić hamulce? Dla laika raczej nieosiągalne.

Niewątpliwie jednak miała zdolności aktorskie; kiedyś nawet chwaliła się udanymi występami w amatorskim teatrze. Mogła więc, dzwoniąc do firmy Ignaciaka i na recepcję w Kazimierzu, nie tylko umiejętnie zmieniać głos. Bez trudu zmieniałaby również wygląd. Wystarczy peruka i doklejone wąsy. Hm, ale trucizna? Truła samą siebie? A dlaczego nie? Wypiła łyk herbaty; tyle, by lekko podrażnić organizm i mieć pewność, że nic się jej nie stanie, bo gdy zacznie głośno wrzeszczeć, koledzy natychmiast pospieszą na ratunek.

Jak wyleźć z tego galimatiasu, rozwiązać wątpliwości? Znał Dankę od kilku lat, nietrudno mu było określić główne cechy jej charakteru. Nie dostrzegał w niej nic, co sugerowałoby możliwość popełnienia przez nią morderstw. Wydawała się życzliwa ludziom, nawet przesadnie wobec nich łagodna. Zero mściwości, zazdrości, pamiętliwości. Ale przecież mogło to niewiele znaczyć. Czasem po latach potrafi wyjść na jaw, że ktoś jest zupełnie inny, niż ocenialiśmy, że pod maską dobroci ukrywa mroczne tajemnice.

Obserwując, jak spokojnie leży na kocu i wystawia twarz do słońca, złapał się na tym, że o jej ewentualnej winie myśli nader niechętnie. Przyzwyczyił się do innej Danki, tej zadziornej ale też optymistycznie przyglądającej się światu. Stało to w jaskrawej sprzeczności z ciężkim życiem dziewczyny.

Ciskówna była półsierotą. Ojciec ożenił się po raz drugi i właściwie wygonił dorastającą córkę z domu. Tułała się po internatach, akademikach, pokojach sublokatorskich. Wreszcie los zaprowadził ją do „Wiadomości Dnia”. Naczelnny, widząc tułaczkę młodej, dobrze zapowiadającej się dziennikarki, jakimś sobie tylko wiadomym sposobem załatwił jej mieszkanie w obszernym komunalnym lokalu, zajmowanym w całości przez starszą panią.

Właścicielka, nie mogąc udźwignąć ciężaru utrzymania obszernego lokum, rzekła się formalnie największego z trzech, trzydziestometrowego, na szczęście narożnego pokoju, oświetlanego aż trzema oknami. Drzwi na wspólny korytarz zostały zamurowane; wykuto nowe wejście na klatkę schodową. W otrzymanym tak samodzielnym mieszkanku postawiono ścianki działowe, uzyskując tym sposobem małą widną kuchnię, nieduży przedpokój i łazienkę.

Mimo to Ciskówna uważała starą panią Bielską za swoją gospodynię, która znosi lokatorkę z konieczności. Prawda była bardziej optymistyczna. Pani Bielska za Danką przepadała i choć głośno o tym nie mówiła, sąsiedztwo sympatycznej, czynnej dziewczyny niezmiernie ją cieszyło. Kiedyś, zupełnie przypadkowo, wyjawiała to Zbyszkowi, gdy ten zaoferował się pomóc koleżance w montażu regału na książki i zaszedł do Bielskiej, pytając o śrubokręt.

Wiedział o niej dużo – i nic. W pracy była świetnym kompanem. A co robiła po wyjściu z redakcji? Prawdopodobnie szła do swego gniazdka i siedziała tam samotnie, nie mając do kogo gęby otworzyć. Takie i podobne refleksje nachodziły Skubalika, kiedy leżąc za gęstymi krzakami, obserwował, co robi redakcyjna koleżanka. Nieświadoma podglądaczka, przeciągnęła się leniwie raz i drugi. Pomyślał, że wygląda teraz jak duży, łagodny kot, który nie ma zamiaru robić nic dziwnego, podejrzanego, zbrodniczego.

Wreszcie miał dość. Ścierpł, zeszywniał, zaczął odczuwać głód. Podniósł się, chyłkiem przemknął otwartą przestrzeń i ruszył w stronę baru. Kolejki już prawie nie było; na szczęście gromada wczasowiczów, która się tędy przetoczyła, nie zdążyła wymieść garnków do czysta. Dostał jeszcze michę grochówki i jakimś sposobem jadalne, nawet niezłe zrazy w pikantnym sosie. Od razu poczuł się lepiej. Kończył jedzenie szybko; nie chciał za długo krążyć po okolicy. Lawirując między zaroślami, wrócił do swego domku.

W niewietrzonym od kilku godzin pokoju wisiał gęsty zaduch. Otworzył okno, nalał wody do kubka, włożył grzałkę, a kiedy woda zakipiała, wsypał dwie czubate łyżeczki kawy. Nęcący aromat wypełnił powietrze. Wypije, otrząśnie się z senności, coś poczyta i zacznie CZEKAĆ. Był pewien, że zabójca pojawi się, jeśli nie tego wieczora, to na pewno jutro lub pojutrze. Sam mu zakreślił taki termin, rozprowadając na prawo i lewo, że będzie tu przez trzy kolejne dni, bo w niedzielę wieczorem wraca do miasta.

Lekturę przerwał dopiero o zmierzchu, gdy wczołgujący się przez okna mrok zaczął zamazywać litery. Poczul wściekły głód. Jedyne miejsce, gdzie mógł coś przegryźć, był znany mu już bar. Zamknął okno i szybkim krokiem ruszył w stronę głównej alei. Sala barowa świeciła pustkami. Tylko w kącie, przy stoliku z baterią opróżnionych szklanek, kiwał się starszawy jegomość, podśpiewując chrapliwie: – po wypiciu wódki, po wypiciu wódki nad Wilejką rosną niezabudki! Po wypiciu wódki, po wypiciu wódki, ptaszek bardzo jest malutki!

– Cicho panie Kaziu! Uszy puchną! – Wrzasnęła zza baru bufetowa.

– Beatko, jak cię kocham, daj jeszcze szklaneczkę.

– Dam ci, ale pałą po łbie. Idźże do domu, pijanico! – Machnęła ręką i odwróciła się do Skubalika: – Pan sobie życzy?

– Jeść... – zajęczał. – Dużo.

– Jajecznicę może być? Na słońce. Podwójna.

– Jak najbardziej. Chleb, masło, mocna herbata.

Po kilku minutach pałaszował żółtą, kiepsko wyglądającą, ale wbrew pozorom smakowitą breję. Kazał sobie zapakować dwa mielone, kilka kromek chleba, życzył bufetowej dobrej nocy i zanurzył się w ciemną alejkę.

Dochodziła dziesiąta. Mimo to ścieżkami spacerowały grupki wczasowiczów. Skręcił w boczną dróżkę, prowadzącą do domku numer 5. Był blisko wejścia, gdy tuż za plecami głośno zaszeleściły krzaki, czyjeś buty nadepnęły z impetem na wyschlą gałąź. Odwrócił się, chcąc zidentyfikować źródło dźwięków. Nagle usłyszał donośny

suchy trzask. Po nim drugi. W tej samej chwili, a może o pół sekundy wcześniej, potknął się gwałtownie o leżący w poprzek ścieżki konar. Przez moment leżał nieruchomo. Myśl, która przemknęła mu przez głowę, kazała przylgnąć do ziemi całym ciałem. Zatrzeszczały łamane gałęzie, ktoś biegł przez zarośla, tupiąc ciężko, hałaśliwie.

– Józek! Słyszałeś?! – Doleciało z okna sąsiedniej szóstki. – Strzelają! Lecimy zobaczyć!

Z otwartych drzwi buchnął snop światła. Zatańczył na ścieżce, liznął stopy leżącego.

– Boże! – Rozdarł się piskliwy kobiecy głos. – Kogoś zabili! Leży tam! Nie rusza się! Policja!!!

Nie, tylko nie to! Po cholere mu jacyś nowi świadkowie? Porwał się na nogi i runął w gęstwinę zarośli. Z tyłu dobiegło głośne westchnienie ulgi.

– Żyje. Jakieś wygłupy. Że też kary na drani nie ma!

Chciał lecieć, gonić, szukać, by wreszcie dokonało się to, na co tu, w Zalesiu, czekał. Biegł przez ciemne krzaki. W twarz smagnęła mokra od rosy gałąź. Ochłonął. Gdzie pędzisz, durniu? Wróg jest uzbrojony. Czai się w pobliżu, czekając aż wejdiesz mu w cel, jak dobrze widoczna tarcza. Masz tylko dwie gołe ręce, bo nawet paczuska z mielonymi gdzieś się zapodziała. Przynajmniej nocne psy będą miały używanie.

Wiedział, że jego szanse są gorzej niż marne, że nie ma ich prawie wcale. Jednak osiągnął wyznaczony cel: morderca ruszył ze swych pieleszy. Bez żadnych wątpliwości poluje. Na niego. Wreszcie miał niemal stuprocentową pewność, że jest zwierzyną, skazaną na śmierć. Nie była to myśl pocieszająca...

Wyplątał się ostrożnie z krzaków i pochyliwszy nisko grzbiet, ruszył w stronę głównej alei. W recepcji paliło się światło. Zapukał, wszedł. Za biurkiem siedziała drobna, niezbyt ładna blondynka. Przedstawił się, wyciągnął legitymację prasową. Wyjaśnił, że był umówiony się z koleżanką z redakcji, która wprawdzie podała mu, gdzie się zakwaterowała, lecz on, tak bywa, wziął i zapomniał numer domku. Legitymacja wywarła wrażenie. Panienska otworzyła książkę meldunkową.

– Domek dwanaście. Po lewej od baru. Wesołej zabawy, panie redaktorze – uśmiechnęła się domyślnie.

Po kilku minutach odnalazł numer 12. Ostrożnie stąpając, zbliżył się do oświetlonego okna. Zaklął. Zasłonięte. Moment... Coś jednak prześwituje. Dziura w zasłonie. Przybliżył twarz do szyby. Zobaczył spory wycinek pokoju. Danka leżała na tapczanie, ze znużoną miną wertując jakieś kolorowe czasopismo. Była rozebrana, a raczej ubrana do snu. Cienka niebieska piżama, na głowie ręcznik; widocznie brała kąpiel.

Tak szybko zdążyła wrócić? Rozebrać się, nawet umyć głowę? Przecież nie wiedziała, że będzie ją śledził. Po cóż by więc ten pośpiech? Teatr przeznaczony dla jednego widza? Po kiego diabła robiłaby taki cyrk? I skąd u niej broń? Może to jednak nie ona? Więc kto? Kto? Chyba, że pomocnik.

Przez chwilę przyglądał się odprężonej, spokojnej twarzy dziewczyny, wreszcie zniechęcony machnął ręką i powlókł się do swego domku. Spakował rzeczy, zamknął drzwi, poszedł do recepcji. Oddając zdumionej panience klucze, poinformował, że wyjeżdża.

– Obraziła się? Tak to już jest – westchnęła recepcjonistka. – Ale kto się czubi, ten się lubi.

Po kwadransie mknął ciemną szosą w stronę Warszawy. Zostawił za sobą śmierć, która tym razem była pewna, że jej ofiara nie uniknęła ostatecznego ciosu.

ROZDZIAŁ 12

Tajemnica „Kubusia Fatalisty”

Wydarzenia w Zalesiu zmusiły Skubalika do poważnego zastanowienia się nad dotychczasowymi poczynaniami. Siedząc w samochodzie wiozącym go do miasta, zdał sobie sprawę, że przez cały czas postępował co najmniej kretyńsko. Brał się do wyświetlania zagadki chaotycznie, bez ładu i składu. Interpretował fakty wyłącznie emocjonalnie, wedle schematu rozchwianego logicznie – i jak dotąd nawet nie umiał pozbierać do kupy rzeczy najważniejszych.

Ustalił co prawda listę osób, które z powodu braku alibi mógł traktować jako podejrzane. Ale, czy sam fakt braku alibi na określony czas jest już jednoznaczny z udziałem w zbrodni? Przecież to nonsens. A on się tego nonsensu uczeplił i brnie w błąd. Nie rozejrzał się uważniej wokół, nie pomyślał o ludziach spoza swojego środowiska, w jakiś sposób z nim powiązanych. Jakby z góry było jasne, że mordercą musi być dziennikarz a motyw zbrodni można znaleźć wyłącznie wśród kolegów po piórze. Przecież to nonsens. Potężny.

Wypadki dzisiejszego wieczora wstrząsnęły nim do głębi. Pojął, że przez cały czas kroczył drogą prowadzącą donikąd, szukał na niuch, gorączkowo brnął po pasujących mu śladach, równocześnie lekceważąc to, co najważniejsze: motyw zbrodni. Psychologizowanie i dopatrywanie się głębi w prymitywnych acz skutecznych poczynaniach mordercy jest zawodne. Na swoje usprawiedliwienie miał to, że śledztwo policyjne także wyraźnie utknęło. Chyba, że Dydowski coś trzyma w rękawie.

Gdzie szukać powodu aż tak ważnego, że zmusił zabójcę do popełnienia dwóch zbrodni? Za co się złapać? Od czego zacząć? Który trop porzucić, a który pociągnąć dalej?

Ale czy to, co dotąd robił rzeczywiście składało się z samych absurdów? Chyba nie do końca. Wiedział wprawdzie niewiele, jednak coś wiedział. Choćby to, że mordercą jest ktoś, kto dobrze pływa, ma łatwy dostęp do specyfików porażających mięśnie i do trucizn; użył ich wszak dwukrotnie: do zabicia Sławka, Niny i przy podtruciu Danki. Poza tym zna się na samochodach, ma broń, umie strzelać. Umiejętność zmiany głosu i udawania innej osoby trzeba odsunąć na bok; w tej chwili to mniej istotne.

Zostało jeszcze mieszkanie Sławka. Zarówno milicja jak i on sam przeszukali je pod kątem ustalenia, czy sprawca zostawił swoje ślady i co stamtąd zabrał. Zanedbano natomiast odwrotność tego, mogącą dać odpowiedź na pytanie: czy jest w mieszkaniu coś, o czym zabójca nie wiedział lub rzecz tę przeoczył? Jakies zdanie, uwaga, zapisek, przedmiot nienależący do Sławka.

Fakt, eksperyment z pokazywaniem zdjęć dał niewiele, lecz jeśli już go rozpoczął,

dłaczego nie rozszerzył „metody fotograficznej” choćby na personel administracyjno-techniczny obu redakcji? A wypadek w Kazimierzu? Nie zadał sobie trudu, ażeby sprawdzić, jak wygląda znajomość budowy samochodu u poszczególnych „podejrzanych”.

Po powrocie z Zalesia zaparzył dzbanek herbaty, usiadł w fotelu, i mimo późnej pory, przystąpił do analizy faktów. Zielony notes zapełnił się nierównym, nerwowym pismem.

1. Morderca dobrze pływa – pewnik. To raczej ktoś młody, wysportowany, ale niekoniecznie.
2. Ma łatwy dostęp do trucizn i leków (sprawca, jego rodzina, kolega z pracy lub bliski znajomy związani z farmacją, medycyną?) – pewnik.
3. Ma samochód lub znajomość budowy tegoż – pewnik (musi sprawdzić, kto ma prawo jazdy).
4. Ma broń lub dostęp do niej – pewnik.
5. Jest znajomym z bliskiego otoczenia lub zna kogoś, od kogo bez trudu dowiaduje się o moich planach – to też pewnik (jeśli nie jest to mój znajomy, może być członkiem rodziny, mężem, żoną, sympatią kogoś, kto ma ze mną codzienny kontakt).
6. Kto z otoczenia ma zdolności aktorskie, charakteryzatorskie, naśladowcze. Sam sprawca, osoba świadomie albo nieświadomie z nim współdziałająca?

WAŻNE:

- a. przeszukać mieszkanie Sławka.
- b. morda w kubeł – od dziś uważać, co do kogo mówię.

Świtało, kiedy wreszcie położył się spać. Miał przed sobą aż dwa wolne dni. Przy planowym działaniu może zrobić w tym czasie sporo. Przy chaosie, jaki był dotąd jego podstawowym błędem – nic!

Wstał o ósmej. Dzień zapowiadał się równie skwarny jak poprzednie, mimo że nieubłaganie nadchodziła połowa sierpnia. Wyszorował dokładnie całe ciało i rześki jak człowiek, któremu udało się wreszcie odpocząć po nużącej podróży, zbiegł do pobliskiego sklepu. Wybierając się do Zalesia, nie planował zakupów; lodówka świeciła pustkami. Po drodze pomyślał przelotnie, że warto się ożenić. Stanęła mu przed oczami twarz Hanki.

Wracając, zahaczył o kiosk, kupił ostatnie „Wiadomości Dnia” i ruszył w stronę domu. Ledwo skręcił w swoją ulicę, już wiedział, że coś się święci. Przed blokiem stał radiowóz, z windy wybiegał wyraźnie zdenerwowany Jędrzejko.

- To pan tu jest? – Wykrztusił ze zdziwieniem.
- Jestem, jak pan widzi – odrzekł spokojnie.
- Uf – odetchnął Jędrzejko. Skubalik miał wrażenie, że milicjant zaraz go dotknie, żeby upewnić się, czy to nie fatamorgana.
- Kapitan chce jak najszybciej pana zobaczyć. Wykop go, choćby spod ziemi,

Jędrzejko, tak mi powiedział. Ale musimy jechać do Zalesia. Tam na pana czeka.

Teraz zatkało Skubalika. Mruknął tylko, że podrzuci do domu zakupy i zaraz wraca. Po chwili był z powrotem na dole. Bez słowa skierował się do radiowozu, bez słowa – już na miejscu, w ośrodku – wysiadł z wozu i równie milcząco podał rękę kapitanowi, który okupował pokój na zapleczu recepcji. Nawet nie pytał, skąd wiedzą o wieczornych wydarzeniach. Wiedzą, bo wiedzą.

Ruszyli główną aleją. Kapitan, Jędrzejko i beczułkowato krągły mężczyzna w średnim wieku; Dydowski przedstawił go jako sierżanta Kosa. Skubalik bez trudu odnalazł miejsce napadu. Dopiero w świetle dnia mógł dokładnie zobaczyć zakręt ścieżki, przy której czaił się morderca. Wszędzie poniewierały się odpadki, połamane gałęzie, butelki po piwie, strzępy gazet; wczasowicze pilnie pracowali nad ozdobieniem terenu. Kos, najlepszy w komendzie spec od tropienia śladów, kręcił zniecierpliwioną głową.

– Ni cholery, kapitanie – wzdychał co chwilę, grzebiąc w kolejnej kupce zeschniętego mchu. – Albo szanowny pan redaktor pomylił miejsce wieczornego postoju, albo kulka fiu! – i poleciała w zaświaty. A może redaktor ma ją w sobie, tylko nie zauważył? Jeśli w ogóle ktoś tu strzelał...

– Od kiedy ty, Kos, wierzysz w zaświaty? – zaśmiał się Dydowski. Nawykł do dziwactw podwładnego. Narzeka, narzeka, ale nie popuści, póki nie znajdzie tego, czego szuka.

Kos przestał grzebać w mchu, popatrzył z namysłem na Dydowskiego i nagle jego oczy wykonały zwariowany obrót.

– Och, ty pało! – Wrzasnął.

Kapitan drgnął. Zdawało mu się przez moment, że podwładny wrzeszczy do niego. Cóż, to cholerne, zawikłane śledztwo rzeczywiście jakoś mu nie idzie. Musiał przyznać, że od lat nie miał tak twardego orzecha do zgryzienia. I jeszcze ten pętający się wszędzie detektyw amator...

Kos nawet nie zauważył marsowego oblicza szefa. Lekko i zwinnie, mimo stu kilogramów wagi, biegał po zaroślach. Obmacywał pnie, oglądał drzewa od przodu i od tyłu. Wreszcie sapnął i zatrzymał się przy wysokiej sośnie.

– I co?! – Ryknął triumfalnie. – Nie mówiłem, że jestem głupia pała? Taki ślad, taki ślad, a ja płasam po krzakach, jak słoń po dżungli. Widzi kapitan? Kulka, kuleczka, w tym drzewku – zaczął pieszczotliwie zmiękczać wyrazy. – Wskoczyła prosto pod ten sęczonek. I siedzi sobie cichutko, z głupiego Kosa się śmieje. Chyba czas ci Kosie na emeryturę, ot co! Oczy już nie te – westchnął i zaczął ostrożnie dłubać w korze drzewa.

– Fiu! Ale kaliberek! Na grubego zwierza. To na pana, redaktorku? Ho, ho, widać mocno załazł im pan za skórę. Ze strzelbą myśliwską za panem latają.

– Co ty chrzaniś, Kos? – Zdenerwował się kapitan.

– Nie chrzanię, jak pana kapitana okrutnie Kocham i szanuję. Kula ze sztucera. Proca myśliwska nadziana ołowiem na dziki. Szczegółowych danych dostarczę w domu, to znaczy... chciałem powiedzieć... w komendzie.

Dydowski, któremu zdawało się początkowo, że dzięki kolejnemu zamachowi na Skubalika śledztwo ruszy z kopyta, pośpieszał z godziny na godzinę. Znowu czeka go niezły ochrzan od „góry”. Poszukiwania w Zalesiu wiele, poza kulą, nie dały. Kilku wczasowiczów słyszało strzał lub coś w rodzaju strzału i – sądząc po odgłosie łamanych gałęzi – czyjąś ucieczkę. Nikt jednak nie widział żadnej podejrzanej osoby, ani nie potrafił określić kierunku, w którym pobiegła.

Kapitan zdawał sobie sprawę z beznadziejności podobnych przepytywań. W powszechnym mniemaniu podejrzany to ktoś, kto się skrada, może nawet czołga, jest dziwnie ubrany, wydaje niepojęte okrzyki, niesie dziwaczny przedmiot. Ale już osobnik wyglądający jak większość, idący niespiesznie, bez rzucającego się w oczy bagażu, do owych podejrzanych rzadko kiedy zostanie zaliczony. Może tak było i tym razem? Całą sprawę utrudniały panujące ciemności i gęste zarośla.

Znowu ślad się urywa. Znowu zacznie się grzebanie po omacku, ślęczenie przy pękatych aktach, czytanie ich w tę i z powrotem, analizowanie po raz n-ty alibi osób ze środowiska Skubalika i obu ofiar. Można osiwieć! Dobrze, że i tym razem ten sukinsyn wyszedł bez szwanku. Miałyby za swoje, gdyby dziennikarzowi coś się stało. Szczęściarz z tego gościa.

Ponure myśli nie opuszczały Dydowskiego przez całą drogę z Zalesia do Warszawy. Kos i Skubalik wrócili tam kilka godzin wcześniej. Nie wiedział, że myśli Zbyszka, jadącego radiowozem w stronę miasta, są bliźniaczo podobne do jego rozważań.

To nie przelewki, kiedy nieznany przeciwnik gania już z bronią palną – dumął smętnie Skubalik. Mógłby wydarzenia z Zalesia potraktować jako ostrzeżenie, ale aż tak naiwny nie był. Morderca snuł się za nim krok w krok nie po to, by straszyć. Chciał zabić! To było oczywiste. Kto wie, ile jeszcze zostawił mu czasu. Jak na razie szczęście było po stronie niedoszłej ofiary. Może więc cofnąć się, przestać szukać? Ale co to da? Sprawy posunęły się za daleko. Poza tym, i wiele na to wskazuje, zabójca chce go dopaść nie dlatego, że on – Skubalik prowadzi swoje śledztwo, ale dlatego, że w ogóle istnieje.

Kos miał za to humor znakomity. Dziś spisał się na sto dwa! Pogwizdując wesoło, zawiózł dziennikarza pod sam dom, pomachał mu przyjaźnie i z wizgiem opon odjechał.

Natychmiast po wejściu do mieszkania Skubalik zadzwonił do Kobióra.

– Przyjdź, to cholernie ważne – przekonywał. Zrobił naprędce parę kanapek, zaparzył kawę i niecierpliwie czekał. Fredek zjawił się po kilkunastu minutach. Po następnych kilkunastu znał już ostatnie wydarzenia. Gdy gospodarz zakończył opowieść, fotoreporter wstał z fotela, zaczął krążyć po pokoju i wyrzucać z siebie urwane zdania:

– No tak... kto by pomyślał... tak się sprawy mają. Źle.

W końcu wygłosił krótką mowę, wywodząc, że lepiej, jeśli w zaistniałej sytuacji zostawią śledztwo milicji, bo kto wie co teraz zamierza zrobić morderca. Skubalik patrzył na niego pośpiesznie. Wiedział, że Fredek ma absolutną rację. A jednak...

Otworzył notes i punkt po punkcie zaczął tłumaczyć, co – jego zdaniem – trzeba

zostawić milicji, a gdzie winni włączyć się w tropienie. Fotoreporter słuchał uważnie, kiwał głową, że rozumie, wreszcie zgodził się na przedstawiony plan.

Podzielili się rolami. Fredek wziął na siebie ustalenie, kto ze znajomych oraz znajomych tych znajomych względnie dobrze pływa, ma broń myśliwską albo dostęp do niej. Z tym powinien sobie poradzić bez trudu. Od lat udzielał się w dziennikarskim klubie sportowym, znał doskonale jego prezesa, będącego istną skarbnicą wiadomości o sportowych wyczynach żurnalistów.

Zbyszek miał wyselekcjonować z kręgu objętego ich zainteresowaniem tych, którzy mają samochody lub dostęp do nich i znają się jako tako na mechanice pojazdowej. Trudniejsze będzie wywaczenie, kto z ich otoczenia ma możliwość zdobycia ogólnie niedostępnych specyfików, w tym trucizny. Trzeba też jakimś sposobem ustalić zdolności aktorskie i charakteryzatorskie poszczególnych osób.

Jednak najpilniejsze na teraz było dokładne przeszukanie domu Sławka, co – po odpieczętowaniu go przez śledczych; dowiedział się o tym, dzwoniąc do Ignaciaków – mogło być zrobione bez powiadamiania czy udziału milicyjnych śledczych.

Obaj skłaniali się do wersji, że sprawca wywodzi się z ich środowiska, choć niekoniecznie musi być dziennikarzem. Ma jednak łatwy, nie budzący podejrzeń kontakt z redakcją, tak „Wiadomości Dnia”, jak i „Echa”. Stawało się to coraz bardziej oczywiste po wydarzeniu w Zalesiu. Wszak wieści o swoich planach wyjazdowych Skubalik rozpuścił tylko tam. Ktoś tę informację podchwycił. Może sam morderca?

*

Mimo soboty Kobiór buszował po mieście, wyszukując kolegów z obydwu redakcji i pod zmyślonym pretekstem zadawał im stosowne pytania. W tym czasie Skubalik wybrał się na Niegłośną. Zaszedł do Ignaciaków, powiedział szczerze, jaki ma interes i po zjedzeniu smacznego gulaszu, na co nastawała usilnie pani Helenka (*taki pan wychudzony i poczerniały drogi panie Zbysiu...*), udał się do mieszkania przyjaciela.

Niewietrzone od tygodni nabrało specyficznego zapachu. Otworzył szeroko okna i rozejrzał się. Książki Sławka. Było ich co najmniej kilka setek. Poza tym teczki i poupychane byle jak luźne kartki. Przysunął do regału fotel, zaczął wyciągać tom po tomie. Kartkował uważnie, zaglądał pod oprawy. Tak zeszła mu pierwsza, potem druga godzina. Spodnie pokryły się siwym nalotem, w nosie wiercił kurz.

Wreszcie dobrnął do ostatniej, najniższej półki. Stały tu encyklopedie, słowniki i kilkadziesiąt innych książek, między nimi ulubiona lektura Sławka: „Kubuś Fatalista i jego pan”, po którą sięgał w trudnych chwilach życia; nazywał to rozmowami Sławusia z Kubusiem.

Dobrze, zacznę od „Kubusia”. Przerzucił kilka kartek. Wzrok go nie myli! Po niezadrukowanych oddzielających rozdziały stronach biegły czarne mrówki liter. Pismo Sławka! Przeczytał pierwsze zdanie. Nie ma wątpliwości! Znalazł dziwny, nietypowy

pamiętnik.

Kolejna rocznica śmierci Ewy. Rozpacz. Czy kiedyś minie?

Nieco dalej: *Śni mi się Ewa. Przez czymś ostrzega. Jak myślisz, Kubusiu – czy istnieje życie po drugiej stronie?*

Trafił i na swoje imię: *Martwi mnie Zbych. Ciągle sam. Ja mam przynajmniej swoją Ewę, choć tak daleko.* Poczuł wzruszenie. Przyjaciel martwił się jego samotnością.

Potem ton zapisków zmienił się, jakby wyciszył. Aż wreszcie: *Poznałem dziewczynę. Znajoma znajomych, chociaż nieobca mi z widzenia. Delikatna, ale zadziorna.* Ten zapis wyglądał na świeższy, mógł pochodzić sprzed najwyżej kilku miesięcy.

I niżej, chyba innego dnia: *Cóż to za panna? Ma twarz, nogi, żołądek, lecz coś niby szklanna? Słowem – Goplana. Zaczyna mnie to wciągać.*

Wreszcie Zbyszek zrozumiał tę Goplanę, imię ze spisu zapraszanych gości. A więc Sławek miał nową sympatię, może nawet miłość. Posłużył się przy jej charakterystyce cytatem z „Balladyny”, opisującym przewrotną i tajemniczą królową Jeziora Gopło.

Następna notatka była dość zagadkowa: *Goplana – nowe imię bardzo jej się podoba, przekonała mnie. Niedługo wracam do pisania. Trzeba mi kilku miesięcy.*

Inny wpis: *Pracuję jak szalony! Nikt nie wie, tylko my troje, bo Ninka mnie nakryła, ale przyrzekła, że nikomu nie powie. Wszyscy będą zaskoczeni.*

Ostatnie zdanie osobliwego pamiętnika brzmiało: *Dziś w nocy skończyłem!!! Goplana szaleje z zachwytu. Więc słowo stało się ciałem. Mam nadzieję, że udana. Wkrótce będę wiedział. Teraz to przepisać.* Przy notce data podkreślona podwójną linią: *4 lipca.* Niecały tydzień przed śmiercią.

Poczuł skurcz w gardle. Właśnie tego dnia wyjeżdżał w szczecińską delegację. Gdyby wiedział...

A więc Sławek napisał książkę, o jakiej marzył od lat.

Że też to zlekceważył! Przecież do cholery znalazł kartę ze spisem gości i zakupów. I co? Wpieprzył ją do wora z nadrukiem *Zapomnij o mnie*, potraktował jak jakiś marny śladzik. A to może być najpoważniejszy ślad! Ależ jest idiotą! Książka gdzieś się zapodziała. Nie ma maszyny; nawet nie spytał kapitana, czy ją znaleziono. Kretyn ciężki! Zachciało mu się śledztwa, choć własnego rozumu nie potrafi pozbierać do kupy!

O zamiarze napisania dzieła życia Sławek marzył od dawna. Bąknął o tym któregoś dnia, kiedy we troje: on, Ninka i Skubalik siedzieli przy ognisku nad brzegiem Wigier. Ale to było cztery lata temu. Potem już do tematu nie wracał, choć Zbyszek domyślał się, że przyjaciel gromadzi jakieś materiały.

Książka. On, najbliższy przyjaciel Sławka, musi doprowadzić do jej wydania. Zostanie przynajmniej trwały ślad po dobrym, mądrym człowieku. Teraz tylko znaleźć maszynopis. Gdzież to u licha może być?

Z nową werwą ruszył do poszukiwań. Przejrzał jeszcze raz wszystkie półki, każdą

teczkę i każdą szufladę, nawet te w łazience, kuchni i przedpokoju. Po kilku godzinach nie miał wątpliwości. Tu, w tym domu, maszynopisu nie ma. Może leży spokojnie w którymś wydawnictwie? Chyba raczej nie. Sławek napomknął o jej przepisaniu na czysto, co mogło zająć najmniej kilka dni. Musi to przegadać z Fredkiem.

Coraz bardziej intrygowała go postać Goplany. Kto to? Znajoma znajomych? Których znajomych? Znał właściwie wszystkich, których znał Sławek. I vice versa. Dlaczego po śmierci Sławka dziewczyna nie ujawniła się, nie pomogła milicji w szukaniu zabójcy? Dlaczego, zapewne wiedząc, że byli przyjaciółmi, nie odnalazła przynajmniej jego – Zbyszka?

Musiał to być dla Zwardonia związek nieobojętny; tak przynajmniej wynika z zapisków. Ostatnio, co dało się zauważyć, Sławek był niezwykle ożywiony albo całymi dniami zamykał się w domu. Kilka razy przeproszał Zbyszka, że nie może się z nim widzieć, bo ma pilną robotę. Pisał, to jasne. Jasne też, że nie chciał o tym mówić, by nie zapeszyć. Tak jak z Ewą. To do niego podobne. Jednak ktoś o książce wiedział. Tajemnicza Goplana i Nina.

Nagle zerwał się z fotela. Niemożliwe! Czyżby motywem zabójstwa była ta książka? Jeśli tak, prosty staje się również motyw zamordowania drugiej osoby wtajemniczonej. Niny. Co to oznacza? Jest ktoś jeszcze, kto zna temat książki. Temat czymś zagrażający. I właśnie ten ktoś usunął pierwszego świadka, a teraz poluje na drugiego. Być może Goplana o tym wie, dlatego nie kontaktuje się z nim – Zbyszkiem, uważając, że w ten sposób narazi i jego, i siebie na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Jeżeli jednak ów wyimaginowany ktoś nie istnieje, zaś powodem zabójstwa jest książka, morderca może być tylko jeden: Goplana. W takim układzie wiele rzeczy zaczyna pasować. Mając świadomość, że był najbliższym przyjacielem Sławka, tajemnicza Goplana obawia się, że również o książce wiedział. Dlatego za wszelką cenę usiłuje go sprzątnąć. A jeżeli motywem nie jest książka? Cóż, wtedy szukaj wiatru w polu! Albo Goplany, która mogłaby rozwiązać spowijający sprawę mrok.

Był nieludzko zmęczony. Przeciągnął się, zanurzył głębiej w fotelu, lecz niespokojne myśli nie pozwoliły trwać bez ruchu. Wstał, podszedł do okna. Z ogródka Ignaciaków płynął mocny zapach maciejki. Za ścianą było cicho. Widać starsi państwo gdzie wyszli.

Ta dziewczyna musiała przychodzić do Sławka tutaj, na Niegłośną. Czy ją zauważyli? Chyba jednak nie, bo i kapitan, i on sam wypyтали dokładnie o każdego gościa, odwiedzającego Zwardonia w ostatnich tygodniach.

Czasem pani Helenka słyszała wprawdzie jakiś damski głos, jednak wtedy, gdy u Sławka byli goście, nigdy do niego nie wchodziła. Wyjątkiem byli Skubalik i Kalicka. Lecz oni zawsze wybierali furtkę od strony Ignaciaków, aby przywitać się najpierw ze starszą panią, jakby w obojgu tkwiła podświadoma tęsknota za babcią, jakiej żadne z nich nawet nie pamiętało.

Na sąsiedniej ulicy zagrał klakson samochodu. Zbyszek otrząsnął się z zamyślenia. Wepchnął „Kubusia” za koszulę, docisnął paskiem. Postanowił

zachować pamiętnik przyjaciela w tajemnicy, jak długo się da. Obrzucił wzrokiem pokój, żegnając się z nim już nieodwołalnie i na zawsze. Wyszedł przed dom. Klucz, tak było umówione, włożył w szparę pod okiennym parapetem kuchni Ignaciaków.

Po godzinie był w domu. Gardło miał wysuszone, ubranie utyłane w kurzu. Wrzucił brudy do pralki i skoczył pod prysznic. Ta część dnia i ta część tropienia śladów zbrodni była już za nim. Zaparzył herbatę, usiadł w fotelu i jeszcze raz, słowo po słowie, zaczął czytać zapiski Sławka. Potem przepisał je dokładnie do zielonego notesu. „Kubusia” owinął w gazetę, wsunął pakunek za tylną ściankę regału. Na wszelki wypadek.

Tym razem śmierć nie miała pojęcia o godzinach spędzonych przez Skubalika w domu przy Niegłośnej. Dzięki temu dostał w prezencie jeszcze kilka dni.

ROZDZIAŁ 13

Tym razem o mały włos...

Najłatwiej poszło z samochodami. Zbyszek wydzwaniał do znajomych z „Echa” pod pretekstem dopytania o dobrego mechanika, bo trabant strasznie mu nawala.

– Mówili mi, że ktoś od was, z waszej redakcji ma super specja od trabantów. Tylko nie pamiętam kto. Wyleciało mi z głowy. Kto u was ma jeszcze auto? – Rzucił jakby mimochodem. – Czy przypadkiem nie... – tu padało kolejne nazwisko. Pytanie było dobrą okazją do rozwinięcia tematów motoryzacyjnych, rozmowy o tym, kto samochód miał, kto ma prawo jazdy, a wozu jeszcze nie kupił i tym podobne.

O drugiej po południu spotkał się z Fredkiem. Na miejsce narady wybrali kawiarenkę pod gołym niebem w Ogrodzie Saskim. Niedziela wyгнаła z miasta nawet upartych domatorów. Było cicho i spokojnie. Kiedyś siedział tu na kawie z Kaśką Hojną. Ciekawe, co też u niej?

– Tego mi było trzeba – Fredka łączywie ciągnął zimną colę. – Jak tam sprawy?

– Poszło nieźle. A ty?

– Mam pływaków i strzelców. Od szefa klubu część, od różnych kumpli resztę. Jakimś cudem złapałem ich przy sobocie i niedzieli. Notuj. Pływacy i to najlepsi: Józek Filipczak, Anka Jabłkowska – mistrzyni klubu, niezła jest Danką Cisek, poza tym Felek. To ci z twojej listy. A teraz inni – dyktował przez chwilę.

– Anka odpada. Nie było jej w kraju. A myśliwi?

– Felek i Józek. Do kółka przy klubie należą też mąż waszej maszynistki, Marii... zaraz... Górnej.

– Ciekawe. A ona pływa?

– Nie wiem. O nią nie pytałem. Najlepiej ustal to już sam. Aha, jeszcze jedno. Górny pracuje w aptece szpitalnej.

– Fiu, interesujące. Tylko jaki motyw miałiby Górni? Mało prawdopodobne. Choć różnie może być. Po prostu nie brałem jej, a tym bardziej jego, pod uwagę.

– Wiesz, że Tadek Boczkowski pływa jak noga? Trzy razy chodził na kurs i nic. Co wlezie do wody, od razu na dno. Jeszcze jeden dowód jego niewinności, choć już niepotrzebny, bo na czas Kazimierza ma żelazne alibi. Miałeś Zbychu rację, choć ja chwilami wątpiałem. Wiesz, zraniona miłość i te takie. Przychodziło mi do głowy, że może Ninka go odtrąciła i on...

– Nigdy nie wątpiałem w Tadeusza. Za dobrze go znam. Poza tym nie ten typ. Morderca jest cwańszy, sprytniejszy, a Tadzio to dobroduszny miś.

– Sądzisz, że ten spryt z niego wyłazi i wali po ślepiach? A jeśli umie wcielić się w czystą niewinność? Wiesz: czy te oczy mogą kłamać itede.

– Być może. Czas pokaże, czy dobrze kombinujemy.

– Obyśmy kombinowali szybciej. Czas leci, ślady znikają – westchnął Fredek. Przywołał kelnerkę, prosząc o drugą porcję zimnego picia.

– Wróćmy do naszej listy. Felek i Józek mają alibi, już sprawdziłem. Chwila! Fredziu, ale ze mnie dupa! Przecież Danka ma szansę na zdobycie broni. Trucizny też. Zna się dość blisko z Górnymi, bywa u nich często. No i dobrze pływa.

– Jak u niej z samochodami? – Fredek miał wątpliwości.

– Wozu nie ma. To straszna noga do techniki, chociaż dla chcącego... Może i umiałyby uporać się z hamulcami. Tego nie wiem. Jednak nie sądzę. Pracujemy razem już dość długo i chyba coś bym zauważył.

– Nikt nie zna do końca kobiety. Mimo wszystko pogadaj z nią o motoryzacji. I koniecznie wpisz na listę tych Górnych – przypomniał Fredek.

– Okej, jutro pocisnę Dankę i wybadam Górną.

– To ja lecę. Dzięki za napitek. Za który ty oczywiście płacisz. Czy to jedyne wynagrodzenie, jakie przewidziałeś dla pomocnika, genialnego detektywa?

– Spoko. Łupy rozdzielimy później.

– A jak ci poszło na Niegłośnej, bo zapomniałem zapytać?

– Nic ciekawego – zełgał Zbyszek, i aby odwrócić uwagę kolegi, zapytał: – Fredziu, co ty tak dzisiaj wzdychasz?

Kobiór wyraźnie się zmieszał, lecz rzucił obojętnie: – E, nic. Z upału.

– Nie kręć. Chodzi o jakąś laskę?

– Rzeczywiście masz żyłkę detektywną. Fakt, baba mi lata po łbie. I nie tylko tam. Ładna sztuka, wysportowana, świetnie pływa, jeździ na nartach. Ba, nawet poluje.

– Wypisz wymaluj pasuje na podejrzaną. Ejże, Fredziu, czy ty przypadkiem nie masz na myśli mojej współlokatorki redakcyjnej?

– Danka? Nie, nie w moim typie. A zresztą – pochylił się nad stolikiem i szepnął: – tylko nie mów nikomu, bo jeszcze nie wiadomo, jak to wypali. Wolę, żeby te dranie – nasze koleżki, nie robili sobie z Kobióra jaj. Chodzi o Kaškę, przyjaciółkę twojej Hanki.

– Toś mnie zaskoczył! – Roześmiał się Zbyszek. – Od razu wiedziałem, że to Kaška. Brało cię do niej już wtedy, gdyście na mnie po nocy napadli. Wiesz – zawiesił głos. – Ona właściwie idealnie pasuje do naszej listy.

– Niestety – głos Fredka był prawdziwie smutny. – Muszę ci się przyznać, że trochę jej mówiłem o naszych sprawach. Ale ona na pewno jest niewinna. To świetna dziewczyna.

– Ha! – Parsknął Skubalik. – Jak nie urok, to... Jednak miej na nią oko. I morda w kubeł. Ja Hance też ani słowa.

– No to cześć, Zbyniu. Do jutra.

*

Jednak w poniedziałek do spotkania z Fredkiem nie doszło; wcześniej zdarzyło się coś, czego Skubalik nie mógł przewidzieć, chociaż poniekąd była to i jego wina. Po powrocie z kawiarni zadzwonił do Hanki.

– To ty... ty... wróciłeś? – Nie umiała ukryć zaskoczenia, ale zaraz w jej głosie pojawiły się cieplejsze nutki. – Myślałam, że siedzisz w delegacji i rozpytujesz wczasowiczów, jak im tam w tych krzakach.

– Siedziałem, zrobiłem co trzeba i już jestem. Wpadniesz do mnie? Proszę.

Przysłała przed wieczorem, targając butelkę koniaku. Ustawiła ją uroczyście na stole, wyjęła z kuchennej szafki kieliszki, Zbyszek zaparzył kawę.

– Co świętujemy? – Spytał niedbale.

– Nie pamiętasz? Pierwszą miesięcznicę naszego, hm, głębszego poznania. A koniak jest od Kaśki Hojnej. Wygrałam z nią zakład.

– O co?

– Takie tam nasze babskie sprawy. Nie do publikacji – pokazała w uśmiechu rząd równych zębów. – To co? Toast? Za kolejną miesięcznicę, potem być może za rocznicę. Chciałbyś?

– A ty jak myślisz? – Przyciągnął ją do siebie. Pachniała świeżo i delikatnie.

– Sam wiesz. Wypijmy więc – uniosła kieliszek, umoczyła usta. – Pij. Do dna. Inaczej się nie spełni.

– Co robiłaś przez te dni, kiedy mnie nie było?

– Nic specjalnego. W piątek i sobotę miałam pisanie. W niedzielę, jak zwykle, na łonie rodziny. Staruszkowie traktują to łono niczym najświętszy obowiązek.

– Zazdroszczę ci rodziny.

– Różnie bywa – machnęła ręką. – Znasz stare przysłowie: z rodziną najlepiej wychodzi się na zdjęciu.

*

Obudził się w kiepskim nastroju. Język ciążył, pod żebrami piekło.

– Kac okrutnik. Wypiłem pół butli koniaku. Hanka czuje się chyba lepiej, mam nadzieję. Tyle co powąchała kieliszek. Cholerny klops – wściekał się, wciągając na grzbiet wilgotną koszulę. Kiedy ją wyprał, nie miał pojęcia. Chyba koło pierwszej w nocy, już po wyjściu dziewczyny. Nie chciała zostać. Jednak jest przykłądną córeczką.

Wypił poranną herbatę i powlókł się do redakcji. W drzwiach pokoju tkwił klucz. Za biurkiem siedziała... Danka!

– Co ty tu robisz? Wyjechałaś przecież na wypoczynek.

– E, taki tam wypoczynek – skrzywiła się. – Nuda. Nuda i marazm. Żarcie kiepskie. Wróciłam. Stęskniłam się za tobą – udawała, że posyła mu powłóczyście spojrzenie.

– Ale tak poważnie. Co cię naszło, tak szybko zrywać się do zapyłonego miasta?

– Naprawdę to dlatego, że rury nawaliły – zaśmiała się, widząc zaskoczoną minę kolegi.

– Rury? Co mają do tego rury?

– Mówię ci, że nawaliły. Całe uzdrowisko wyschło. Ani kropelki wody. Zero

mycia, zero picia. Wysiadka. Zupełna. Kierownictwo turnusu oświadczyło, że naprawa potrwa cztery, pięć dni, to się wyniosłam. Inni też. Prawdziwy exodus.

Łgała jak najęta. Wiedział, że nie była na żadnym turnusie, w żadnym uzdrowisku, tylko w zwyczajnym domku w równie zwyczajnym Zalesiu. Po jaką cholere łąze?

Nie mając pojęcia, że Skubalik ni w ząb jej nie wierzy, ciągnęła dalej:

– Szef zgodził się przesunąć mi urlop na koniec sierpnia, początek września. Pogoda ma być podobno cudna. Chyba się nie zmieni. Wyskoczę w krzaki.

– W jakie znowu krzaki? Bez przerwy mówisz zagadkami.

– To nie ja. To ty szukasz we wszystkim tajemnic. Krzaki oznaczają zarośla, gaje, nawet palmowe, las, bór, knieję, busz, dżungłę, itepe. Czyli tak zwane łono natury, tępaku. O pardon. Szanowny detektywie.

– Daj spokój. Jaki ze mnie detektyw. Głupek i tyle. Za bardzo strzępię oźór i przez to... – urwał.

– Co prawda, to prawda. Z grzeczności nie zaprzeczę. Oczywiście w sprawie tego głupka. Dlaczego ci nie idzie? – Zatrokała się.

– Znasz się na samochodach? – Rzucił i od razu tego pożałował. Idiota! To trzeba robić dyskretnie, nie z grubej rury. Przecież tak nie dowie się prawdy.

– Ni w ząb. I nie ja majstrowałam przy twoim krążowniku szos. Ładnie to tak podejrzewać koleżankę, która tyle musiała dla ciebie znieść? – Kpiła, choć spojrzenie miała poważne, jakby zdziwione.

– Źle mnie zrozumiałaś. Nie o to chodzi. Szukam jednej części do mojego trabanta, łączę po ludziach, pytam. I nic. Może ty znasz jakiegoś trabanciarza? Zaraz, mówisz, że ktoś majstrował przy moim aucie? Skąd takie informacje?

– Skąd, to moja słodka tajemnica... – mruknęła. – A jeśli biega o trabanty, nie mam, niestety, żadnych w tej dziedzinie znajomości. Poza Górnym, mężem Marysi. Ale on ma jakąś przedpotopową brykę a nie samochód. Trzeszczy to gadostwo, ledwo się kupy trzyma. Żeby nie żyłka do techniki, którą ma Górny, ten szmelc dawno byłby kupą złomu. Mogę zapytać, chcesz? Na pewno zna jakiegoś posiadacza mydelniczki. O, pardon, króla szos, trabanta

– Dobra. Popytaj – skrzywił się.

– Co ci? Dlaczego tak się krzywisz?

– Nic takiego. Łupie mnie od rana w gnatach. O tu – pokazał. – Pod żebrami.

– Błady jesteś. Piłeś? Aha, czyli pan kac – podsumowała Danką.

– Kac w żebrach?

– Kto go wie, może i w żebrach. Ludzie różnie reagują na opilstwo.

– Jakie tam znów opilstwo. Kieliszek koniaku. Bardzo dobrego, francuskiego. Musiałem wypić, żeby się darczyńca nie obraził.

– Raczej darczyńcy – Danką pokręciła głową.

– Nieważne kto. Bez żartów, naprawdę czuję się okropnie. Skoczę chyba do jakiegoś konowała.

– Nawet wiem, do jakiego – przymrużyła oko.

- Cholera, ale mi wiruje we łbie. O jakim lekarzu mówisz?
- Znanym kardiologu Zwiędłowskim. Nic ci to nazwisko nie mówi?
- Odwał się. Patrzcie ją, ale ma wywiad.

– Po co mi wywiad? Przecież wszyscy wiedzą o twoim stanie, że tak powiem, emocjonalnym. W naszym światku nic się nie ukryje. Zresztą Marysia mi mówiła. Trochę zna ojca Hanki i ją samą. Rozpieszczona córunia zamożnych rodziców.

– Wiesz, jesteś... – nie dokończył. – Ty i takie ploty!

– Żadne ploty. To ostrzeżenie. Obie z Marysią martwimy się, że ta panienka zarzuciła na ciebie sidła.

– Co ma do tego Górna? I skąd to wszystko wie?

– Proste. Jej mąż pracuje w szpitalu, gdzie...

Ostatnie słowa Danki dotarły jak przez mgłę. Usiadł ciężko na krześle, zwiesił głowę. Czuł, że biurko umyka gdzieś w dół, potem jedzie w górę i robi się małe, coraz mniejsze. Ból w piersiach narastał. Chłodna, miękka dłoń dotknęła czoła. Danka. Zobaczył z bliska jej oczy. Zdawało mu się, że kpią.

– Co ci jest? Coś cię boli? Nie mdlej mi tu do cholery!

– W piersiach. Oj... – jęknął, opuścił głowę.

Krzyknęła, usłyszał trzaśnięcie drzwi. Czuł, że nie jest sam. Z trudem uniósł powieki. Otaczał go tłum. Naczelny, sekretarz, wszędobylska Halinka, Marysia, Danka, Józek. Potem odpłynął.

Leżał w małej, szpitalnej sali. Starsza ciemnowłosa pielęgniarka odsunęła kołdrę, pochyliła się. Poczul ukłucie. Znow zapadł w miękką mgłę.

Ocknął się, świadom czyjejś obecności. W nogach łóżka stał wysoki mężczyzna. Spod krzaczastych brwi spoglądały jasne, przyjazne oczy.

– Oj, dziennikarze, dziennikarze – głos miał gruby, tubalny. – Ganiacie, lacie, a potem kaput. Serduszko wysiada. I po co tak latać? Po co? – Przemawiał dobrodusznie,

– Panie doktorze, co mi jest? – Wymawiał słowa z trudem, jakby przez wiele miesięcy nie używał języka.

– Podejrzenie o zawał. Tylko podejrzenie. Zwyczajne, tak, to najważniejsze określenie, zasłabnięcie z przepracowania, niewyspania, nadmiaru napięć.

– I co?

– W porządku. To znaczy, prawie w porządku. Trzeba poleżeć, odpocząć. A potem musowo wczasy. Ani się pan waż wracać od razu do roboty – pogroził palcem.

– W jakim jestem szpitalu?

– W odpowiednim dla takich typków.

– Kiedy wyjdę?

– Ledwo przyszedł, już wychodzi. Ludzie, ludzie, zdrowia nie szanujecie. Puścimy pana niedługo. Ale nie do roboty. Najpierw rekonwalescencja, najlepiej gdzieś daleko od prasy, telewizora, kumpli, wódeczki i tych takich – mrugnął

porozumiewawczo.

Lekarz miał rację. Skubalik od wielu dni czuł, że goni już resztkami sił.

– Zgoda – wystękał. – Urwę się. Pojadę w jakąś głuszę. Życie nie żółw, biegnie szybko, więc po co się wykańczać zawczasu.

– Dobrze pan mówi. O to właśnie chodzi. Życie nie żółw. Niezłe porównanie, niezłe. Muszę sobie zapamiętać – zaśmiał się lekarz. – Od jutra przejmie pana kolega, ale ja będę zdalnie czuwał. Proszę mu nie stawiać oporu. Póki co, żadnych odwiedzin. Leżeć i milczeć! – Pogroził palcem.

– Rozkaz, panie doktorze.

– Tu ma pan recepty. Wykupić, stosować. Zrozumiał?

– Zrozumiał i dziękuje, panie doktorze.

Lekarz wyszedł. Skubalik wziął do ręki plik recept. Nie może być! Profesor Stefan Zwiędłowski. Ojciec Hanki! Sympatyczny jegomość. Ależ przypadek. Ciekawe, czy wie, że oni... Może wie. Zresztą i tak nie ma to znaczenia. Grunt, że nic poważnego mu nie dolega. Co za ulga.

Zmęczenie. Zemdlął jak panienka. Dał za ostro w gaz. Ta cholerna choroba wyłączyła go ze sprawy w najciekawszym momencie. Jeśli w tym czasie szanowny pan kapitan złapie mordercę, kpinom nie będzie końca. Poczł ukłucie zazdrości. Musiał przyznać sam przed sobą, że wyświetlenie zagadki stało się jego cichą ambicją, mającą chwilami znamiona obsesji.

– No i co? Lubię szukać prawdy. Zboczenie zawodowe – westchnął i zapadł w spokojny sen.

*

Wypisano go w piątek. Pod bramą czekała Ciskówna z bukietem kwiatów. Obok sterczał tyczkowaty Fredek.

– Witamy umarlaka! – Zawołała Danka. – Przyszliśmy wesprzeć cię bratnim ramieniem. Człowiek po szpitalu, jak po dużej wódce. Chwieje się i chwieje. No, Frediusz, dawaj gabłotę!

– Jak uruchomiliście to pudło? – Zdziwił się, widząc przy krawężniku swego trabanta.

– Mdlejąc, posiałeś kluczyki na biurku. Schowałam, bo przecież ktoś mógł zwędzić to królewskie auto – wygłosiła patetycznie. – Wsiadaj, mistrzuniu, i do domu. Tam mała kąpiel, siusiu, paciorek i spać. My zapakujemy twoje graty a rano w wóz – i w Polskę! To rozkaz szefa.

– W jaką Polskę? Co ty bredzisz? – Był zaskoczony lawiną słów i poleceń.

– Do Fredziówki, czyli prywatnej chaty Fredka na Mazurach. On cię tam odstawi i przyjedzie do ciebie za kilka dni – wyjaśniła.

– Masz Fredek chatę na Mazurach? – Słyszał o tym po raz pierwszy.

– Ja przecie Mazur. Chałupka po babci. Umarło się jej biedaczce w zeszłym roku. Dom nad samą wodą, sto metrów do lasu, kilometr do sklepu. Sielanka. Odpoczniesz jak złoto. Wpadnę do ciebie za tydzień, na razie mam kupę roboty. Stary zwolnił mnie

na jutro, bym cię mógł zawieźć do Żakajni.

– Twój naczelny? A co jemu do tego?

– Twój szef dzwonił do mego i prosił o małą przysługę. Szef z szefem zawsze się dogada. Musiałeś nieźle wpaść w oko służbie zdrowia, bo dzwoniła do naczelnego i sugerowała, żeby natychmiast wysłał cię na wypoczynek. W jakieś bardzo spokojne miejsce. Szef powiedział Dance, ona mnie, ja powiedziałem jej o mojej chałupie, ona powtórzyła waszemu szefowi, wasz mojemu, i tak dalej, po sznurku. Wszyscy zgodzili się, że Żakajnie to super pomysł.

Dobrze byłoby zabrać Hankę – pomyślał Zbyszek. Czuł jednak, że jakoś nie pasuje rzucanie takiej propozycji. Przecież sam jest zaproszony. Zresztą może jeszcze pogada z Fredkiem na osobności.

– Zwiędłowskiej nie ma w Warszawie – wtrąciła Danka, jakby odgadując jego myśli. – Co się gapisz? A, trafiłam! Nie słyszałeś, że czytam w myślach?

– Mów dalej Pytio, nie przerywaj sobie.

– Dzięki za uprzejmą zgodę. No tak! – Pacnęła się w czoło. – Przecież ty nic o niczym nie wiesz. Nie odzywałeś się, więc ta twoja donna zadzwoniła na nasz redakcyjny numer. Wyłuszczyłam jej, co i jak, chociaż jeszcze nie wiedziałam o Żakajniach. Zawiadomiła, że od środy jest w delegacji. Musisz nieboraku jechać w te krzaki sam. Zadzwoni, to powiem, gdzieś się podział. Spokojna głowa. Wszystko się ułoży.

Rzeczywiście, układało się nieźle. Nie miał powodów do niepokoju. Nie przyszło mu do głowy, że ma je śmierć – i że tym razem przygotowuje się do ataku staranniejszego, niż dotąd.

ROZDZIAŁ 14

Górna wyjawia prawdę

Przez otwarte szyby samochodu wpadał chłodny orzeźwiający wiatr. Fredek wyciskał z trabanta ostatni dech. Mknęli przez zielone obrzeża starej Puszczy Kurpiowskiej, kierując się na Ełk i dalej, ku północnym jeziorom Mazur. Po kilku godzinach wjeżdżali do pełnego turystów Ełku. Kobiór zaparkował w zatoczce przy bocznej ulicy.

– Wyglądało, że upały zelżęją. Lada dzień koniec sierpnia, a tu przygrzewa, jakby nie miało dość. Może skoczmy na coś zimnego – zaproponował Fredek, gramoląc się z auta.

Rozejrzeli się. Wszędzie tłumy. W wypełnionej po brzegi pobliskiej kawiarni nie było gdzie szpilki wetknąć. Na szczęście dwie dziewczyny ze stolika pod oknem regulowały właśnie rachunek. Fredek, który już wczoraj przyjął na siebie funkcję opiekuna i przewodnika, kilkoma susami dopadł zwalnianego miejsca, zagadał do dziewcząt, te zebrały rozrzucone na krzesłach rzeczy, uśmiechnęły się zalotnie do Fredka i wyszły. Po chwili siedzieli nad parującymi filiżankami.

– Kawa ci nie zaszkodzi? – zatroskał się fotoreporter.

– Przeciwnie. Cholernie spadło mi ciśnienie. Ledwo wlokę nogi.

– No to kawa cię wzmocni. Pijmy szybko, bo do mojej „willi” jeszcze kawał świata, a już druga. W Gołdapi coś przekąsimy i nad jezioro.

Za oknem grały na różne tony motory samochodów. Ruch był coraz większy.

– Zobacz – Zbyszek odsłonił firankę. – Widziałeś kiedyś takie cudo?

Środkiem jezdnii sunęła dostojnie dziwaczna landara. Pojazd pamiętający epokę pradziadków łagodnie zakręcił i stanął przy krawężniku. Wymalowane w kolorowe esy-floresy auto było barwnym wyzwaniem rzuconym innym, bardziej nowoczesnym samochodom. Koło „dziadunia” zaczął się gromadzić tłum ciekawskich.

Zbyszek drgnął nagle, jak ukłuty szpilką. Wśród przechodniów mignęła znajoma twarz. Maria Górna! Obok niej szedł nastoletni chłopiec. Coś do niego mówiła, kiwał przecząco głową, potem wziął ją pod łokieć i zniknęli w głębi ulicy. Co ona tu robi?

Dopiero mocne szarpnięcie za ramię pozwoliło mu wrócić do kawiarnianej rzeczywistości.

– Co ci, Zbychu? Dobrze się czujesz? – W głosie Fredka brzmiała troska.

– Doskonale. Ta kawa świetnie mi zrobiła. Zamyśliłem się.

– O Hance dumas? I co, złą laskę ci podrzuciłem? – Zaśmiał się fotoreporter.

– Rzeczywiście. Zapomniałem ci podziękować.

– Będę świadkiem?

– Świadkiem?

– Na ślubie.

– Mówiąc poważnie, Fredziu, nie wiem. Niby wszystko jest „za” ale tak jakoś. Nie wiem, co naprawdę myślę. Muszę sobie dać czas.

– Poczekam – zgodził się łaskawie Kobiór – A teraz się zabierajmy.

Z trudem wjechali na główną ulicę miasta. Po kilku minutach trabant skręcił na szosę do Gołdapi.

*

Chałupa babci na pewno nie zasługiwała na miano willi. Była jednak jasna, przestronna, obsadzona barwnymi malwami i georginiami. Pod oknem głównej izby stała szeroka drewniana ława. Siedząc tam, mogli podziwiać kiszkowate wąskie jezioro; jego przeciwległy kraniec zasłaniał porośnięty olchą i strzelistymi brzoźami półwysep.

Zbyszek jak oczarowany wpatrywał się w wodę; migotała rozjarzoną czerwienią zachodzącego słońca. Miasto i sprawy, którymi żył od wielu tygodni pozostały gdzieś daleko. Dziś czuł się wolny od trosk. Jutro... – kto wie, co przyniesie jutro.

Tymczasem Fredek tłukł się po domu, zamiatał, ścierał pajęczyny, oblekał przywiezioną świeżą pościel, wreszcie wpadł do kuchni i zaczął szykować jedzenie. Pierwsza kolacja była nadzwyczajna. Jajecznice ze świeżych jaj, kupionych we wsi na trasie, zagryzali pachnącym domowym chlebem, zdobytym już w Żakajniach.

– Mleko, jajka, pieczywo możesz brać od miejscowych. Chętnie zarobią, bo turystów tu, jak widziałeś po drodze, na lekarstwo. Odkryją moje Żakajnie dopiero, gdy zapchają się do cna kurorty mazurskie. Jeszcze pięć lat temu fala wczasowej stonki była trzydzieści kilometrów stąd. Teraz jest coraz bliżej. Czasem ktoś tu wpada z namiotem, posiedzi dzień, dwa, ale że okolica dzika, zaopatrzenie mizerne, wynosi się z powrotem. Jednym słowem, wymarzone miejsce na odpoczynek – rozgądał się Fredek, zadowolony z wrażenia, jakie zrobiły na koledze jego rodzinne Żakajnie. – Wrócę za kilka dni i pokażę ci miejsce po domu, w którym się urodziłem. Poszedł z dymem, gdy miałem ledwie dwanaście lat. Przytuliła nas babcia. Jej chałupa przeżyła wszystkich. Moją mamę, ojca, babcię. Przeżyje i mnie – Fredek sposepniał, lecz zaraz wyskoczył z niego wieczny wesołek.

– Pora spać! We Fredziówce zabronione jest śnić o sprawach zostawionych w Warszawie. Tu się śni o łowieniu ryb, kąpielach w jeziorze, pływaniu łódką. Chociaż tobie, jak cię znam, na pewno przyśni się całe wyrko panienek.

Zamruczał coś w odpowiedzi i powłókł się do łóżka. Ledwo przyłożył głowę do poduszki, zapadł w głęboki, spokojny sen.

*

Fredek wyjeżdżał rano. Zanim wsiadł do samochodu udzielił Zbyszkowi paru instrukcji.

– Na razie za bardzo się nie forsuj. Na obiady będziesz chodzić do babci Prasiakowej, pół kilometra prawym brzegiem jeziora, chałupa łatwa do poznania, bo

jedyna we wsi kryta strzechą. Prasiakowa to moja chrzestna. Dobra kobieta, chociaż trochę dziwna. Udawaj, że tego nie widzisz.

– Czego?

– Ona od czasu do czasu zaczyna chichotać, tak bez powodu. Ślady szoku, jeszcze z młodości. Kiedy miała zaledwie kilka lat, była świadkiem brutalnego napadu i zabójstwa brata. Nigdy się z tego nie otrząsnęła. Mam też do ciebie prośbę. Jak dojdiesz nieco do sił, pomóż jej narąbać drzewa, przynieś raz na dwa dni kilka wiader wody. Dobrze ci to zrobi, a staruszka trochę odsapnie.

– Nie ma sprawy. Chętnie – zgodził się. – Zdążyłeś już u niej być?

– Jestem chłopak ze wsi. Wstaję z kogutami. Jeszcze spałeś mieszczuchu, jak zdążyłem obrócić do Prasiakowej, zrobić śniadanie i spakować manele.

– Nie mam pojęcia, jak ci dziękować – Zbyszka wzruszała troska, jaką go otaczał.

– Co ty gadasz, chłopie? Jesteś moim kumplem i chyba zrozumiałe, że to wszystko trochę mnie obchodzi.

Dopiero gdy warkot motoru ucichł i wokół zapanowała niczym nie zmacona cisza, poczuł się samotny i zagubiony. Jak słabo zna ludzi ze swojego otoczenia. Na przykład taki Fredek, uparty podrywacz, wesołek i kpiarz. Nie był wprawdzie kimś, o kim można rzec, że jest demonem intelektu, lecz to właśnie on wiedział, co w danej chwili jest drugiemu człowiekowi najbardziej potrzebne. A jemu – Skubalikowi potrzebna była życzliwa troska i szczerze słowa przyjaźni.

Początkowo miał zamiar pójść do Prasiakowej, ale że do obiadu zostawało jeszcze nieco czasu, wybrał się na krótki rekonesans. Po około dwóch kilometrach wiejska droga łączyła się z asfaltówką. Drogowskaz informował, że do Gołdapi jest 9 kilometrów, do Świderka czy podobnie – część liter na tablicy była mało czytelna – 2 kilometry, do Rarogów 3. Rarogi? Zaraz, przecież to miejscowość, gdzie zagnieździła się sprytna szajka oszustów, o której sporo pisał Sławek. Co za dziwny przypadek. Czyżby? Motywu zemsty za ujawnienie przekrętów, jak dotąd nie brał pod uwagę. E, nie – odpędził natrętną myśl.

Przy krzyżówce stało dwóch mężczyzn. Zerkali w przecinkę pomiędzy drzewami, wypatrując – jak się zorientował – autobusu. Po chwili zza drzew wytoczył się niebieski Jelcz. Tablica za szybą informowała, że pojazd zmierza do Ełku.

Decyzję podjął w ciągu sekundy. Wskoczył na stopień i zatrzaskał drzwi. Autobus ruszył.

– Dokąd? – zapytał kierowca.

– Do Ełku – odpowiedział szybko,

– Znaczy, do końca – stwierdził kierowca, wydzierając z bloczka szary bilet.

Może i do końca – pomyślał. - Bo może w Ełku znajdę rozwiązanie zagadki. Coś za często przewija się we wszystkim Górna.

Jelcz lekko wykręcił, wjeżdżając na środek szosy. Z tylnych siedzeń zaczęto wołać:

– Panie! Panie! Zaczekaj pan! Ktoś leci!

Autobus zwolnił. Do środka wpadł, sapiąc głośno, młodzieniec w niebieskim,

dżinsowym komplecie.

– Uf, ledwo zdążyłam. Dziękuję panu. Do końca – wsunął w dłoń kierowcy banknot i leniwie poszedł w głąb wozu. Przez chwilę wydawało się Zbyszkowi, że gdzieś już tę twarz widział.

Większość pasażerów wysiadła w Gołdapi i kolejnych przystankach; kiedy wjeżdżali do Ełku, wóz był prawie pusty. Dochodziła jedenasta. Powrotny pekaes miał o wpół do drugiej. Przeszedł przez jezdnię i usiadł na ławce po północnej stronie rynku. Jeśli Górna jest jeszcze w mieście, może ją spotka. Pozostawało liczyć na przypadek. Wyteżał wzrok, starając się patrzeć we wszystkich kierunkach jednocześnie.

Wreszcie! To był chłopak, którego widział z Górną. Zniknął w drzwiach cukierni, po chwili znów się pojawił i bez pośpiechu skręcił w boczną ulicę. Dziennikarz ruszył za nim. Nastolatek, nieświadomy, że ktoś go śledzi, wszedł w bramę parterowego budynku, pomalowanego jaskrawo żółtą farbą. Na frontonie wisiała metalowa tabliczka: „Łąkowa 3”. Adres. Dobrze i to. Czy jest tam Górna? Odpowiedź przyszła szybciej, niż mógł się spodziewać. Z sąsiedniego domu wytoczyła się otyła, niska kobieta. Obejrzała Zbyszka od stóp do głów i człapiąc rozklepanymi sandałami powlokła się w stronę rynku.

Nie była nawet zdziwiona, kiedy powiedział grzecznie „dzień dobry”. Jakby czekając od lat na okazję pogwarzenia z kimś, zaczęła mleć językiem.

– Pan nietutejszy? Bo ja znam wszystkich tutejszaków. I z miasta chyba wielkiego, bo tu najwięcej takich przyjeżdża, chociaż i nasze miasto to takie małe nie jest.

– Z Warszawy. Przyjechałem wypocząć. Zdaje mi się, że u pani sąsiadów mieszka jedna moja znajoma, też z Warszawy – rzucił gadule przynętę.

– Pewno, że mieszka. Marynia. Po mężu Górna.

– Górna, Górna... – udawał, że się zastanawia. – Nie kojarzę, ale twarz znajoma. Może zmieniła nazwisko na mężowskie, a ja ją znałem pod panieńskim.

– Kiedyś Dolna. Śmiejemy się tu, że poszła w górę. No, wie pan, z Dolnej na Górną. Często tu jest. U babki mieszka, to znaczy u swojej matki. Do syna przyjeżdża i do matki. Widział go pan? Wysoki, przystojny chłopaczek. Panie, co to za życie. Ona daleko, on tu. Niewygoda dla niej syna przy sobie trzymać, bo on, panie... nieślubny. Ale nie powiem, troska się o niego jak rzadko, która matka. Ubiera, na szkołę łoży, nawet motor kupiła. Wiesio ogólniak kończy w tym roku. Dobry chłopak, zdolny. Tylko ojca ma, widzi pan, pijanicę. Tutejszy. Jak Marynia miała z osiemnaście lat, zadała się z takim jednym. Głupia, jak to młode, patrzyła tylko na wygląd. Bo i piękny to był mężczyzna. Już wtedy chlał na umór. Nim się kapnęła co i jak, brzuch jej zrobił. I co, zadusić dzieciaka miała? Ale od kiedy za męża poszła, to Wiesio jakby ślubny. Jej mąż to od dawna chciał chłopaka zabrać do Warszawy, bo on, panie, ten Górny, dobry dla niego, jak ojciec. Marynia karierę zrobiła. Kobieta z niej teraz fest. Ubrana, elegancka. Mąż na dobrej posadzie, w szpitalu pracuje. Farmaceuta. Tylko Wiesia nigdy do siebie nie zabierają, a i ten jej mąż też rzadko tu przyjeżdża. W tajemnicy przed wszystkimi chyba dzieciaka chowa – terkotała

niezmordowanie.

Doszli do rynku. Zaraz zaczęły ją jakieś znajome. Odchodząc, słyszał, jak wypytują, kogo to Karkowska przygruchała.

Nie bardzo wiedział, co teraz robić. Czekać na autobus? A może iść do Górnej i szczerze z nią pogadać? Znów pomógł mu przypadek. Po drugiej stronie ulicy dojrzał nagle przedmiot swoich rozmyślań. Górna szła powoli, stawiała przed wystawami sklepów i znów ruszała dalej. Przebiegł ulicę.

– Dzień dobry, pani Mario.

Odwróciła się gwałtownie, oczy błysnęły ostro. Szybko się opanowała.

– Pan Zbyszek! Myślałam, że... Jakże się cieszę. Skąd tutaj?

– Siedzę niedaleko, w takiej małej wsi. Wpadłem do Ełku rozejrzeć się po szerokim świecie – nadal się wahał, jak zapytać o to najważniejsze. A niech! Co będzie, to będzie. – Fajnego ma pani syna – rzucił.

Drgnęła nerwowo, zamknęła na moment oczy, jakby chcąc ukryć to, co można by w nich zobaczyć, chwyciła Zbyszka za ramię i pociągnęła w bramę. Chciał protestować, kobieta nie miała jednak żadnych złowieszczych zamiarów. W podwórzu na tyłach budynku zobaczył małą kawiarnię pod parasolami.

Zajęli pierwszy z brzegu stolik. Maria Górna milczała. Coś w sobie ważyła, wreszcie wybuchła.

– Błagam, niech pan nic nie mówi! W Warszawie! W pracy! Bo mieliby używanie, jakby się dowiedzieli. A moje dziecko kocham nad życie. Rozumie pan! – Tłumaczyła gorączkowo.

– Pani Mario, nikt się nie dowie. Nikt. Przysięgam, że nie pisnę słowa. Ale nie rozumiem, czego się pani boi. Przecież nie średniowiecze, nikt się już dzieciom pozamażeńskim nie dziwi.

– Niestety, bywa gorzej, niż się myśli. Pozornie kobieta ma równe prawa. Ale niech tylko coś przeskrobie, wtedy huzia na Józia. Moralności żywcem z Ciemnogrodu nie brak nawet w dużym mieście. Też trzeba mieć sporo odwagi, żeby, nie mając męża, chodzić z brzuchem do pracy. Obsobaczą po cichu, bo głośno każdy udaje nowoczesnego. Ja już swoje oberwałam, kiedy chodziłam w ciąży z Wiesiem.

– Rozumiem, choć myślę, że nie do końca ma pani rację. Zresztą to, co na ten temat uważam, nie ma wpływu na moje przyrzeczenie. Będę milczał. Tego może być pani całkowicie pewna.

Chwyciła dłoń Skubalika i mocno ją ścisnęła.

– Dziękuję. Jest pan dobrym, uczciwym człowiekiem. Danka ma w zupełności rację.

– Danka?

– Zawsze twierdzi, że pod zewnętrzną powłoką kryje pan wiele zalet.

– Dobrze sobie. A pokrzykuje na mnie, ile wlezie.

– Ona już taka jest. Przekorna, energiczna. Tak wygląda z wierzchu. W środku to mała, płochliwa dziewczynka. Mąż i ja bardzo ją lubimy; chcemy, by miała u nas

drugi dom, taki jakiego w swoim życiu raczej nie zaznała. Ale nie mówmy o Danusi. Chciałam wrócić do sprawy mojego syna. Należą się panu wyjaśnienia.

Odsapnęła, rozluźniła się, jakby to, co wyznała, przyniosło jej długo oczekiwaną ulgę.

– Mąż wiedział o Wiesiu od samego początku, od kiedy się znamy. Ogromnie lubi małego. Naciska, byśmy ściągnęli chłopaka do Warszawy. Może tęskni do ojcostwa, bo sam nie może mieć dzieci. Ja jednak wolę, żeby syn zdał maturę tutaj, w swoim naturalnym środowisku. Wiesio za rok będzie startował na Uniwersek w Warszawie i zamieszka u nas. Wtedy wszystko się ułoży. Do tej pory nie chcę, by ktoś w pracy wiedział. Chcę mieć spokój. Dużo w życiu przeszłam i chcę mieć spokój – powtórzyła.

Postanowił skierować rozmowę na interesującą go sprawę.

– Co pani sądzi o tych dwóch zabójstwach?

– Co? – Zmiana tematu wyraźnie ją zaskoczyła. – Ach tak, o Nince i Sławku. Przeżyłam to, proszę wierzyć, mocno. Bardzo lubiłam Ninę. Ona też, jak mój Wiesio, była taką, jakby na pół sierotą. Ją też wychowała babcia. Zresztą, po co ja to panu mówię, sam pan wie.

– Wiem.

– To była złota dziewczyna. Sławek też był wspaniałym człowiekiem, dobrym i uczynnym. Własnymi rękami oczy bym wydrapała temu zbrodniarzowi. Zabijać młodych, szykujących się dopiero do życia. Dlaczego?

– Żebym to ja wiedział – westchnął Zbyszek.

– Słyszałam, że pan to bada. Danka mi wspomniała. Przepraszam, że zapytam. Czy pan... hm... chodzi z Hanką Zwiędłowską?

– Można to tak nazwać. Skąd pani zna Hankę? – udawał, że o niczym nie wie.

– Mąż pracuje w tym szpitalu, gdzie jej ojciec. Dobrze się znają – i nagle dodała: – Żeby nie ja, pan Sławek by żył.

– Co?! – Aż podskoczył – Co pani ma na myśli?

– To bardzo pokręcone. Żałuję, że nie było mnie w Warszawie, kiedy został zamordowany. Może, gdybym się tu nie wybierała, wszystko by poszło inaczej. Ale siedziałam tutaj, u syna, jak zawsze w sobotę i niedzielę. Tym razem zostałam też na poniedziałek.

– Jaki ma to związek z...

– Z zabiciem pana Sławka? Ma. Zaraz pan zrozumie, że ma... Kilka dni przed śmiercią, w środę, dał mi do przepisania maszynopis, a raczej brudnopis maszynopisu, bo sporo tam było poprawek i skreśleń. Miałam to zrobić na czysto. Jak pan wie, panie Zbyszku, czasami coś komuś przepisuję. Kazał przysiąc, że nikomu nie pisnę słowa o tym, co mi zlecił. I nie pisnęłam, nawet Danusi. Słowo, to słowo. Aż panu, teraz, bo myślę, że to może być ważne.

– Co to był za tekst?

– Książka. „Przed zasłoną prawdy”, taki tytuł. Nawet pochwaliłam, że ciekawy. Bardzo się spieszył, mówił, że musi to mieć na piątek. Sam nie da rady, bo popsowała

mu się maszyna.

– Erica. Niestety, gdzieś przepadła. Policja szuka jej w punktach napraw – nie widział powodu, żeby akurat to przed Górną zataić.

– Maszyny pana Sławka?! Przecież jest, to znaczy była u mnie!

– Jak to? – wiadomość go zszokowała. A tak się głowili nad tajemniczym zniknięciem „głupka”.

– Od kilku lat naprawiał ją nasz sąsiad, no bo znaleźć dobrego naprawiacza niełatwo. A on jest dobry. Pan Sławek przyniósł maszynę wtedy, gdy przyszedł z książką. Już pan Walewski przy niej dłubie; zaraz tego dnia mu zaniósłam.

– A myśmy tyle się zastanawiali... – westchnął Skubalik. – Ale proszę kontynuować, bo pani przerwałam.

– Tu, jak widać, nie ma żadnej tajemnicy. Powiedziałam, że nie dam rady przepisać, i że zrobię mu, Niestety, dopiero na poniedziałek, ponieważ chciałam wziąć trochę wolnego i na drugi dzień, w czwartek, jechać do syna. Ale on bardzo prosił. Mówił, że to dla niego ogromnie, wręcz życiowo ważne. Cóż, zgodziłam się, chociaż z oporami. Przesunęłam wyjazd na piątek po południu, rzuciłam wszystko i ciurkiem przepisywałam. W piątek rano był u mnie i zabrał tekst. Kiedy pochwaliłam, że pisało mi się nieco powoli, bo książka jest ciekawa i strasznie mnie wciągnęła, jeszcze raz kazał mi przyrzec, że nikomu nie powiem. Mogłam spokojnie jechać. Widzi pan, żeby nie to...

– Nie rozumiem nadal. Dlaczego pani uważa, że Sławek nie żyje przez panią?

– Bo jakbym uparła się przy poniedziałkowym terminie i na dodatek nie miała planów wyjazdowych, to nie siedziałby wtedy, po południu, u siebie w domu, tylko byłby u mnie, odebrać książkę.

A wie pan, jak jest, gdy przychodzi miły gość. Kawę się wypije, pogada. Mąż bardzo lubił Sławka. Zawsze zleciało ze dwie godziny, zanim się nagadali. Żebym mogła przewidzieć, co się stanie z panem Sławkiem, nigdy w życiu nie przepisałabym wcześniej – tłumaczyła bezradnie. Pomyślał, że już druga osoba wini siebie za śmierć Zwardonia.

– Czy nie mówił, dlaczego tekst jest mu potrzebny koniecznie na piątek?

– Wspomniał, kiedy odbierał przepisane, że znajoma ma to zanieść do recenzenta, z kolei jej znajomego. I to akurat tego dnia, w piątek, chyba koło południa, bo była prawie jedenasta, a on bardzo się spieszył na spotkanie z tą znajomą. Nic więcej nie mówił. Nie powiedziałyby chyba i tego, ale wyraźnie go zapytałam o przyczyny pośpiechu.

– Jest pani w stanie odtworzyć w pamięci treść książki? To może być ważny ślad.

– Mam wrażenie, że to takie studium zmiany dobra w zło. Chodzi o ludzi wysoko umocowanych, którzy nakręcili potężną aferę, chociaż nikt ich, bo wydawali się nieskazitelni, nie podejrzewał, że są bandziorami. Zresztą nie muszą odtwarzać w pamięci – uśmiechnęła się Górna. – Mam w domu ten brudnopis. Pan Sławek powiedział, że odbierze go później, bo teraz się spieszy na spotkanie i nie chce dźwigać niepotrzebnie dwóch grubych teczek. To na czysto ma dwieście pięćdziesiąt

kilka stron, do tego drugie tyle brudnopisu. Wrócę za tydzień do Warszawy, i zaraz panu wszystko przekażę.

– Doskonale! Może dzięki temu ruszymy do przodu – rozpromienił się Skubalik. To była wspiana wiadomość. – Teraz ja panią proszę o dyskrecję. Nikomu, ale to nikomu i pod żadnym pozorem nie może pani napomknąć, że przepisywała książkę Sławka. To bardzo ważne. Póki sprawa się nie zakończy.

Skinęła głową. Układ tajemnica za tajemnicę wyraźnie jej odpowiadał.

– Znów ta książka – myślał, siedząc w autobusie do Żakajni. – Czyżby to właśnie ona była przyczyną zbrodni? Jeśli tak, co takiego zawierała, że stała się powodem aż dwóch zabójstw? Tajemnicę jakichś wysoko postawionych osób? Sławek był znakomitym dziennikarzem; mógł coś wyszperać i o tym napisać. Cholera, pasuje. Jeśli Nina знаła treść książki, oczywiste, że i ją musiano sprzątnąć. To nasuwa pytanie, kto z naszego otoczenia jest w zmowie z bohaterem książki Sławka? Kurwa mać, że też muszę tu sterczeć! Rychło w czas. Dobrze, że Górna opowiedziała mi o wszystkim, i że jestem pierwszym a właściwie – poza nią – chyba jedynym, który wie o książce.

Czuł całym sobą, że maszynistka nie kłamie. Poza tym miała alibi. Znalazło się jakby samo. Wracając na przystanek, znów spotkał gadatliwą sąsiadkę Górnej. Sprytnie naprowadził rozmowę na interesujący go temat. Potwierdziła ochoczo, że krytycznej niedzieli i poniedziałku „Marynia na pewno była tutaj, w Ełku”. Wprawdzie po rozmowie w kawiarni nie miał wątpliwości, że kobieta jest czysta jak łąka, ale jeżeli nadarzyła się okazja dodatkowego sprawdzenia – nie mógł z niej nie skorzystać.

ROZDZIAŁ 15

Morderca dokańcza dzieła

Prasiakowa przyjęła go niezwykle gościnnie. Obiad był skromny: barszcz i kluski z serem, ale smakował Zbyszkowi jak rzadko. Babcia krążyła koło stołu, chichotała od czasu do czasu, z zadowoleniem popatrując na młodego mężczyznę. Trochę grosza za obiadki wpadnie i taki miły ten miastowy. Jaki ma być, jak to Fredzia przyjaciel? Dobra dusza z niego. Obiecał, że drzewa narąbie, że wody przyniesie. Jest też do kogo otworzyć gębę. Tylko blady, biedaczysko, widać źle żywiony.

Opuszczał dom staruszki w pogodnym nastroju. W tutce z gazety niósł kilka jajek, które babcia wcisnęła mu niemal na siłę. Skręcił w stronę jeziora. Wzdłuż brzegu prowadziła wąska ścieżyna, po lewej ciągnęły się pełne ziół i kwiatów barwne polanki. Jedna z takich mikroskopijnych polanek przylegała do chaty Fredka, drugim końcem zahaczając o cypel wrzynający się ostro w jezioro. Koniec cypla porastały olchy i gęste krzaki.

Postanowił skorzystać z pogodnego dnia i spenetrować zakątki nad jeziorem. W bagażu spoczywała, na razie bezczynnie, wędka z kołowrotkiem i komplet haczyków. Fredek cuda opowiadał o żyjących w tutejszej wodzie rybach.

– Babcia by się ucieszyła, jakbym przyniósł wielkiego szczupaka – pomyślał, skręcając na cypel. Biegła tędy ledwo widoczna ścieżka, ukryta pod zwisającymi warkoczami paproci. Doszedł nad wodę. Pusto i cicho. Śladu człowieka. Jednak nie, chyba nie jest sam. Stał i nadśluchiwał. Zdawało się, że słyszy jakieś szelesty, pogwizdywania, plusk wody. Naśladując Indian, zaczął bezszelestnie przemykać między kępami sitowia.

Przy końcu cypla, na wzgórkum porośniętym soczystą trawą, zamajaczył jasny kształt. Namiot. Żółta, zgrabna jedyńska. Na wietrze furkotała płachta wejścia; zobaczył plecak, materac, rozrzucone ciuchy. Turysta. A może tak wyskoczyć na polankę? Zapoznać się z gospodarzem cypla – samotnym, jak można sądzić po „obejściu”. Nagle usłyszał głośny plusk wody. Zza stromego brzegu wyłoniła się głowa... Danki.

Cofnął się głębiej w krzaki, wstrzymał oddech. Ciskówna weszła na polankę, i otrzepując nogi z piasku, ruszyła w kierunku namiotu. Była naga. Na złocistej, opalonej skórze lśniły krople wody.

No, no, kto by się spodziewał, że ona tak wspaniale wygląda. Gdyby wyjść z tych chaszczki, przejechać dłonią po gładkiej skórze, dotknąć brylantowych kropli, poczuć zapach mokrych włosów. Uspokój się! – Strofował sam siebie. – Przecież to wróg. Bardziej aniżeli jej uroda powinien zdumiewać cię fakt, że jest właśnie tutaj, w Żakajniach. To musiało dawać do myślenia.

Ona? Nie. Nieprawdopodobne. Mogła oczywiście mieć jakieś ukryte żale do niego

czy Sławka, jednak jest różnica między żalami a morderstwem. Tylko że... Pojawia się w miejscach i chwilach ważnych. Była w Zalesiu, jest również tutaj. Zna wszystkie moje posunięcia. Jeśli nie ona, to kto?

Nie, to głupie. Głupie – dyskutował sam ze sobą, wracając ostrożnie na ścieżkę prowadzącą do chałupy. – Ona? Ale cóż ja, do diaska, o niej wiem? Tyle, co nic. Siedzi ze mną od czterech lat w jednym pokoju, gadamy o tym i owym, takie sobie rozmówki „o Maryni”.

Zaraz, kolego. Uporządkujmy fakty. Fakty przede wszystkim. Jest silna, choć pozornie krucha, pływa niezłe, na dobrą sprawę mogła przebrać się za faceta z wąsikiem i bez trudu zmienić głos. Ma dostępy do trucizn i broni, bo przyjaźni się z Górnymi. A jeśli kiedyś zaszła do jej męża, do szpitalnej apteki i podwędziła wiadomy specyfik? Jest inteligenta, bystra, więc bez trudu mogła osiąść wiedzę o jakimś mocnym środku paraliżującym oraz o truciznie. I, co najważniejsze, za każdym razem wiedziała, gdzie jestem, albo gdzie planuję być. Wiedziała o Kazimierzu, o Zalesiu i o Żakajniach też. Przecież to ona brała czynny udział w nakręcaniu sprawy wyjazdu na mazurskie odludzie.

Na razie muszę wykapować, co trzyma w swoim namiociku – postanowił, zamykając drzwi „Fredziówki”. Ona śledzi mnie, przekonana, że jestem aż tak tępy albo zmęczony, że odechce mi się spacerów po krzakach. Ja będę śledził ją! Lecz popełniła błąd. Dała się zauważyć. Teraz role się odwróciły. Zapolujemy sobie panienko na ciebie, tak jak ty zapolowałaś na Ninkę, Sławka i polujesz na mnie.

Zapadł spokojny, letni zmierzch. Po zjedzeniu wczesnej kolacji wyszedł przed chałupę, usiadł na ławce pod oknem i zapatrzył się w jezioro. Potrącane wiatrem fale układały się w ruchliwe harmonijki, z zarośli dolatywał trzepot szykujących się do snu ptaków, gdzieś w oddali szczeptały wiejskie burki. Ale nawet sielski urokliwy krajobraz nie potrafił ukoić wzburzonych nerwów. Był poruszony do głębi tym, co dzisiaj odkrył. W kółko przetrawiał wiele już razy przemyślane fakty. Wreszcie zaczęły układać się w logiczny ciąg.

Ciskówna znała Ignaciaków od kilku lat. Mogła sporo wiedzieć o różnych ich sprawach, na przykład o przyjaźni z Nowakowskimi, także od niego. W banalnych rozmowach, jakie prowadzili, siedząc od paru lat biurko w biurko, bezwiednie mógł informować ją o tym i owym, nie przywiązując do tego specjalnej wagi. Zapewne tak było; choć nie pamiętał szczegółów.

Tylko gdzie powód, dla którego miałyby tak bezwzględnie mordować dwoje kolegów, a potem polować na niego? Pomyślał o historii z trucizną. Uzmysłowił sobie, że w ten sposób stworzyła sobie idealne alibi, co poniekąd automatycznie wykluczyło ją z kręgu podejrzanych. Ależ był durniem! Durniem do kwadratu!

Motyw? Gdzie jest motyw? Może tkwi w niedostępnych rejonach życia Ciskównej. Musiał przyznać, że niewiele potrafi o nich powiedzieć. Nagle przypomniał sobie coś, co utwierdziło go w podejrzaniach. Oczywiście, jak mógł przeoczyć?! Danka powiedziała kiedyś, że dobrze znała Ewę, dziewczynę Sławka. Co znaczyło „dobrze”, nie miał pojęcia. Może z tą właśnie znajomością wiązały się sprawy o jakich nie wie nikt, poza nią samą. Może w związku z tym zabiła Sławka

i dla pewności usunęła Ninę, bliską przyjaciółkę Ewy.

A on? Najwyraźniej stanowi zagrożenie dla zabójcy. Do tej pory nie odnalazł jednak w pamięci marnego śladu czegoś, co – łącząc się z Niną i Sławkiem, czyli całą ich trójką – stanowiłoby jakąś niebezpieczną tajemnicę. Od tygodni grzebał we własnej głowie odnajdując tam wyłącznie pustkę. Co za pieprzony galimatias.

Zaraz, a gdyby zastosować prostą metodę zestawiania niewiadomego. Co jest tym niewiadomym? Niewytłumaczalnym. Po pierwsze i najważniejsze: motyw zamordowania Niny i Sławka. Po drugie: powód, dla którego zabójca albo zabójcy nastają teraz na jego życie. Po trzecie: zniknięcie książki.

– Nic mądrzejszego dziś nie wymyślę. Jestem koszmarnie zmęczony – przeciągnął się, aż zatrzeszczało w kościach. – Spać. Teraz spać. Jutro się okaże, co dalej.

Wstał z ławki, otworzył drzwi. W tej samej chwili usłyszał skradające się kroki. Odwrócił głowę. Wokół panowała gęsta ciemność. Jednym susem skoczył do chałupy, zgasił światło, podbiegł do okna. Kroki zatrzymały się na moment, potem zawróciły, cichnąc gdzieś w nieokreślonej dali.

– Danusia łązi – pomyślał. Zamknął starannie drzwi, podparł je ławą, rozebrał się i po omacku dotarł do łóżka. Przez kilka minut leżał bez ruchu, nasłuchując. Jednak na zewnątrz panowała cisza. Łagodnie szumiały drzewa, znad jeziora niosły się głosy nocnych ptaków. Zasnął.

Niecierpliwa śmierć zbliżała się krok po kroku, wyciągając swoje ramiona w ostatnim już obrocie wokół skaźca.

*

Przez okno wpadały do izby promienie słońca. Otworzył oczy, spojrzął na zegarek. Dopiero piąta. Mimo to nie miał ochoty na dalszy sen. Czuł się rześko i zdrowo. Wyskoczył z łóżka, odsunął ławę barykadującą drzwi, wyszedł na podwórze. Rozejrzał się uważnie. Nikogo. Przebiegł kilkadziesiąt metrów dzielących dom od jeziora, wskoczył do chłodnej wody, popłynął kawałek, zawrócił, wyszedł na brzeg, zrobił parę przysiadów.

Wieczne strachy uleciały. Świat wydawał się pogodny, wspaniale dobry; aż dziw, że może na nim istnieć zło i zbrodnia. Zagwizdał skoczną melodyjkę, i otrząsając się z wody, wrócił do chałupy. Miał ogromną ochotę na wielki kubek mocnej kawy.

Po śniadaniu zamknął dom i ruszył w stronę cypla. Był przekonany, że Danka jeszcze się nie obudziła. Lecz widać i ją wyгнаło poranne słońce; kiedy dotarł na miejsca wczorajszych obserwacji, zobaczył, że namiot jest otwarty. W środku nie było nikogo. Wyszedł zza krzaków i ostrożnie zbliżył się do brzegu. Na wodzie, w odległości dwustu metrów, majaczyła głowa w jasnym czepku.

– Dobrze, niech sobie pływa, a ja tu pobuszuję – wsunął się do namiotu. Niemal całą podłogę zajmował zielony materac. Przy wejściu stał rozbebeszony plecak. Włożył rękę do środka i zaczął wyciągać poszczególne przedmioty. Nie miał skrupułów, że grzebie w cudzych rzeczach. Nie czas na rozterki duchowe. Tu chodzi

o poważną sprawę. O bardzo poważne podejrzenie. Musiał sprawdzić wszystko – i to dokładnie. Poza różnymi częściami damskiej garderoby znalazł pojemnik na żywność, zeszyt, dwie książki i długi skórzany futerał.

Właśnie on zaciekawiał Zbyszka najbardziej. Upchnął do plecaka wyjęte przed chwilą szmatki. Starał się robić to w kolejności, w jakiej je wyjmował. Został futerał. Zważył go w ręku. No, lekkie nie jest. Zaczął delikatnie odsuwać zamek, gdy nagle usłyszał głośny plusk wody.

– Cholera – zaklął. – Już wraca.

Wcisnął futerał do plecaka, wybiegł z namiotu, skoczył susem w krzaki. W tej samej chwili nad brzegiem ukazała się głowa Danki. Podobnie jak wczoraj z wysiłkiem wdrapała się na stromiznę cypla i weszła na polankę. Znow była kompletnie naga.

– Też mi zwyczajnie – pomyślał z irytacją, jednak uzmysłowił sobie zaraz, że dziewczyna nie ma właściwie powodów do niepokoju. Okolica o tak wczesnej porze była zupełnie bezлюдna. Krótko mówiąc, jest absolutnie przekonana, że nikt jej nie widzi. Cóż, przeliczyła się. Od samego początku.

Przyglądał się, chociaż z mniejszymi niż wczoraj emocjami, jak wyciera się włochatym białym ręcznikiem, jak czesze włosy, wciąga figi, zapina biustonosz, sprząta w namiocie, zapala pod kocherem, kroi chleb. Może zje śniadanie i gdzieś sobie pójdzie? Intrygował go długi przedmiot, zamknięty w futerale. Broń?

Kiedy ona, do cholery, wreszcie gdziekolwiek się ruszy? Jakby odgadując życzenia podglądającego, po pół godzinie krzątania ubrała sukienkę, zarzuciła na ramię plażową torbę, starannie zamknęła namiot. Radość Skubalika była krótka. W dłoni dziewczyny widniał przedmiot jego pożądania – brązowy futerał.

Pozostawało tylko wysledzić, dokąd pójdzie. Energicznie minęła skulonego w krzakach tropiciela, i omijając ścieżkę, zaczęła przedzierać się przez wysokie paprocie. Kierowała się wyraźnie ku chałupie Fredka. Ale nie wyszła na polankę, tylko zapadła wśród wysokich porostów.

Zbyszek sunął bezszelestnie krok w krok za nią. Zobaczył, jak przyklęka na ziemi, manipuluje przy futerale i...

– O psia... – sapnął. – Luneta. I kogo to ona podgląda? Mnie? Mnie tam nie ma, mościa panno. Jestem tutaj. Śledzę cię – zachichotał bezgłośnie. – Chcesz, będziesz miała.

Szerokim łukiem okrążył polanę, wychodząc z przeciwnej strony domu. Spojrzał szybko w kierunku zarośli, gdzie czuwała Danki. Zdawało mu się, że dostrzega błysk szkieł.

– A siedź sobie do wieczora – rzucił z zimną zawziętością i jakby nigdy nic zaczął spacerować koło chałupy. Od czasu do czasu, pozorując obserwację nieba, rzucał spojrzenie na kępę krzaków, gdzie kryła się Ciskówna. Musiała tam ciągle być, siódmym zmysłem czuł jej obecność. W końcu znudziła go ta zabawa w ciuciubabkę, wszedł do środka, wyjął z torby książkę i usiadł na ławie przed domem. Czytanie mu jednak nie szło. Był zdenerwowany, podniecony.

Chcąc oderwać się od niewesołych myśli o znajomości, czy też raczej nieznajomości duszy człowieka, i o tym, jakie zasadzki potrafią zgotować doskonale – zdałoby się – znani ludzie, zaczął odtwarzać w pamięci chwile spędzone z Hanką. Nie myślał o niej już od dwóch dni. Czy to miłość? – Zastanawiał się po raz któryś. – Czy tylko zafascynowanie? Ale i dziś nie mógł znaleźć jednoznacznej odpowiedzi. Cóż, czas pokaże...

Może odwiedzić Prasiakową? Obiecał, że narąbie drewna i przyniesie wody. Babcia na pewno czeka. Zaniósł książkę do chałupy, zamknął drzwi i powędrował w stronę wioski.

Staruszka nie była sama. Na ławce przed domem siedział młody mężczyzna w niebieskich dżinsach i białej koszuli. A, to ten z autobusu, chyba jakiś sąsiad. Na widok Skubalika wstał i zaczął się żegnać.

– Zostańcie panie, to tylko kolega mojego chrześniaka. Przychodzi tu jeść obiady.

– A dziś przyszedł nanosić wody i narąbać drewna – uśmiechnął się Skubalik. – Jak tam, pani Prasiakowa, jak się spało?

– Dobrze syneczku, dobrze. Trzy godzinki snu złapałam, dla starej i to starczy. Znów mi się Maciej przyśnił. Mój mąż, świeć panie nad jego duszą.

– Pan tutejszy czy raczej turysta? – Skubalik spojrział na nieznajomego. Ten poczerwieniał, jak ktoś złapany na gorącym uczynku i ostro rzucił: – a co? Ankieta krajoznawczą pan robi?

– Nie, tak tylko pytam.

– A ja tak tylko odpowiadam. Nie, nietutejszy. Pasuje?

– Mnie tam wszystko jedno – odpowiedział lekceważąco. Co się gość tak naostrzył? Zwykle pytanie, a ten wyszczerza kły. Postanowił trochę się podroczyć.

– Przyjechał pan na wakacje? – Zapytał, udając, że nie widzi wścieklej miny faceta.

– Nie. Przyjechałem, żeby latać bez sensu po krzakach, wzorem innych – odciął tamten. Wstał, i nie zważając na protesty babci, odszedł.

– Kto to, pani Prasiakowa? Ostry, jak chrzan,

– A przyszedł spytać, czy bym mogła gotować dla niego, bo siedzi w namiocie nad wodą i jak gadał, znudziły mu się zupki w proszku. Nie powiem, do mnie był sympatyczny. Ale do pana to faktycznie ostry. Może to z gorąca. Niektórzy ludzie na gorącu robią się wściekli – babcia kiwała z politowaniem głową. – A tyś synku ranny ptaszek. Ja myślała, że jeszcze śpisz.

– Na wsi powietrze świeże, to i wywlekło mnie z łóżka.

– Dobrze mówisz. Na wsi człowieka wyciąga z łóżka. Jak chcesz nanieść wody, wiaderka stoją w sieni. Pomożesz synku babulince, bo już mi ciężko latać na drugie podwórko.

Złapał za wiadra i ruszył do studni. Zajrzał w mroczną czeluść, zawołał „halo, halo!”, poczekał na odbijające się od cembrowiny echo i powoli zakręcił kołem. Jeszcze kilkakrotnie przemierzył drogę dom – studnia; babcia, widząc, jakiego ma pomocnika, postanowiła zrobić pranie.

Wypił garnuszek wody i wziął się za rąbanie drewna. Po godzinie stos polan urósł po dach obórki. Kiedy Prasiakowa zawołała na obiad, był już mocno zmęczony. Dawał się we znaki brak kondycji. Zapił posiłek gęstym zsiadłym mlekiem, pogwarzył ze staruszką i poszedł zwiedzać Żakajnie.

*

Najpierw zajrzał do starego drewnianego kościółka, pamiętającego jeszcze czasy narodowych powstań. Równie wiekowe były tutejsze chałupy; kilka z nich miało zapewne więcej, niż sto lat. Wreszcie skierował się na leżący u skraju wsi, widoczny z daleka cmentarz. Odnalazł grób Kobiórow, rodziców Fredka, trochę go uporządkował, w znaleziony przy płocie słoik nabrał wody, wstawił wiązanek zerwanych za ogrodzeniem kwiatów.

Wrócił do chałupy na chwilę przed zmierzchem. Zjadł parę niezgrabnie pokrojonych kanapek, zaparzył świeżej herbaty i, podobnie jak wczoraj, zasiadł na ławie przed domem. Jezioro lśniło szkliście, w wysokich brzożach na skraju polany szumiał wiatr, szemrały mu do wtóru przydomowe krzaki, zewsząd dolatywały świergoty układających się do snu ptaków. Gdzieś w oddali szczeknął pies, potem rozwył się głucho.

Nieco pociemniało w kilkanaście minut. Zza chmur wypłynął jasny księżyc. Było spokojnie i cicho. Za spokojnie, za cicho. Jak wtedy, w Zalesiu. I jak wtedy wydawało się Zbyszkowi, że w mroku czai się coś groźnego, nieuchwytnego.

– Jestem tu sam – pomyślał. – Odcięty od świata. Nawet dzwonić do kogoś nie ma jak. Jeśli morderca zna to miejsce... Jeśli? Co za pytanie! Przecież zna.

Poczuł ciarki na plecach. Dlaczego zgodził się na takie odludzie? A może... może wywieziono go tu specjalnie? Że też nie wpadł na to wcześniej. Ale kto? Fredek? Nie! Bzdury! Nie może, do cholery, podejrzewać wszystkich, bo sfiksuje. Wbił wzrok w ciemność, usiłując wyłowić zarys otaczających go drzew, krzewów, ścieżek. Drgnął nerwowo. Słyszy czyjś oddech? E, przywidzenie. Czyżby się bał? Tak, boi się.

Zaczął mówić półgłosem wiersz. To go zawsze uspokaja, przywraca rozsądek, poczucie rzeczywistości. Lecz tym razem nie podziałało ani skandowanie „Pana Tadeusza” ani zabawnej „Lokomotywy”. Co robić? Wejść do chałupy, ukryć się w szafie albo pod łóżkiem. Tylko jak długo można się bać? Jak długo uciekać?

– Czego się durniu boisz? Przecież ona nie może być zabójcą – mruknął, nie wierząc we własne słowa. Okłamywał samego siebie. Fakty były nie do obalenia. Jak go wykończy? Będzie strzelała, czy wymyśli coś gorszego? Wszystko jedno. Wszystko jedno. Miał dość.

Spojrzał na jezioro. Lśniło złowieszczo i groźnie. TO nadejdzie stamtąd. A on będzie siedział tu, na tej ławie, na tle białej ściany. Dziś, jutro, do końca. Punkt w środku tarczy. Idealna strzelnica. Czuł się jak zamroczony. Jakby całą wolę i chęć przetrwania sparaliżowała ta posępna, gęsta ciemność.

Usłyszał trzask nadepniętej gałęzi i ostrożne, powolne kroki. Znowu trzask, tym razem głośny. Mocne szarpnięcie za ramię, ostre ukłucie w piersi. Usta pełne dziwnej

słodczy. Ktoś śmieje się drwiąco, chichotliwie niczym błazen, któremu udało się cyrkowa sztuczka. Dlaczego mówią wszyscy naraz? Fredek, Danka, Górna, komisarz, Hanka, Prasiakowa, Zgoda, Sławek, Nina. Dlaczego krzyczą, po co robią tyle hałasu? Tak przyjemnie skryć się wreszcie w miękki cichy mrok.

Tym razem śmierć, pamiętając o poprzednich błędach, dokonała stosownej korekty i wreszcie dosięgła celu.

– Stój! Stój! Stój, bo strzelam! – chałupę oblało jaskrawe światło reflektorów. Między osłepiającymi smugami szarpała się jakaś postać. Oczy schowane pod spadającym na czoło kapturem gorączkowo szukały w tej niespodziewanej jasności jakiejś ciemnej szczeliny. Tam! Postać rzuciła się w bok, dobiegła do granicy światła i mroku.

Z krzaków wyprysnął nagle wysoki mężczyzna w niebieskawych dżinsach. Dopadł uciekiniera, jednym ciosem zwałił go na ziemię. Trzasnęły kajdanki. I znów zapadła cisza. Przeciął ją wrzaskliwy sygnał karetki. Lekarz i sanitariusze zbliżyli się do ławy pod oknem, unieśli bezwładne, zakrwawione ciało, złożyli je ostrożnie na noszach. Karetka, wyjąc, pomknęła w mrok.

– Nie żyje? – Zapytał mężczyzna w dżinsach.

– Na razie żyje. Ale czy dowiozą do szpitala? Wątpliwe. Zagapiliśmy się, sierżancie – odpowiedział milicjant w stopniu kapitana. Rozejrzał się uważnie. Podszedł do stojącej na granicy cienia kobiety, i nie mówiąc słowa, mocno objął ją ramieniem.

– Nie zdążyliśmy – szepnął bezsilnie. – Nie zdążyliśmy. Byli sprytniejsi.

ROZDZIAŁ 16

Pomyłka Skubalika

Niską ławę okrywała śnieżnobiała serweta. Pośrodku stał wazon dojrzałych, fioletowych wrzosów. Naokoło ławy siedziało trzech młodych mężczyzn. Popijali z filiżanek parującą aromatyczną kawę. Gawędzili przyjaźnie. Jeden z nich, błądy jasnowłosy brodac, wspierał na oparciu fotela obandażowane ramię. Drugi, wysoki szatyn o bystrych oczach, raz po raz zerkał w stronę drzwi.

– Czekają pan na kogoś, kapitanie? – Zapytał trzeci.

– Tak, panie Fredku – odpowiedział spokojnie szatyn. – Czekam. Koniecznie musimy poczekać. Na tę osobę musimy.

Jasnowłosy brodac był dziennikarzem, nazywał się Zbigniew Skubalika. Dwa miesiące wcześniej przeżył wielką tragedię; stracił dwójkę najlepszych przyjaciół. Zostali zamordowani. Postanowił sam szukać zabójcy. Zabrał się za to z impetem i nawet był blisko celu. Jednak zmyliły go pozory i celował nie tam, gdzie trzeba.

Wysoki przystojny szatyn był milicjantem w stopniu kapitana. Nazywał się Jacek Dydowski. Dwa miesiące temu przydzielono mu sprawę. Trudną, niemal beznadziejnie skomplikowaną. Jeszcze przed trzema tygodniami nie był pewien, któredy ma podążyć. Teraz już znał odpowiedź. Mógł więc siedzieć tu spokojnie i delektować się ulubionym napojem niskociśnieniowców.

Pogodny gadatliwy brunet był fotoreporterem. Nazywał się Fryderyk Kobiór. Dwa miesiące przed dzisiejszym spotkaniem został przypadkowo włączony w tragiczne wydarzenia. Już nieprzypadkowo, lecz całkowicie świadomie postanowił pomóc w ujęciu mordercy. Teraz mógł wreszcie pytać o wszystko i oczekiwać prawdziwych odpowiedzi.

A osoba na którą czekali? Ta czwarta? Kim była?

*

– Pan to ma cholerne szczęście – kapitan spojrzał na Skubalika.

– Fakt, mam cholerne szczęście, z naciskiem na to „cholerne”.

– Bo jak inaczej to nazwać? Prawie bez życia zawieźli pana do szpitala. A pan jakby nigdy nic, po godzinie odzyskał przytomność i zaczął się wydzierać, że chce wyjść. Człowieku, przecież kula niemal dotknęła serca. Mimo to jakimś cudem rana okazało się czymś w rodzaju głębszego draśnięcia. Jednak rana to rana. Pan zaś na drugi dzień złączył z łóżka i leci do telefonu. Jak dzieciak, daje słowo. Jak dzieciak.

– Ale bez tego dzieciaka daleko byście nie zaszli. Ktoś musiał ryzykować swą skórę, by prawda wyszła na jaw.

– On ma trochę racji, kapitanie – poparł przyjaciela Fredka.

– Trochę ma. Lecz przyznacie panowie, że jako, hm... detektywi-amatorzy popełniliście parę poważnych błędów.

– Przyznajemy – odpowiedzieli zgodnym chórem. Całą trójkę ogarnęła nagle wesołość. Śmiał się nawet poważny zazwyczaj kapitan. Nie zamierzał jednak poprzestać na słownych przekomarzaniach. Musiał jeszcze coś wyjaśnić.

– Był pewien interesujący fakt, który pan, panie Zbyszku, umiejętnie przede mną zataił. I właśnie ów fakt okazał się najważniejszy. Był kluczem do sprawy.

– Jaki fakt? – Skubalik spoważniał.

– Książka Zwardonia. Mówię to panu teraz, póki nie zjawił się nasz gość. Przy nim taka nagana byłaby panu nie w smak. Młodzi mężczyźni nie lubią być krytykowani przy młodych, miłych kobietach.

– Na kogo czekamy? – Zapytał dziennikarz, chociaż po cichu domyślał się, że będzie to Hanka. Bo po cóż by Fredek, który pojawił się w kawalerce kolegi już rano, tak pucował wszystkie kąty, szykował zakąski, stawiał wazon z kwiatami? Robił przy tym miny tak tajemnicze, że Zbyszek, jeszcze osłabiony pobytem w szpitalu i obolały, nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Hanka ani razu nie odwiedziła go w szpitalu, od Fredka dowiedział się, że jest na ważnym i dłuższym wyjeździe służbowym, z którego nie pozwalają jej się urwać. Ale może wróciła.

– Na kogo czekamy? – Kapitan powtórzył pytanie Zbyszka, i podobnie jak Fredek, zrobił tajemniczą minę. – Na pana obrońcę. Dzięki niemu w ogóle pan żyje. Ten ktoś pomógł nam odkryć, choć do dnia zasadzki w Żakajniach nie było to pewne, kto jest mordercą.

– To pan sądzi, że ja się nie domyśliłem? – Z kolei Skubalik obdarzył obu tajemniczym uśmiechem.

Zaskoczył obu. Miny mieli niepewne i jakby zmieszane. Zbyszek sięgnął po notes, wydarł kartkę, nabazgrał coś długopisem i złożony arkusik na czworo, wsunął go pod wazon.

– Napisałem nazwisko mordercy – rzucił obojętnie. – Kiedy już wszystko się wyjaśni, proszę tam zajrzeć. Jestem pewien, że trafiłem. Przyznaję, zrobiłem kupę błędów, ale póki co, myśleć jeszcze umiem.

– Zobaczymy – mruknął kapitan. Chciał coś jeszcze dodać, kiedy rozdzwonił się dzwonek. Dydowski wstał z fotela, zerknął kątem oka na Zbyszka i ruszył do drzwi. Zgrzytnął odsuwany zamek, zaszemrały czyjeś głosy. Na progu pokoju stanęła... Danka!

Skubalik szarpnął się gwałtownie, podniósł wazon, złapał kartkę, i zmiąwszy ją w pośpiechu, wsunął do kieszeni. Fredek spojrzał znacząco na kapitana, ten położył palec na ustach.

Weszła lekkim krokiem do pokoju, skinęła głową Fredkowi, i podchodząc do oniemiałego rekonwalescenta, odezwała się półgłosem:

– Cześć. Ja się masz? Cieszę się, że żyjesz, wariacie.

– Cześć – wykrztusił, patrząc przy tym błagalnie na obu mężczyzn. Dydowski znów położył palec na ustach.

Skubalik obserwował całą trójkę, intensywnie o czymś myśląc. Nagle pacnął się w czoło:

– Ależ ja byłem głupi!

– Przestań tłuc tę biedną głowę! – zaprotestowała Danka. – Czego nie załatwili oni, załatwisz sam. Masz leżeć albo siedzieć i być cicho. W końcu opiekuję się tobą prawie oficjalnie. Czyż nie, mein kapitan? W ogóle co tu tak ponuro? Oj, chłopcy, z wami trudno dojść do ładu.

– A z babami można? Dlaczego myślisz, że nie ma się kto mną opiekować? – Ton Zbyszka był zaczepny.

– No, nareszcie. Wrzeszczy na mnie, znaczy zdrów – stwierdziła dziewczyna.

– Danka jak zwykle ma rację – odezwał się Dydowski. – To odważna, dzielna niewiasta. Żeby nie ona...

– Raczej ty – przerwała mu.

– O, jesteście na ty – zdziwił się Skubalik. Bliższa znajomość Ciskówniej z przystojnym kapitanem dziwnie go poirytowała.

– Jesteśmy – przytaknął Dydowski.

– Przestańcie wreszcie strzelać sobie w dzióbki. – wkurzył się Fredek. – Po cośmy się tu zebrali, hę?

– Fakt – przyznał kapitan. – Tylko jedna prośba do ciebie, Danusiu. Proszę cię, teraz mi nie przerywaj, jak jeszcze niedawno miałaś w zwyczaj.

– Rozkaz szefie! – Pisnęła głosem małej dziewczynki. Roześmiali się.

– Sądzę, że najlepiej zacząć od początku. Mam pozwolenie pułkownika, aby niektóre sprawy państwu przedstawić. Śledztwo zamknięte, winni przyznali się. Jeśli będziecie mieć pytania, w miarę możliwości służę wyjaśnieniami. Na wstępie zaznaczę, że to co tu powiem jest tylko końcówką historii, która rozpoczęła się wiele lat temu.

– Więc jednak nie jedna osoba. Czuję to... – mruknął Zbyszek.

– Przygotuj się na więcej niespodzianek – odezwała się Danka. – Zaczynaj Jacku.

– W pewnej bardzo zamożnej rodzinie przyszło na świat dziecko. Już jako maluch wykazywało dużo sprytu i zaciętości. Zła umiało szukać wszędzie: w ojcu, matce, rodzinie, znajomych, kolegach – tylko nie w sobie. Było przekonane, że jest od nich lepsze, najlepsze na każdym polu. W szkole, w życiu towarzyskim, potem w pracy. Niestety, prawda była smutniejsza. Wprawdzie nie brakowało mu zdolności, osiągało dobre wyniki w nauce, ale jeśli chodzi o pracę, bywało różnie. To inni potrafili lepiej. Nawet młodszy brat, chociaż jemu liczne talenty, jakimi został obdarzony i tak na niewiele się zdały. Dość szybko zszedł – jak to się mówi – na złą drogę. Zaczął pić, potem przerzucił się na narkotyki. Z czasem stał się posłusznym narzędziem w ręku swojej siostry.

– Kobieta? – Nie wytrzymał Skubalik.

– Tak, kobieta. Młoda, urodziwa kobieta.

Dziennikarz myślał gorączkowo. Kobieta! Brat! Ktoś niedawno wspominał mu na pewno coś o młodszym bracie. Kto? Anka? Nie, Anka była jedynaczką. Więc kto? No tak! Kaśka Hojna. Piękna Kasia. Sympatia Fredka. Czyżby on nic o tym nie wiedział?

Jest taki wesolutki. Cóż, zaraz wszystko się wyjaśni. Przecież ten Dydowski ma w garści wszystkie nici. Następne słowa kapitana potwierdzały przypuszczenia Skubalika.

– Miała jednak talent, można rzec, wielki talent do wodzenia innych za nos. Jej głównym celem, wręcz obsesją była chęć przekonania wszystkich, iż jest kimś wyjątkowym, choć na pozór wcale na to nie wyglądała, bo grała kogoś kompletnie innego. Umiała to robić znakomicie, szczególnie w stosunku do mężczyzn, w czym wspomagał ją kobiecy wdzięk – kapitan zerknął na Fredka. Ten zmieszał się, opuścił głowę.

A jednak Kaśka! – Skubalik nie miał już wątpliwości. Ma mnóstwo wdzięku, ale przede wszystkim ma brata, jest znakomicie wysportowana. Biedny Fredek. W co on się wplątał?

– Szczególnie w stosunku do mężczyzn – powtórzył Dydowski. – Nie wiemy, jak doszło do pierwszego spotkania ze Zwardoniem, nie wiemy, jak go omotała. O tym nie chce mówić. Faktem jest, że ten skryty, uczciwy, a co najważniejsze – wybitnie utalentowany mężczyzna zaufał jej bez reszty. Ba, powierzył tajemnicę, skrzętnie ukrywaną nawet przed bliskimi przyjaciółmi. Omotała go całkowicie. Należy przypuszczać, że prawdopodobnie zakochał się w niej...

– Goplana – powiedział cicho Zbyszek.

– Tak. Wiemy. Goplana.

Zdawało się, że nie usłyszał uwagi kapitana. Patrzył w okno i mówił cicho, jakby do siebie: – tak sobie rozważam, czy Sławek mimo wszystko nie odczuwał w związku z nią jakiegoś niepokoju. Zapisał przecież takie zdanie, fragment z „Balladyny”: „*Cóż to za panna? Ma twarz, nogi, żołądek, lecz coś niby szklanna*”. Chyba podświadomie ocenił ją właściwie. Odkryłem już wcześniej, więc nie musi mi pan teraz tego wywodzić, czego dotyczyła tajemnica. Chodziło o treść książki, jaką Sławek napisał.

– Treść? Myli się pan, Zbyszku. Nie o treść, a o sam fakt napisania książki.

– Skąd pan w ogóle wie o książce? – Zapytał Skubalik. I jakby nagle otworzyła mu się zamknięta klapka w mózgu, krzyknął: – skąd pan wie o Goplanie?! Skąd?!

– Hm, cóż... – chrząknął kapitan. – Mamy swoje sposoby.

– Pora zeznać prawdę – włączyła się Danka. – Ode mnie.

– Od ciebie? Jak?

– Bardzo prosto. Widziałam, że coś knujesz. Kiedy zasłałeś, wyciągnęłam z twojej kieszeni notes, sadząc, że są tam zapiski na temat sprawy i twoich planów. Chciałam pomóc. Czułam, że coś ci grozi. Taki babski instynkt. To, co znalazłam przeszło najśmielsze oczekiwania. Notatki Sławka. Dobrze, że byłeś tak dokładny i napisałeś nad tym wszystkim „Zapiski Sławka”. Co dalej? Podwędziłam ci ten notes, wybacz. Ty miałeś o niczym nie wiedzieć. Oczywiście domyślasz się, że przekazałam wszystko Jackowi, czyli tu obecnemu kapitanowi Dydowskiemu. Przepraszam się Zbychu za to buszowanie w twoich rzeczach. Ale to była wyższa konieczność.

Jesteśmy kwita. Ja buszowałam w twoich. Na szczęście nie wiesz – pomyślał, a głośno dodał: i I od tej pory, jak rozumiem, robiłem za wabia?

– Jak zwał, tak zwał. Hm, faktem jest, że robiłeś. Jeszcze raz przepraszam za grzebanie w twoich rzeczach. A zresztą zasłużyłeś na to. Mogłeś przecież aż tak nie wydziwiać i nie nadstawiać ciągle łba. Może jest i pusty, ale i tak szkoda.

– Teraz, jeśli pan kapitan łaskaw – przerwał im Fredek – ... może posłuchamy dalszego ciągu, bo tych dwoje nigdy nie skończy z tym skakaniem sobie do oczu.

– Nie wiemy, kiedy i jak omotała Zwardonia. Na tyle, że dopuścił ją do swojej tajemnicy. Powiedział, że kończy książkę. Tu mała dygresja. Kiedy już po aresztowaniu zadałem jej pytanie: *Dlaczego i jak zamordowała pani Zwardonia?*, niemal upajała się szczegółami. Także i ona zadała mi pytanie. Od lat ścigam jej podobnych, wiele już widziałem i słyszałam, ale to pytanie zważyło mnie z nóg. *I co* – powiedziała z dumną miną. – *Czy ktoś inny potrafiłby wpaść na taki super pomysł?* Miałem chęć trzasnąć ją pięścią w tę jej ładniutką zadowoloną gębę. Nie uderzyć, a trzasnąć. W końcu jesteśmy ludźmi. Bezwzględna, cyniczna bestia. Chora, po prostu chora z ambicji. Choć dla otoczenia słodka, dziewczęca, miła. Byłaby świetną aktorką i szkoda, że nie poszła w tym kierunku. Umiała doskonale zmieniać głos, charakteryzować się, grać kogo innego. Umiała zwieść nawet własnych rodziców, nawiasem mówiąc bardzo przyzwoitych ludzi.

Przerwał, potarł dłońmi skronie i siedział w milczeniu, lekko pochylony w przód, jakby szykował się do skoku. Po chwili podjął opowieść.

– Gdy zorientowała się, że wiemy już wszystko o książce, przestała kręcić i zaczęła mówić. Delektowała się wręcz szczegółami morderstwa. Ale skracając, bo tych szczegółów na pewno nie chciałby pan poznać. Na pomysł wpadła jeszcze przed poznaniem pańskiego przyjaciela. Postanowiła złowić kogoś, kto uczyni ją sławną. Jak najszybciej. Chciała przekonać cały świat, że jest genialna. Pragnęła, aby ten świat upadł jej w podziwie do stóp. Pragnęła tego chorobliwie. Cóż, nie jestem tak do końca przekonany, że jest normalna... O tym wypowiedzą się psychiatrzy. – Dydowski wetchnął i upił kolejny łyk kawy. Fredek spoglądał na niego w zadumie, jakby przetrawiał coś niestrawnego. Skubalik miał ochotę wstać i uścisnąć mu dłoń w geście zrozumienia i współczucia. Tak się zamotać. Cóż, ta dziewczyna jest rzeczywiście pełna uroku.

ROZDZIAŁ 17

– Wzięła się do działania sprytnie - kapitan podjął opowieść. - Pobuszowała nie tak daleko bo w znanym sobie środowisku dziennikarskim. Pilnie nadstawiała uszu. Tak dowiedziała się o Zwardoni uważanym za jednego z najlepszych. Ktoś jej bąknął, że nosił się on z zamiarem pisania książki. Ktoś inny przedstawił ją Zwardoniowi. Dała sobie parę miesięcy na omotanie go. Z początku nie poruszała tematu twórczości. Ale po nitce do kłębka i wreszcie, udając, że nic nie słyszała o jego planach, zaczęła gorąco namawiać, by napisał książkę. Wtedy on przyznał, że właściwie już jakiś czas temu zaczął i jak dobrze pójdzie, w kilka miesięcy może skończyć. Prosił o absolutną dyskrecję. To było coś, na co czekała! On pisze, nikt o tym nie wie, sytuacja idealna. Wówczas jeszcze nie myślała o morderstwie. Musiała mieć pewność, że dzieło jest znakomite. Była wystarczająco inteligentna i odczytana, ażeby to ocenić. Kiedy skończył, przejrzała maszynopis na miejscu, w jego mieszkaniu. Tak! To było to! Znakomita książka! W głowie zaczął rysować się plan. Plan morderstw.

– Morderstw? – Zapytała Danka.

– Właśnie, morderstw. Bo musiała zabić również Kalicką.

– Dlaczego?

– Nina też wiedziała o książce. Przecież Sławek zapisał to w swych notatkach. Nie zauważyłaś? – Zdziwił się Skubalik.

– Rzeczywiście. Przepraszam Jacku, że znowu ci przerywamy.

– Nie szkodzi. Nina Kalicka znalazła się, że tak powiem, na muszce. Powód oczywisty, przed chwilą go wymieliliście. Goplana była pewna, że Zwardoń nikomu o kończeniu książki nie mówił, i że nie mówił nikomu również o niej. Rozgryzła szybko jego małą fobię, a że znała się na ludziach, miała pewność, że nikt się nie dowie o ich kontaktach. Jednak pewnego dnia, gdy Zwardoń właśnie siedział przy pracy, niespodziewanie na Niegłośną wpadła Kalicka. Można rzec, przyłapała go na gorącym uczynku. Wyznał jej prawdę o swoich planach, prosząc o milczenie, póki książka nie trafi do wydawcy. Przynęła, że nie piśnie słowa. Wierzył jej absolutnie. Ale nieopatrznie powiadomił o zdarzeniu swoją Goplanę. *Już trzy osoby znają tajemniczego autora – zażartował. – Ja, ty i Nina. Ale ona nie puści pary. Przynęła, to znaczy, że dotrzyma słowa. Jest pewna.*

– Streszczasz rozmowę, jakbyś przy tym był – zauważyła Danka.

– Morderczyni jest bardzo wymowna. Relacjonuje słowo w słowo wszystko, co może pokazać, jak przygotowała swój, oczywiście w jej mniemaniu genialny plan, co stawało jej na drodze, jak sprytnie te przeszkody usuwała. Plan rzeczywiście precyzyjny. Nie miała zamiaru zdawać się na przypadek. Ważna była książka. Goplana często kręciła się po salonach literackich, знаła odpowiednie osoby. Przez jakiś czas była nawet kochanką pewnego pisarza, jednak ten szybko panienką się

znudził. Mimo to mogła na niego liczyć. Obiecał kiedyś, że jeśli ona napisze książkę, on chętnie ją przeczyta, zaopiniuje i – jeśli rzecz będzie udana – poleci ją swemu wieloletniemu wydawcy, a także swemu przyjacielowi, będącemu producentem filmowym. Nie kryła przed Zwardoniem, że podobne kontakty ma. zaproponowała, że kiedy skończy pisanie, ona zanieś książkę do oceny właśnie owemu zaprzyjaźnionemu pisarzowi. Zwardoń się zgodził.

– I wydał na siebie wyrok – powiedziała cicho Danka.

– Tak. Wydał na siebie wyrok – przyznał kapitan. – Chwila, kiedy w piątek około południa weszła do domu pisarza była decydująca i, jak się potem okazało, przesądziła o losie obojga ofiar. Pisarz obiecał, że przeczyta w ciągu kilku godzin, bo następnego dnia, w sobotę, wyjeżdża na dłużej. Miała się odezwać z pytaniem, czy już skończył, około osiemnastej. Powiedziała oczywiście, że to jej własne dzieło. Czekwała przez cały czas w pobliskiej kawiarni i obmyślała – w razie, gdyby opinia pisarza była pomyślna – dokładny plan usunięcia prawdziwego autora oraz drugiego świadka, Kalickiej. Czowała już triumf. Ta książka zaprowadzi ją na szczyt.

– O ile dzieło nie wpadłoby w ręce Marysi Górnej. Bo wtedy klops. Oj wy, detektywi – pokiwał głową Skubalik, widząc zdziwienie na twarzach gości.

– O czym ty gadasz?! – Danka podskoczyła na fotelu.

– Jaka Górna? Co pan ma na myśli? – Dydowski również wydawał się zaskoczony.

– Co ma do tego wasza maszynistka? – Dodał swoje Fredek.

– Detektywi! Ha! Ha! – Parsknął Zbyszek. – Dobra, powiem, bo pękniecie z ciekawości. To proste. W środę Sławek poprosił, by Górna, czyli – tu wyjaśnienie dla kapitana – maszynistka z naszej redakcji, przepisała książkę. W absolutnej, oczywiście, tajemnicy. Marysia Górna przyrzekła dyskrecję, i jak widać, słowa dotrzymała, bo nic nie szeptęła nawet swojej, tu obecnej bliskiej przyjaciółce.

– Dobrze zrobiła – wzruszyła ramionami Danka. – To dowód, że jest warta przyjaźni. Ja sobie doбирам porządných znajomych, a nie, jak niektórzy.

– Kapitanie! – zawył Fredek. – Niech ich pan natychmiast aresztuje i posadzi w oddzielnych celach, bo oni nigdy nie przestaną!

– Tak jest, majorze Kobiór! – Roześmiał się Dydowski. – Aresztuję pana, panie Zbigniewie Skubalik na czas zeznania o rozmowach, jakie pan przeprowadził z Marią Górną.

– Żeby zadowolić tego dzikiego foto-pstryka, proszę mnie zakuć w kajdany. Choć i bez tego zeznam szczerą prawdę. Otóż w środę, jak już mówiłem, Sławek wpadł do Górnej, prosząc o pilne przepisanie tekstu, bo – tak Marysia zapamiętała jego słowa – znajoma, słyszycie: znajoma! ma to zanieść w piątek do recenzji. Wykręcała się, ponieważ nie... – urwał; nagle sobie przypomniał o przyrzeczeniu danym Górnej. – Była umówiona, że w czwartek pojedzie do matki do Ełku. Lecz Sławek tak prosił, że wyjazd przełożyła i wzięła się ostro do roboty. Skończyła w terminie. Sławek odebrał tekst, lecz nie miał czasu porozmawiać, bo – jak jej powiedział – bardzo się spieszy, właśnie na spotkanie z tą znajomą.

– Czyli i tak pozostałby przy życiu świadek – stwierdził Dydowski. – Co pani Górna wiedziała jeszcze o książce?

– Wiedziała najważniejsze! Znała jej treść. W dodatku ma nadal brudnopis, czyli pierwotny maszynopis z naniesionymi przez autora poprawkami. To chyba szczęśliwe zrządzenie losu, że ta bestia nie zwąchała, komu zlecił przepisanie, i że w ogóle komuś zlecił. Widać uznał to za mało ważny szczegół, o jakim nie warto mówić. Bo inaczej dziś nie żyłaby i Marysia.

– Faktycznie – kapitan zgodził się z poglądem Skubalika. – Albo prędzej czy później prawda wyszłaby na wierzch, albo mielibyśmy jeszcze jedną ofiarę.

– Górna przysięgła Sławkowi, że nikomu nie powie. Mnie wyznała prawdę z określonych powodów, których tu nie mogę ujawnić, bo ciąży na mnie dane jej przyrzeczenie. Ale są to powody nieistotne dla sprawy.

– Aż mi skóra cierpnie, gdy pomyślę... – Danka zadrżała. – ... że ta Goplana mogła się wszystkiego dowiedzieć, bo przecież także znała Górną. Chociaż nie. Po pierwsze Marysia przyrzekła dyskrecję, po drugie nie miała zielonego pojęcia, nikt go zresztą nie miał, że Sławek zadaje się z tą zbrodniarką. Nie rozmawiałyby więc na ten temat. No to się wyjaśniło. Jacku, możesz dokończyć swą opowieść? Chyba już niczym ten tu obecny twój ranny aresztant nas nie zaskoczy.

– Tak ci się zdaje? Mam jeszcze furę informacji nieznanym szanownemu kapitanowi – Zbyszek uśmiechnął się tajemniczo.

– Mów pan, bo naprawdę zakuję pana w kajdanki!

– Tak jest, szanowna władzo! Otóż odkryłem, gdzie zapodział się głupek! – Obwieścił dziennikarz z triumfem.

– Nigdzie się nie zapodział – wtrąciła Ciskówna. – Siedzi tutaj na tapczanie z przetrąconą łapą i plecie dyrdymały.

– Nie! Tego już za wiele! – Ryknął Fredek. – Jak pan nic nie poradzi, to ja ich tu, w tym miejscu, zaduszę gołymi łapami. Oni znowu wydrapują sobie oczy.

– Wiem Danusiu, co to jest głupek. Co, a nie: kto. Tym razem trafiłaś kulą w płot – Dydowski rozłożył ręce. – I co z tym głupkiem? Jak dotąd nie znaleźliśmy go w żadnym warsztacie.

– Głupek... – Zbyszek zawiesił głos i spojrzał z wyższością na koleżankę. – Wylądował u Górnej. Ma sąsiada, który takie coś naprawia. Sławek przyniósł go do niej tego dnia, gdy przyszedł z maszynopisem.

– Jeszcze jedno kółko szczęśliwie się zamknęło – odetchnął z ulgą kapitan. – Dobrze, powiem – dodał szybko, widząc minę dziewczyny. – Głupek to maszyna do pisania Zwardonia. Ma na obudowie wydrapany napis „głupek” i stąd nazwa. Ale, ale... weszliśmy w jakąś ślepią dróżkę. Czy mogę wracać do dalszego ciągu? Sprzeciwów nie widzę. Otóż do wieczora ów pisarz, tak jak przyrzekł, książkę przeczytał. Zwardoń nic nie wiedział o tak wczesnym terminie. Goplana, biorąc od niego maszynopis książki poinformowała bowiem, że pisarz obiecał przeczytać to na poniedziałek, wtorek.

– Sprytna – mruknął Fredek.

– Bardzo by ją pańskie słowa ucieszyły. Ona też uważa się za największą spryciarę na świecie. Wróćmy jednak do tematu. Pisarz książkę przeczytał i – z tragicznym skutkiem dla dwójki zamordowanych później ludzi – wydał znakomitą opinię. Uznał, że powieść ma wielkie szanse na zostanie bestsellerem. Powiedział, że sam poleci ją wydawnictwu oraz zarekomenduje książką swemu przyjacielowi – filmowcowi, bo to także świetny materiał na film. Klamka zapadła. Morderstwa musiały być popełnione. Sprytnie, jeszcze przed spotkaniem ze Zwardoniem i odebraniem od niego książki, podrzuciła bilety dla Ignaciaków, tak na wszelki wypadek, jeżeli w poniedziałek trzeba będzie oczyścić teren i wyciągnąć ich z domu. Sprawa z biletami - kupiła je u konika - wypaliła. Nowakowskich udało się załatwić rzekomym telegramem od zięcia o ciężkiej chorobie ich córki. Miała więc wolną drogę. Czy mógłbym prosić o coś jeszcze do picia? Okropnie zaschło mi w gardle.

– Zaraz przyniosę – Fredek, pełniący dziś rolę gospodarza, zniknął w drzwiach kuchni. Po chwili wrócił z tacą zastawioną szklankami i talerzykami. Machnął ręką zachęcająco.

– Proszę jeść oraz popijać. Czym chata bogata, tym goście... wiadomo. Ale przerwałem panu, kapitanie.

– Nic nie szkodzi, chętnie zaczerpnę tchu – Dydowski sięgnął po szklankę i zaczął łapczywie pić. – Dobrze. Zimne. Wracając do tematu. Pan, panie Zbyszku, był w tym czasie na dłuższej delegacji, o czym Goplana wiedziała, zaś pozostali przyjaciele Zwardonia: Kalicka i Boczkowski byli od paru dni w Kazimierzu – o czym również wiedziała od Zwardonia. Od niego też miała wiedzę o filmowym marzeniu Ignaciakowej i o przyjaźni z Nowakowskimi. W piątek rano wzięła czterodniową delegację do Radomia i okolic, rzekomo zebrać materiały na temat rozwoju miejscowości turystycznych. Dlaczego Radom? Proste. Leży wystarczająco blisko, ale również wystarczająco daleko od Kazimierza. Tak. Od Kazimierza. Bo musiała najpierw zamordować Kalicką. Gdyby Zwardoń zginął pierwszy, Kalicka mogła stać się bardzo niebezpiecznym świadkiem, ponieważ mogła sporo wiedzieć. Goplana nie była jednak do końca pewna, czy Zwardoń nie powiedział Kalickiej, że kogoś ma, i że tym kimś jest ona – Goplana. Żeby plan się powiódł, trzeba było zabić oboje w krótkim odstępie czasu.

– To wszystko jest przerażające. A przecież relacjonuje pan wyłącznie gołe fakty. Z bliska musiało to być o wiele okropniejsze – wstrząsnął się dziennikarz.

– Co mam powiedzieć? Rzucić komunałem, że taka jest natura zbrodni? Na niektóre pytania nie ma odpowiedzi. Plan był wręcz niemal szaleńczy, wymagał dokładnego wyliczenia każdej minuty. O dziewiętnastej trzydzieści w piątek pojechała skuterem, a prowadzi świetnie, do Radomia...

– Skuterem?! – Skubalik zerwał się gwałtownie z fotela; stojące na ławie filiżanki zachwiały się niebezpiecznie. To nie Kaśka, tylko Anka? – Przecież Anka była za granicą!

– Kto mówi o Ance? Ma pan na myśli Jabłkowską, czy tak? Nie, to nie ona – powiedział kapitan uspokajająco. – Na czym to ja skończyłem? Aha. Pojechała skuterem do Radomia. Nim zostawiła maszynę na parkingu, przeistoczyła się w inną

postać. Potem, zrzuciwszy to przebranie w jakiejś bramie, stała się na powrót sobą, i zameldowała się w hotelu pod własnym nazwiskiem. W sobotę odwiedziła – jadąc pekaesami – dwie miejscowości turystyczne. Wieczorem wróciła do hotelu, poskarżyła się recepcjonistce, że jest okrutnie zmęczona, ale zaraz łyknie środki nasenne, po których będzie spać do południa. Prosi więc o przypilnowanie, aby nikt jej nie przeszkadzał. Wręczyła nawet okrągłą sumkę za to przypilnowanie. W niedzielę o świcie wymknęła się z hotelu, przebrana za...

– Za faceta z wąsikiem i w kapeluszu – rzucił Skubalik.

– Dokładnie tak – kapitan zerknął zdziwiony. – Widzę, że pan mocno grzebał. To było jej ulubione przebranie. Jako ów facet z wąsikiem zostawiała też skuter na parkingu. Teraz go odebrała i ruszyła do Kazimierza. Dotarła na miejsce i od razu zadzwoniła z automatu do Kalickiej. Przedstawiła się jakimś przypadkowym nazwiskiem, poprosiła o spotkanie nad Wisłą twierdząc, że ma niezwyklej wagi wiadomość, dotyczącą dawnych rodzinnych spraw Kalickiej. Opisała jak wygląda; na wszelki wypadek, w razie gdyby Kalicka zechciała komuś o tym napomknąć. Podała się za roslą kobietę o krótko strzyżonych włosach, ubraną w strój nieco przypominający męski garnitur. Ryzykowała. Na jej szczęście Kalicka zgodziła się na to dziwne spotkanie. Co się stało, już wiecie.

– Dobrze kombinowała – wtrącił Skubalik. – Z tym opisem własnego wyglądu. Podrzuciła fałszywy trop. Nina rzeczywiście komuś to zdradziła.

– Komu? – kapitan uniósł brwi. – Czy ja znów czegoś nie wiem?

– Staremu Zgodzie.

– Zgodzie? – Teraz zdziwił się Fredek.

– Powiedział o tym, gdy rozmawialiśmy z nim pierwszy raz. Ale ani ty, ani ja nie zwróciliśmy na to uwagi. Jednak od czasu tej rozmowy coś mnie męczyło, jakieś dziwne wrażenie, że przeoczyłem ważny szczegół. Pojechałem więc do Kazimierza po raz drugi...

– Skuterem Jabłkowskiej – dokończył kapitan.

– Tak, skuterem Anki. Zgoda powtórzył mi, co mówił przy pierwszym naszym spotkaniu. O tej kobiecie, która – wedle słów Niny – wygląda bardziej na chłopca. Ale znów panu przerwałem.

– Nie szkodzi. Chętnie dowiem się nowych faktów. Jak już wspomniałem, umówiły się nad Wisłą. Goplana obserwowała z ukrycia miejsce spotkania. Gdy zobaczyła, używając lornetki, że jej ofiara przyszła nad rzekę, zaczęła symulować tonięcie. Wiedziała wystarczająco dużo o osobowości Kalickiej, by mieć pewność, iż ta pospieszy tonącemu na pomoc. I tak się stało. Kalicka rzuciła się na ratunek. Ale na swój własny nie miała szans. Goplana wstrzyknęła jej środek paralizujący, potem wyskoczyła z wody i ukryła w zaroślach, obserwując wydobywanie ciała Kalickiej. Nim wsiadła na skuter schowany w krzakach, znów przedzierzgnęła się w faceta z wąsikiem i ruszyła do Radomia. Była tam o pierwszej po południu. Weszła do hotelu oczywiście jako kto inny, w pokoju zrzuciła przebranie, skotłowała łóżko, symulując, że ktoś w nim spał – i już pod własną postacią zeszła spokojnie na obiad do hotelowej restauracji. Po drodze spytała recepcjonistę, czy nikt jej nie szukał,

ponarzekła na zmęczenie i na własne lenistwo, które kazało jej całą noc i niemal pół dnia przespać. Recepcjonistka rzuciła sentencjonalnie: *Cóż, życie mężczy, nie dziwię się, że woli je pani przespać* – i już było świetne alibi. Mogła przystąpić do drugiej części zadania.

– To wszystko jest zbyt okrutne. Choć wiem o kogo chodzi, nie mogę słuchać spokojnie – powiedziała Danka. – Czy nie macie panowie ochoty na nową kawę i coś mocniejszego?

– Ja chętnie – Dydowski położył dłoń na szyi. – W gardle znów mi kompletnie zaschło.

Po kilku minutach na ławie parowała świeża kawa. Była też butelka winiaku i cztery kieliszki, bo na ten raz jednogłośnie pozwolono rannemu umoczyć usta w alkoholu. Kapitan spróbował jednego i drugiego, odchrząknął i kontynuował.

– Niedzielne popołudnie spędziła w podradomskiej wsi turystycznej, zbierając materiały do artykułu. I tym razem, aby nie rzucać się w oczy, do interesującej ją miejscowości dotarła autobusem. Podobne jazdy zaplanowała też na poniedziałek, przynajmniej do godziny piętnastej, bo potem musiała wyjechać do Warszawy. Wychodząc w poniedziałek rano z hotelu, pojęczała w recepcji, że strasznie ją męczy ta robota, że znowu musi pędzić w teren, i to na krańce województwa. Tworzyła sobie kolejne alibi. Ze Zwardoniem była umówiona przed osiemną. Truciznę woziła ze sobą. Widzicie państwo teraz, ile czasami warte jest żelazne alibi.

– Nie ma co, bestia była precyzyjna i pomysłowa – odezwał się Fredek. Danka zgromiła go wzrokiem.

– Tak, to prawda – przyznał Dydowski – Ale nie do końca. Popełniła jeden błąd, myśląc że pan, Zbyszku, jest tym, który coś wie. Gdyby nie uparte zamachy na pana, nie wpadłaby prawdopodobnie w nasze sidła. Po swojemu sądziła, że jest pan mniej inteligentny od niej i właściwie nie będzie w stanie domyślić się, jaką wyznaczyła panu rolę. Bardzo nieciekawą rolę...

– Mnie? Co pan ma na myśli? – Zapytał niespokojnie Zbyszek.

– Rolę ofiary męskich, hm... emocji. Tylko w ten sposób mogła wiedzieć o każdym pańskim kroku. Reszty dowiadywała się, dzwoniąc po prostu do redakcji i pytając, gdzie i na jak długo pan wyszedł. Udawała dziennikarkę z innej redakcji, toteż chętnie ją informowano. Czy domyśla się pan o kogo chodzi?

– Uhu... nie jestem pewien. Hojna? Miewałem z nią jedynie sporadyczne kontakty. Anka? Nie, co ja bredzę? Przecież pan mówił, że nie ona.

– Zbychu, kto cię ostatnio tak bardzo omotał? – Danka spojrzała z lękiem na nagle pobladałą twarz kolegi. Milczał. Myśl, która przebiegła mu przez głowę była odrażająca. Nie, nieprawda! Nie godzę się z tym! Nie! Dlaczego ona? Dlaczego akurat ona?

– Hanka? – Wychrypiał i ukrył twarz w dłoniach.

– Niestety, panie Zbigniewie – głos kapitana brzmiał jak nieodwołalny wyrok. – Jedyna osoba, której nie wpisał pan na listę podejrzanych, ze zrozumiałych zresztą względów.

Mimo, iż był przygotowany na to, że kapitan potwierdzi, na dźwięk jego głosu drgnął, uchwycił kurczowo poręcz fotela i trzymał się jej z całych sił, jakby była jedynym pewnym punktem we wsysającym go w mroczną czeluść wodospadzie.

– Bardzo mi przykro. Musi się pan trzymać. To okrutna morderczyni bez krzty sumienia. Chciała uśmiercić również pana. Niestety dla niej, okazała zbyt wielką niecierpliwość. Jeśli pan chce, przerwiemy to spotkanie.

– Nie, nie. Proszę dalej. Muszę wiedzieć – uniósł głowę, spojrzał milicjantowi w oczy. – Jeszcze przecież nie wiem, kto był tym pomocnikiem, bo w Żakajniach aresztowaliście chyba mężczyznę. Inne szczegóły też są mi kompletnie nieznane. Na przykład skąd trucizna, broń i czy zatrucie Danusi też było częścią polowania na mnie.

– Postaram się skrócić. Trucizna. Rodzice są lekarzami, wiedzy medycznej miała więc sporo. Środek porażający mięśnie oraz truciznę ukradła z apteczki w domowym gabinecie ojca pod pozorem jej porządkowania. Dodam jeszcze, aby mógł pan ujrzeć straszliwy całokształt, co powinno pomóc panu w otrząśnięciu się z emocji uczuciowych w stosunku do niej, że uśmierciła Zwardonia bez cienia skrępowań. Wsypała truciznę do herbaty i była przy tym, jak konał. Prosił o pomoc, ale – sądząc z jej zeznań – wyśmiała go i oświadczyła, że teraz ona, a nie on, zostanie autorką bestsellera i bohaterką literackich wywiadów.

– Nie mogę tego słuchać – Danką podniosła się z fotela, zaczęła krążyć po mieszkaniu.

– Proszę dalej – powiedział głuchym głosem Zbyszek.

– Czy wytrzyma pan dalszy ciąg?

– Tak, wytrzymam - mruknął przez zaciśnięte zęby.

– Kiedy Zwardoń, tracąc świadomość, leżał na podłodze, opłukała szklankę z trucizną – zresztą wzięła ją ze sobą, żeby po drodze wyrzucić, wytarła ewentualne ślady i wybiegła. Musiała natychmiast ruszać do Radomia. Aha, jeszcze przekłuła szpilką oczy Ewy na zdjęciu. Zwardoń przez moment odzyskał świadomość na tyle, że wyczołgał się z domu szukać pomocy. Nie zdążył. Wiedział, że zabiła go kobieta, której zaufał, a może i pokochał.

– Boże... – ramionami Zbyszka wstrząsnął głuchy szloch. – Nie mogę tego znieść. Przyjacielu. Dlaczego ty? Byłeś taki dobry, ludzki...

– Wypij. Do dna – Fredek podsunął pełny kieliszek. – A jednak tak naprawdę to ty złapałeś tę straszłą bestię. Bez ciebie do dziś chodziłaby z zadartym łbem, i zażywając ukradzionej sławy, śmiała się wszystkim w nos. Uprzednio oczywiście uśmierciwszy ciebie.

ROZDZIAŁ 18

Niecierpliwy morderca

Odkręcił kran z zimną wodą, włożył głowę pod strumień. Ciałem wstrząsał dreszcz. To było ponad jego siły. Przytłaczał go olbrzymi ciężar. Nie pozwalał normalnie myśleć. Potwór. Spotkał potwora. Patrzył w jego śmiejące się oczy, słuchał zwodniczego ciepła głosu, czuł na swoim ciele delikatne dłonie. Gdyby można odwrócić czas. Ale co z tego? Nic by nie wskórał. Spotkał się z siłą potężniejszą niż uczucie miłości. Z brakiem ludzkich uczuć, z zanikiem sumienia. Z czymś, czego nie pojmował.

Podniósł ociekającą wodą twarz, zobaczył w lustrze odbicie twarzy, z której spoglądały rozszerzone przerażeniem oczy. Woda ściekała na posadzkę, znacząc mokrymi plamami koszulę, toczyła się zimnym strumykiem po karku i plecach. Nie czuł nic. Oparł się ciężko o ścianę, potem na ślepo wymacał klamkę, otworzył drzwi, i poruszając się niczym źle naoliwiony automat, wrócił do pokoju. Stając przed kapitanem, powiedział stłumionym ale mocnym głosem:

– Słucham dalszego ciągu. Bez owijania w bawełnę.

– Jest pan pewien? Dobrze się pan czuje? – Upewnił się Dydowski. Widząc potakujące skinięcie, podjął opowieść.

– Pominię relację o tym, jak wróciła do Radomia i jak pracowała nad dalszym alibi. W każdym razie to udało się jej znakomicie. Teraz, że tak powiem, na arenę wchodzi pan. Tu przeliczyła się niemal od początku. Znała pana zbyt mało, bo to co słyszała od Zwardonia, rysowało nie do końca wyrazisty, dość powierzchowny obraz pańskiej osobowości. Pan stał się jej błędem. Może mniej logiczny od przyjaciela, mniej od niego skrupulatny, za to pełen niespodziewanych pomysłów i bardziej, hm, wścibski. Przez to był pan niewymownie groźny. Bała się, że może pan o książkę wiedzieć, założyła, że Zwardoń nie wszystko jej powiedział. Zresztą nawet jeżeli mówił prawdę liczyła się z tym, że może się pan zacząć czegoś domyślać. Jak to sprawdzić? Proste. U źródła.

– Czyli to spotkanie na cmentarzu nie było przypadkowe – bąknął Skubalik.

– Nieprzypadkowe. Zaaranżowała je po to, by ją pan zauważył. Ryzykowała, biorąc do towarzystwa swoją przyjaciółkę, Hojną.

– Nie były przyjaciółkami – odezwał się Fredek. – Kaśka jej nie lubiła. Może kiedyś, w liceum. W ostatnich latach wołała Zwiędłowskiej unikać. Jak twierdzi, czuła się przy niej nieswojo. Nie potrafiła tego racjonalnie wytłumaczyć.

– Kobiety mają rozbudowaną intuicję. Nie zaprzeczycie – Danka mówiła to do wszystkich, choć nie spuszczała oka ze Skubalika. – A propos kobiet, bo potem mi umknie. Męczy mnie jedno pytanie. Dlaczego przekłuła szpilką zdjęcie Ewy?

– Dlaczego? – Zastanowił się Dydowski. – To już domena psychiatrów. Może i wtedy chciała się czuć lepsza od innych, nawet od nieżyjącej rywalki, a może nie umiała znieść oczu patrzących na nią z fotografii.

– Ja myślę, że chciała raczej skierować podejrzenie na motyw zemsty.

– Cóż, przy jej charakterze to prawdopodobne. Wracając do spotkania pana ze Zwiędłowską. Jak mówiłem, ryzykowała, biorąc do towarzystwa panią Hojną, dziewczynę o wyjątkowej urodzie i wielkim wdzięku. Ale tu już specjalistą jest, jak sądzę, pan Kobiór.

– Frediuszu. Nie wierzę. Zaczerwieniłeś się! – Zawołała Danka.

– Odczep się. Teraz wlała na mnie. Miałaś kapitanowi nie przerywać.

– Pardon, Jacku. Mów dalej.

– Ach, te baby – westchnął Dydowski, uśmiechając się do dziewczyny. – Ryzykowała, chociaż może nie aż tak. Wiedziała od Zwardonia, że nie gustuje pan w wysokich brunetkach, nawet wybitnie urodziwych. Wtedy, podczas spotkania na cmentarzu, gdzie chwilę wcześniej bez mrugnięcia okiem stała obok grobów, patrząc jak grzebią jej ofiary, zrozumiała, że pan nie popuści. Zaczęła więc uplatać misterną pajęczynę. Jako że знаła dłużej pana Kobióra, mogła, powiedzmy, że niemal bezszelestnie wkraść się w krąg pańskich zainteresowań. Próby pozbycia się pana podjęła zresztą jeszcze przed waszym spotkaniem na cmentarzu. Dzwoniąc do „Wiadomości” i podszywając się pod kogoś innego, dowiedziała się, że jest pan w delegacji i kiedy pan wraca. To ona uszkodziła hamulce w trabancie, chociaż nie do końca skutecznie; przeszkodzili jacyś przechodnie. Jednak z wypadku w Kazimierzu wyszedł pan cało, toteż zaatakowała, że tak powiem, samo centrum. Wzięła się za stare, wypróbowane sposoby. Tu wykazała wiele sprytu i brawury słusznie licząc, że nikomu raczej nie przyjdzie do głowy, iż morderca posługuje się metodą rodem z bajek, na przykład przebraniem. Pojawiła się w redakcji jako okutana w chusty babina szukająca zespołu adwokackiego. Wypatrzyła moment, kiedy wyszliście obydwójce z pokoju. Starczyło pół minuty, by tam wskoczyć i wsypać truciznę do paczki z herbatą, na którą potem nadziała się Danusia. Wiedziała od Zwardonia o pana atencji do tego napitku. Ale to było później, już po próbie doprowadzenia do wypadku trabanta, i po próbie rozjechania pana na ulicy.

– Rozjechania? No tak! Już mi to wyleciało z głowy. Wychodziłem z „Echa” i jakiś bałwan chciał mnie staranować. Nawet mignęła mi jego gęba.

– Facet z wąsikami. W skradzionym samochodzie. – Dopowiedział kapitan.

– Zgadza się, facet z wąsikami.

– Na szczęście był tam nasz człowiek.

– Można powiedzieć: szczęśliwy traf. Czy to nie był przypadkiem ten młody, który zjawiał się w Żakajniach? Słusznie się zastanawiałem wtedy, w autobusie do Ełku, że skądś znam tę twarz. Ostry gość. Przy okazji proszę go pozdrowić ode mnie, i oczywiście podziękować.

– Nie omieszkać. Pana anioł stróż, a nasz sierżant Paweł bardzo się ucieszy z tego dowodu sympatii społeczeństwa – zakpił Dydowski.

– Anioł stróż? To znaczy, że jednak nieustannie miałem ochronę.

– A co, miał cię Jacek samego puszczać, z tym twoim fartem do wypadków? – Odezwała się Ciskówna. – Przez cały czas latały koło ciebie anioły stróże.

– Nie przez cały czas, ale raczej od wypadku w Kazimierzu. I nie na okrągło. Nieźle pan zresztą wkurzył swego opiekuna; narzekał, że niejaki Skubalik, mistrz w nagłym wskakiwaniu do ruszających autobusów, zrobił mu w obecności miłej staruszki Prasiakowej ankietę krajoznawczą – kapitan mrugnął do Danki.

– Hej, drodzy zebrani! – Huknął Kobiór. – Kiedy w końcu przestaniecie gadać o wszystkim i o niczym? Może byśmy wrócili do głównego wątku. Są sprzeciwy? Nie widzę. Proszę, panie kapitanie. Ma pan głos.

– Dobrze, że to pan się tego domaga, panie Fredku. Bo teraz będzie o panu.

– O mnie? Co takiego może być o mnie? – Fotoreporter zerknął na mówiącego ze zdziwieniem.

– Może, może... To pan powiedział Zwiędłowskiej o kraksie w Kazimierzu. Wyciągnęła też od pana informację dla niej najważniejszą: że Skubalik nie wierzy w wypadek Kalickiej i będzie zawzięcie szukał zabójcy, bowiem uważa, że było to morderstwo. Teraz nie chodziło tylko o to, że pan Zbyszek może coś wiedzieć o książce. Teraz, mówiąc obrazowo, stał się psem gończym, czyli niebezpiecznym, największym wrogiem. A wobec takiego dozwolone są wszelkie chwyt.

– Ale zdzira – syknął Kobiór. – Fakt, to i owo rzuciłem. Dużo tego nie było. Nie latam znowu z ozorem na wierzchu.

– Jednak nawet to niewiele zupełnie wystarczyło. Potem wykorzystała pana po raz drugi.

– Nie. Więcej z nią nie gadałem o sprawie. Jak tu stoję! – Walnął się w pierś. – Chce mi pan kapitan coś wmontować.

– Mówię o wykorzystaniu pana jako tego, który pomógł jej poznać się bliżej z panem Zbyszkiem. Dał się pan wciągnąć w grę, gdy delikatnie zasugerowała, że jest nim mocno zainteresowana

– Mea culpa. Dałem się, prawda. Jestem piekielny rajfur. Mam ochotę sam sobie dać w pysk.

– Po trzecim zamachu zrobiła się bardzo niecierpliwa. Wprawdzie miała pana, Zbyszku, w garści bo już byliście ze sobą, mimo to dręczyło ją pytanie, dlaczego poprzednie próby nie wypaliły. Fakt, ratowało pana niebywałe wprost szczęście.

– Ale nie do kobiet... – mruknął Fredek.

– Teraz musiała ułożyć plan bardziej precyzyjny, użyć bardziej niezawodnej broni. Tu poszedł jej pan na rękę. Mam na myśli wypad do Zalesia, o którym dowiedziało się chyba pół miasta. Domyśliłem się, co pan knuje. Wystawić się na wabia. Jednak tym razem nie działała już sama, ale...

– Jednak pomocnik... Tak podejrzewałem od początku – wszedł mu w słowo Skubalik.

– Tak, pomocnik. Ale nie od początku. Wszedł na, powiedzmy, przedostatnim etapie. Otóż w Zalesiu działała już nie sama Zwiędłowska, tylko jej wspólnik.

– Trzeci zakochany – rzucił domyślnie Fredek.

– Nie. I to jest kolejna zbrodnia Zwiędłowskiej. Tym kimś był jej młodszy brat.

– Ten ćpun – stwierdziła Danka.

– Niestety, nieuleczalny narkoman. Siostra często dawała mu pieniądze na działkę, jakby mszcząc się, że to on, nie ona, był oczkiem w głowie rodziców, choć i jej niczego nie brakowało. Postanowiła włączyć go do swoich planów. Bez skrupułów. Powiedziała mu o książce, którą zresztą, wysługując się znajomym pisarzem, już złożyła w wydawnictwie, a także o tym, że autor nie żyje, bo go sprzątnęła. Obiecała bratu, że kiedy książka stanie się bestsellerem, podzieli kasę i już nigdy nie zabraknie mu na kolejną działkę. Może by i chłopak nie wyraził zgody na udział w zabójstwie pana Zbyszka, ale przekonało go co innego: był winien dostawcy narkotyków sporo forsy. Siostra też o tym wiedziała.

– Biedny gówniarz – szepnęła Danka.

– Biedny, biedny. Postanowili pana zastrzelić. Marek Zwiędłowski, jeszcze nim zaczął ćpać, należał do sportowej sekcji strzeleckiej. Strzelał bardzo dobrze. Wzięli broń myśliwską ojca i ruszyli do Zalesia. Skuter prowadziła Zwiędłowska. Wiedziała, gdzie pan jest, poznała numer domku, wystarczyło telefonicznie spytać o to w recepcji ośrodka, podszywając się pod redakcyjną sekretarkę, co bez trudu sprawdziliśmy u źródła, czyli w tejże recepcji. Pokazała bratu i pana, i domek – a potem od razu wróciła do Warszawy, ażeby wieczorem pokazać się paru osobom. Chodziło jak zwykle o alibi. To był jej błąd. Powinna wszystkiego dopilnować sama. Brat, widząc jak się pan przewraca na ziemię, stwierdził, że strzał dosięgnął celu. Mogła już być spokojna. Tymczasem w sobotę pan poszedł na Niegłośną i znalazł zapiski Zwardonia. Lecz o tym Zwiędłowska nie wiedziała.

– Postanowiłem nikomu nie mówić - wyjaśnił Skubalik.

– I dobrze się stało. Przeczucia bywają niezawodne, chociaż u... powiedzmy zauroczonych... nieco szwankują. Bo przecież już w niedzielę zadzwonił pan do niej.

– Zdziwiła się.

– To oczywiste. Nawet bardzo. Teraz musiała wydumać coś zupełnie innego. Postanowiła wyciągnąć pana na jakieś odludzie i tam wygodnie, hm, odstrzelić. Znów przyszła jej z pomocą wiedza medyczna. Gdyby tak sprokurować zawał? Taki na niby.

– To moje zasłabnięcie... Rozumiem. A stosowny środek podała mi na pewno w koniaku. Dlatego sama nie bardzo chciała pić. Tylko umoczyła usta. Ale koniak był od Kasi Hojnej.

– Sprawdził to pan?

– Nie – przyznał ze skruchą Skubalik. – Mam zresztą tę butelkę. Zaraz ją panu przyniosę.

Podniósł się z fotela i ruszył do kuchni. Nie było go przez dłuższą chwilę. Kiedy wrócił do pokoju, minę miał nietęgą.

– Zniknęła. Ani śladu. A przecież postawiłem ją w szafce, tam gdzie trzymam podobne rzeczy. Musiała zabrać... Tylko kiedy?

– Spokojnie Zbychu – odezwała się Danka. – To nie ona, to ja. Podejrzywałam, że coś jest na rzeczy z tym niby zawałem i gdy razem z Fredkiem pakowaliśmy twoje ciuchy do podróży, zwinęłam koniaczek, a potem zaniósłam Jackowi.

– Niezły spisek żeście uknuli za moimi plecami – mruknął Skubalik.

– Potrzeba chwili, oto co – dziewczyna rozłożyła ręce.

– Już żeście sobie pogwarzyli – wtrącił Kobiór. – To może kapitan dokończy.

– Dziękuję, panie Fredku. Taki mam właśnie zamiar. Ten trunek nie miał zabić, nie o to chodziło. Miał po pewnym czasie spowodować zakłócenie akcji serca, sugerujące stan zawałowy. Dostał więc pan „zawału”, z którego wyciągał pana, jak na ironię, doktor Zwiędłowski, zresztą niczego nieświadom. Tak szczęśliwie złożyło się dla zabójczyni, że szpital ojca ma permanentny dyżur kardiologiczny, do tego leży w pobliżu redakcji.

– Ale co to miało wspólnego z wywabieniem Zbyszka na moje odludzie? – Zapytał Kobiór. – Przecież to nie był jej pomysł.

– Pozornie. Jednak od czego precyzyjne tkanie sieci? Zwiędłowska wiedziała od Hojnej, która wiedziała od pana, że istnieje chałupa w Żakajniach. Wystarczyła drobna sugestia. Nic sobie pan nie przypomina?

– Czy ja wiem? Niech pomyślę. Rozmawialiśmy z Kaśką i o mojej chacie, i o chorobie Zbyszka. Stwierdziła, że dziennikarzy męczy życie, jakie prowadzą, więc lepiej wywieźć co poniektórych na odludzie, bo inaczej nic ich nie oderwie od spraw tego świata. Ale to było takie sobie niewinne gadanie.

– Jeśli pan porozmawia ze swoją sympatią, może sobie przypomni, czy tego o dziennikarzach nie powiedziała do niej Zwiędłowska dzień, dwa wcześniej.

– Tak, chyba tak. No nie wiem...

– Rzeczywiście tkąła sieć – powiedział Skubalik.

– Tkąła sieć – powtórzyła Ciskówna. – Jak potworna tarantula

– Zwiędłowska spytała ojca, czy leży u niego w szpitalu jej kolega, Skubalik. Potwierdził. Poprosiła go o pomoc mówiąc, że z tym Skubalikiem, który jest chłopakiem jej przyjaciółki, same kłopoty. Nie chce za nic jechać na urlop, bo w kółko pracuje i przyjaciółka martwi się o niego. A gdyby tak on – lekarz, wręcz zażądał od naczalstwa redakcji odpoczynku dla swego pacjenta, najlepiej gdzieś nad jeziorem, w jakiejś spokojnej wsi. Zwiędłowski, rozbawiony tym babskim podstępem, zgodził się chętnie na udział w spisku. Zadzwoił do naczelnego „Wiadomości”, przedstawił się jako lekarz, który pana leczy i zaczął przekonywać pańskiego szefa o konieczności urlopu dla redaktora Skubalika, sugerując także miejsce wypoczynku. Prosił też o znak w tej sprawie, bowiem chce mieć do końca nadzór nad zdrowiem pacjenta. Naczelnny pogadał z Danusią, nie zapominając dodać sugestii o tej spokojnej wsi, Danusia z panem Kobiórem, któremu, co było oczywiste, od razu przyszły do głowy Żakajnie. Danka przekazała to naczelnemu, ten zadzwonił do troskliwego lekarza, a troskliwy lekarz powtórzył swojej córce. Ryzykowała, ale plan wypalił.

– Strasznie to zawile. A mnie wydawało się proste. Kto by pomyślał? – Kobiór pokręcił głową. – Ale, drogi kapitanie, skąd wam przyszło do głowy podejrzewać

właśnie Zwiędłowską?

– Danusia mi to poddała. Podobnie jak nasz gospodarz, chociaż z większym rozsądkiem, postanowiła zabawić się w detektywa. Pewnego dnia zadzwoniła do mnie, to było po tej historii w Zalesiu, gdzie pojechała, żeby na wszelki wypadek mieć na pana oko – i umówiliśmy się na szczerą rozmowę.

– To była konieczność – przyznała Ciskówna ze skruszoną miną. – Sama już nie wiedziałam, co robić. Czułam coraz wyraźniej, że grozi ci, Zbychu, śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Zaczęła rozumnie składać do kupy fakty i przeczucia. Zaniepokoiło ją, że Zwiędłowska po zabójstwie waszych kolegów tak nagle zakręciła się koło pana. I te zbyt częste docieklive telefony od rozmaitych ludzi z pytaniem, gdzie można znaleźć redaktora Skubalika, kiedy nie był akurat w redakcji. To była taka luźna wymiana spostrzeżeń, no, ta moja rozmowa z Danką. Jednak postanowiłem na wszelki wypadek sprawdzić co nieco z tego, o czym mi napomknęła. Okazało się, że Zwiędłowska ma prawo jazdy, że świetnie pływa, że jej ojciec jest lekarzem i należy do koła myśliwskiego, że brat jest narkomanem i zadaje się z podejrzanym środowiskiem. To nadal niewiele znaczyło. Nie byliśmy do końca przekonani. Przełom nastąpił w dniu, gdy dostał pan tego niby zawału. Danką dorwała pana notes i przysłała z nim do mnie. Wiedzioną przeczuciem, choć wedle mnie była to raczej logiczna analiza, zaczęła podejrzewać, że zabójcą może być owa Goplana, i że stara się teraz zabić najbliższego przyjaciela Zwardonia. A która z bliskich mu kobiet miała dostęp do trucizny, do broni i znała redakcyjne realia? Która była ciągle obok pana? Hojną i Jabłkowską szybko wykluczaliśmy, miały twarde alibi.

– Od tej pory połączyliśmy siły – dziewczyna uśmiechnęła się do kapitana.

– Zastanowiła nas dziwna zbieżność. Zabicie Kalickiej, Zwardonia i polująca na pana osoba z cienia. A może wszystko to łączy osoba tajemniczej Goplany? Jeśli niewinna, dlaczego po śmierci Zwardonia nie dała znaku życia? Przecież to byłoby naturalne. Założyliśmy, tak teoretycznie, że Goplana to Zwiędłowska i na wszelki wypadek wzięliśmy ją pod wrywkową obserwację. Jej brata również. Aż kiedyś Marek Zwiędłowski zaczął wygadywać w pewnym barze, który mamy na oku i hm... uchu, że niedługo będzie mieć kupę kasy, bo ma mądrą siostrę, która niejedno i niejednego potrafi załatwić. Trop zrobił się realniejszy. Kiedy więc ów młodzian wypuścił się na Mazury, założyliśmy, że być może podąży za panem do Żakajni. Tak też było. Jednak każdy może jechać, gdzie mu się podoba. To żaden dowód. Musieliśmy mieć coś więcej. Może teraz kilka słów powie Danusia.

– Byłam w Żakajniach właściwie przez własny upór, bo Jacek nie chciał, bym się narażała. Pojechałam tam zaraz po was. Stacjonowałam... nieważne gdzie. Aż drugiego dnia mignęła mi na jednej z polanek znajoma postać. Schowałam się szybko i zobaczyłam... Marka Zwiędłowskiego. Krążył w okolicy chałupy Fredka, jakby chcąc dobrze rozpoznać teren. Było jasne, że to nie przypadek. Wprawdzie sądziłam, że Jacek zadbał o anioła stróża dla ciebie, ale nie wiedziałam, czy anioł zna Marka, i czy też zauważył, że ten jest w Żakajniach.

– Zauważył, ale Zwiędłowski na jakiś czas mu zniknął – wtrącił Dydowski.

– Czułam, że gówniarz szykuje się do ataku. Co mogłam zrobić? Popędziłam do wsi i zadzwoniłam do Jacka. Uspokoił mnie, że już wiedzą o jego pobycie w Żakajniach, choć chwilowo stracili go z oczu. Trudno się dziwić. Tyle tam dzikich łączek, zatoczek, odludnych miejsc. Parę godzin później byli tu z ekipą. Jednak szczeniak okazał się bardzo sprytny. Wszystkich przechytrył. I prawie cię zabił. To chyba tyle.

– Ze mnie detektyw jak z koziej trąba. Nawet Danka była lepsza. Pozwól, że ucałuję twoje łąpięta – powiedział gospodarz domu, unosząc się z fotela.

– Dlaczego „nawet”? A co to ja, ofiara losu jestem? – Warknęła. – Od początku prowadziłam podwójne śledztwo. Musiałam śledzić po równo zabójców i jednego takiego detektywa superamatora. To drugie było gorsze.

– Niech ci będzie, że jestem skończony gamoń, dureń, i czego sobie życzysz. Nie zmienia to faktu, że ty, Danusiu jesteś... no, jesteś...

– Najcudowniejszą dziewczyną świata. Pora, żebyś to dostrzegł. Bo zrobią to inni – dokończył za niego Fredek i spojrzał znacząco na kapitana.

EPILOG

Jeziro było ciche i spokojne. Wrześniowe słońce, chociaż już nie tak upalne, grzało jednak przyjemnie. W otaczających Żakajnie lasach śpiewały ptaki, wiał lekki wiatr. Brzozy szumiały łagodnie, zerkając na wrzynający się w wodę cypel.

Przed starą chatę Kobiórow zajechał pokryty kurzem trabant z warszawską rejestracją. Wsiadł z niego jasnowłosa, młody brodac i smukła dziewczyna w kolorowej sukience.

– Pora dokończyć te wakacje – powiedział mężczyzna, obejmując dziewczynę.

– Jeszcze zdążymy się wykapać! – Zawołała.

– Świetny pomysł.

– Ale mam do ciebie małą prośbę. Nie podglądaj mnie, tak jak to raz robiłeś na cyplu.

– Czy teraz ma to jakiekolwiek znaczenie? – Zapytał brodac, myśląc, że na szczęście ona wie o jednym tylko razie.

– Myślę, że nie ma – odpowiedziała dziewczyna.

I było to zgodne z prawdą.

K O N I E C

Polecamy również

KLASYKI POLSKIE KRYMINAŁY

Kryminały przedwojennej Warszawy

- *Marek Romański*, Mord na Placu Trzech Krzyży. Tom 1
- *Stanisław Antoni Wotowski*, Demon wyścigów. Powieść sensacyjna z za kulis życia Warszawy. Tom 2
- *Stanisław Antoni Wotowski*, Tajemniczy wróg przy Alejach Ujazdowskich. Tom 3
- *Stanisław Antoni Wotowski*, Upiorny dom w Pobereżu. Tom 4
- *Marek Romański*, W walce z Arsène Lupin. Tom 5
- *Marek Romański*, Mister X. Tom 6
- *Marek Romański*, Miss o szkarłatnym spojrzeniu. Tom 7
- *Marek Romański*, Szpieg z Falklandów. Tom 8
- *Marek Romański*, Tajemnica kanału La Manche. Tom 9
- *Marek Romański*, Pająk. Tom 10
- *Marek Romański*, Znak zapytania. Tom 11
- *Marek Romański*, Prokurator Garda. Tom 12
- *Marek Romański*, Złote sidła, pierwsza część. Tom 13
- *Marek Romański*, Defraudant, druga część. Tom 13
- *Marek Romański*, Małżeństwo Neili Forster. Tom 14
- *Marek Romański*, Serca szpiegów, pierwsza część. Tom 15
- *Marek Romański*, Salwa o świcie, druga część. Tom 15
- *Marek Romański*, Życie i śmierć Axela Branda. Tom 16
- *Kazimierz Laskowski*, Agent policyjny. Papiery po Hektorze Blau. Tom 17
- *Walery Przyborowski*, Czerwona skrzynia. Tom 18
- *Walery Przyborowski*, Widmo na kanonii (pierwsza i druga część). Tom 19
- *Antoni Hram*, Upiór podziemi. Tom 20

Inspektor Bernard Żbik

Adam Nasielski

- Alibi. Tom 1
- Opera śmierci. Tom 2
- Człowiek z Kimberley. Tom 3
- Dom tajemnic w Wilanowie. Tom 4
- Grobowiec Ozyrysa. Tom 5
- Skok w otchłań. Tom 6
- Puama E. Tom 7
- As Pik. Tom 8
- Koronowy sztylet i inne opowiadania. Tom 9

Najciekawsze kryminały PRL

- *Tadeusz Starostecki*, Plan Wilka. Tom 1
- *Zuzanna Śliwa*, Bardzo niecierpliwy morderca. Tom 2
- *Janusz Faber*, Ślady prowadzą w noc. Tom 3
- *Kazimierz Kłóś*, Listy przyniosły śmierć. Tom 4
- *Janusz Roy*, Czarny koń zabija nocą. Tom 5
- *Zuzanna Śliwa*, Teodozja i cień zabójcy. Tom 6
- *Jerzy Żukowski*, Martwy punkt. Tom 7
- *Jerzy Marian Mech*, Szyfr zbrodni. Tom 8
- *G.R Tarnawa*, Zakręt samobójców. Tom 9
- *I. Cuculescu (pseud.)/Iwona Szynek*, Trucizna działa. Tom 10

Klasyka angielskiego kryminału

Edgar Wallace

- Tajemnica szpilki. Tom 1
- Czerwony Krąg. Tom 2
- Bractwo Wielkiej Żaby. Tom 3
- Szajka Zgrozy. Tom 4
- Kwadratowy szmaragd. Tom 5
- Numer Szósty. Tom 6
- Spłacony dług. Tom 7
- Łowca głów. Tom 8

Detektyw Asbjørn Krag

Sven Elvestad

- Człowiek z niebieskim szalem. Tom 1
- Czarna Gwiazda. Tom 2
- Tajemnica torpedy. Tom 3
- Pokój zmarłego. Tom 4

NOWE POLSKIE KRYMINAŁY

Kryminały Warszawskie

Wojciech Kulawski

- Lista sześciu. Tom 1.
- Między udręką miłości a rozkoszą nienawiści. Tom 2.
- Zamknięci. Tom 3
- Poza granicą szaleństwa. Tom 4

Komisarz Ireneusz Waróg

Stefan Górski

- Sekret włoskiego orzecha. Tom 1
- W cieniu włoskiego orzecha. Tom 2

Kapitan Jan Jedyna

Igor Frender

- Człowiek Jatka - Mroczna twarz dwulicowa. Tom 1
- Mordercza proteza. Tom 2

Tim Mayer

Wojciech Kulawski

- Syryjska legenda. Tom 1
- Meksykańska hekatomba. Tom 2

LIND&CO

www.lindco.se

e-mail: info@lindco.se

lindcopl (facebook & instagram)

Tytuł oryginału:

Zuzanna Śliwa

Bardzo niecierpliwy morderca

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Lind&Co.

Kryminał w stylu lat 70-tych. Wydanie I, 2017

Współpraca: Wydawnictwo CM, Warszawa

Projekt okładki: Studio Karandasz

Zdjęcia na okładce: Digital-Clipart / AdobeStock, simone_n / AdobeStock

Copyright © dla tej edycji: Wydawnictwo Lind & Co, Stockholm, 2021

ISBN 978-91-8019-022-0

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek